

IWONA WILMOWSKA

ZANIM ZAPOMNĘ

Nigdy nie chciał powodować cierpienia, wywoływać strachu,
pastwić się nad ofiarą. Nie jest przecież złym człowiekiem.
Ale trzeba było to zrobić. Innej drogi nie było.




Replika

Ukochanej Babci Heni

Prolog

Lidia Kania odgarnęła wpadającą do oczu grzywkę i spojrzała na zegarek. „Boże, jak późno!” – westchnęła w duchu. Wprawdzie wielu ludzi uznałoby tę porę za zbójecko wczesną – nie było jeszcze ósmej rano – ale ona właśnie zaczęła nową pracę i została poproszona, by być dziś właśnie o ósmej i bardzo, ale to bardzo nie chciała się spóźnić. Kobiecie w jej wieku – a miała już ponad czterdzieści lat – bez doświadczenia, bez znajomości, nie jest łatwo znaleźć jakieś sensowne zajęcie. Jej się udało i nie zamierzała tego zaprzepaścić spóźnieniem w pierwszym tygodniu pracy. Tym bardziej, że większą część dorosłego życia spędziła na zmywaku w Anglii. Teraz biegły angielski procentował. Praca była niezła. Przynajmniej siedziała na tyłku w ciepłym biurze, miała darmową kawę i nie pracowała w weekendy. Pensja może nie powalała na kolana, ale dało się przeżyć. Zresztą jej wiele nie potrzeba.

Czy ten autobus musi się tak wlec? Jeszcze tylko jeden przystanek... Wyjęła z torebki lusterko i szybko skontrolowała wygląd. Tusz niepokruszony, włosy trochę w nieładzie, ale ująd. Usta! Trzeba pomalować usta! Wyjęła błyszczczyk i szybko śmignęła nim po wargach. Oczywiście wiedziała, że malowanie

się w środkach komunikacji miejskiej nie figuruje w podręcznikach savoir-vivre'u w kolumnie „zalecane”, ale co tam. To w pracy ma się dobrze prezentować, a nie tutaj.

Kobieta siedząca naprzeciwko obrzuciła ją przepętnionym dezaprobatą spojrzeniem. Lidia odwróciła wzrok i przygryzając delikatnie wargi, równomiernie rozprowadziła błyszczący. Znów zerknęła na zegarek. Niech to szlag! Już była spóźniona! Ósma pięć, do diaska! Wstała i zaczęła powoli przeciskać się do wyjścia. Im bliżej będzie stała, tym szybciej wybiegnie. Nieważne, że zaoszczędzi w ten sposób nie więcej niż minutę. Ważne, że zaoszczędzi choć trochę.

Autobus wreszcie zatrzymał się z głośnym sapnięciem i drzwi się otworzyły. Lidia wypadła na chodnik i starając się utrzymać równowagę na swych nie tak przecież wysokich obcasach, truchtem ruszyła przed siebie. Jeszcze tylko jakieś pięćset metrów, przejście dla pieszych i będzie na miejscu. Za dziesięć minut spóźnienia może jej nie zwolnią... Wciąż była na okresie próbnym, więc mogli się jej pozbyć bez większych problemów, ale może jak przeprosi, to jakoś się to rozejdzie. Zresztą ta dziewczyna, która prosiła ją, by przyszła wcześniej, nie wyglądała na jakąś jędzę, która by zaraz leciała na skargę. Tak, na pewno wszystko będzie dobrze.

– Przepraszam, przepraszam – rzucała na prawo i lewo, w pędzie objając się o spóźnionych rodziców z wielkimi tornistrami na plecach, prowadzących dzieci do pobliskiej szkoły.

Zatrzymała się przed przejściem. To była wąska uliczka: jeden

pas w jedną, jeden w drugą stronę. O tej porze prawie pusta. Zacznie się korkować dopiero koło dziewiątej. O ósmej biura świecą jeszcze pustkami.

Z lewej strony zbliżał się zielony samochód, którego kierowca na jej widok wyraźnie zwolnił.

Uśmiechnęła się i skinęła głową, pod nosem odruchowo mamrocząc „dziękuję”. Jak to miło, że się zatrzymał. Drobną rzecz, a cieszy. Wciąż uśmiechnięta zrobiła krok do przodu, a wtedy samochód gwałtownie przyspieszył. Nie zdążyła nawet krzyknąć. Uśmiech zniknął z jej twarzy, zastąpiony przez czystą grozę.

Uderzenie odrzuciło ją do tyłu. Nie mogła złapać oddechu. Uniosła nieco głowę i pełnym przerażenia wzrokiem spojrzała na cofający się samochód.

„Dobrze. Nic się nie stało. Wszystko będzie dobrze. Żyję”.

Słyszała krzyki przechodniów.

„Karetka. Zaraz ktoś wezwie karetkę” – uspokajała się w myślach.

I w tym momencie samochód znów przyspieszył. Widziała zbliżające się do jej twarzy koła. Krzyk uwiązał jej w gardle. Miała wrażenie, jakby ktoś nadmuchał ją powietrzem i wsadził w usta korek. Tuż przed uderzeniem ostatnim wysiłkiem woli zacisnęła powieki.

Twarda guma opony z chrzęstem przetoczyła się po jej twarzy, czyniąc z niej miazgę.

Krzyki przechodniów ucichły.

Nie było już nic.

1

Agata ziewnęła i rozejrzała się po niemal pustym o tej godzinie biurze. Oprócz niej w wielkim open space była tylko Marzena, która wozila dzieci na ósmą do szkoły naprzeciwko, a teraz siedziała ze wzrokiem wlepionym w monitor, by jak najszybciej skończyć to, co ma do zrobienia, i zdążyć odebrać dzieci przed szesnastą. Ech, żywot matki pracującej! Ciągłe w niedoczasie...

Kawa! Tego było jej trzeba. Już jedną dziś wypila, ale ostatnio ciągle chodziła niewyspana. Kładła się spać wcześnie, całą noc spała jak zabita, a rano i tak czuła się jak zombie. Wstała i ruszyła do kuchni. Po drodze minęła kanciapę informatyków. Obrzuciła ją tęsknym spojrzeniem i westchnęła. Gdyby Kermit tu był, byłoby chociaż z kim pogadać... Chociaż nie. To przecież dobrze, że już tu nie pracuje. To był jej jedyny warunek – będą się dalej spotykać, ale jedno z nich musi zmienić pracę. Pod tym względem była nieugięta. Nie wyobrażała sobie spotykać się z kimś, kto pracuje w tej samej firmie. Kermit miał chyba podobne podejście, bo nawet nie dyskutował i po tygodniu od wydarzeń w domu Urszuli złożył wypowiedzenie. Nie był nigdy kandydatem na pracownika miesiąca, nikt więc go specjalnie nie zatrzymywał. Szybko znalazł inną pracę, na podobnym, niezbyt obciążającym stanowisku. Oczywiście w Mordorze, dwie

ulice dalej, ale to już było akceptowalne. A jednak, czasem chciałyby, żeby był pod ręką.

Miękkie tony *Under pressure* obwieściły nadchodzące połączenie.

– Halo?

– No cześć, kochanie. Jak tam żyjesz? Już w pracy?

Kermit na pewno był jeszcze w domu. Gdy nie nocowali w jednym mieszkaniu, często dzwonił do niej tuż po przebudzeniu, przy pierwszej kawie.

– Ano w pracy, w pracy. Musiałam przyjść wcześniej, żeby wysłać rano jakieś faktury. Klient zadzwonił do mnie wczoraj po tym, jak już wyszłam z biura, że ma jakieś zebranie, kontrolę czy coś, i musi je mieć na dziewiątą. Powiedziałam, że jasne, będą, w końcu klient nasz pan. Zadzwoniłam do tej nowej sekretarki, żeby była na ósmą, to pomoże mi to wysłać. Ja przyjechałam, wydrukowałam, podpisałam, a jej nie ma i czekam jak ten dureń.

– Nowa recepcjonistka? To Renata już nie pracuje? – zdziwił się Kermit.

– No nie. Odeszła tydzień temu. Chyba ci mówiłam.

– Możliwe... Choć chyba bym zapamiętał.

– Nieważne. W każdym razie skutek jest taki, że bez sensu wstałam godzinę wcześniej. No i te faktury nadal niewysłane...

Zajrzała do szafki i jak zwykle ucieszyła się, widząc swój kubek. Nieraz się zdarzało, że ktoś go capnął. Ot, takie małe korporacyjne grzeszki... Wstawiła kubek pod dyszę ekspresu i

wcisnęła guzik.

– A nie możesz sama ich wysłać? To chyba nic trudnego.

– Pewnie nie, ale to ona ma koperty, zamiary na kurierów i rozlicza te wysyłki... Pewnie bym mogła załatwić to sama, ale jak do niej wczoraj dzwoniłam, to powiedziała, że to dla niej żaden problem być na ósmą.

– Nie przejmuj się tym, pewnie zaraz przyjdzie. A ty w tym czasie nadgoń z robotą i wyjdź wcześniej. Ja też już wychodzę z domu, więc będę w biurze za jakieś dwadzieścia minut. Postaram się urwać przed piątą. Moglibyśmy spotkać się u mnie, zjeść coś dobrego, spędzić miło popołudnie, wieczór, noc...

– Mmm... Brzmi interesująco... – Agata uśmiechnęła się pod nosem. – Ale musiałabym wstąpić jeszcze do siebie, żeby wziąć ubrania na jutro.

– Jutro jest sobota.

– Jednak chciałabym mieć coś czystego.

– No dobra, jak chcesz. Choć znasz moje zdanie. Gdybyś w końcu zdecydowała się po prostu zamieszkać ze mną, nie byłoby tego problemu.

Dobry humor Agaty wzbudzony znalezionym kubkiem przysł jak bańka mydlana.

– Kermit, naprawdę musimy jeszcze raz o tym rozmawiać? I to teraz?

To była jedyna kość niezgody w ich związku. Kermit uważał, że powinni zamieszkać razem, a ona zupełnie sobie tego nie wyobrażała. Nie czuła się na to gotowa. Odpowiadało jej to, jak

jest teraz – on mieszka w swoim apartamencie, a ona w swoim niewielkim mieszkanku. Po co zmieniać coś, co jest dobre? Byli ze sobą dopiero pół roku. Prawda, że było to bardzo dobre pół roku, chyba najlepsze w jej życiu, ale na wszystko przychodzi właściwy czas, a zdaniem Agaty czas na wspólne mieszkanie jeszcze nie nadszedł.

– Dobrze, już dobrze – mruknął Kermit. Słysząc było wyraźnie, że jest niezadowolony. – To o której możesz być u mnie?

– Najwcześniej o szóstej.

– Dobra, to pa.

– Pa.

Włożyła telefon do kieszeni i z kubkiem parującej kawy wróciła do biurka.

Gdy była w kuchni, do pracy przyszły jeszcze trzy osoby. Wszyscy – nawet Marzena, która zwykle starała się nie uronić ani sekundy swego cennego, matczynego czasu – stali teraz przy szklanej ścianie i wpatrywali się w biegnącą wzdłuż budynku ulicę.

– Co się stało? – spytała Agata, stawiając kubek na biurku.

Andrzej, jeszcze w kurtce i z plecakiem przewieszonym przez ramię, spojrzał na nią i jeszcze zanim się odezwał, wyczytała z tego spojrzenia, że stało się coś bardzo złego. Marzenę widziała z profilu, ale jej twarz była cała w czerwonych plamach, a po policzkach spływały jej łzy. Do ust przyciskała zwiniętą w pięść dłoń. Pozostali nawet nie odwrócili wzroku od szyby.

– Lidia – powiedział Andrzej.

– Co z nią? – spytała Agata. – Miała być na ósmą.

– No to chyba nie będzie...

– Ale co się stało?

Agata podbiegła do okna i zobaczyła zbiegowisko ludzi, karetkę, policję, powoli korkującą się ulicę. A na przejściu dla pieszych czyjeś ciało, które policjant właśnie litościwie przykrywał płachtą.

– O mój Boże – jęknęła.

Żadne wyjaśnienia nie były jej już potrzebne, a o fakturach zapomniała kompletnie.

2

Kermit, przestępując z nogi na nogę, czekał pod kawiarnią „Bagietka”. Po tym, jak Agata do niego zadzwoniła i usłyszał jej drżący głos, nie zastanawiając się ani chwili, umówił się z nią za dziesięć minut w tej właśnie kawiarni. W pracy tylko zostawił samochód (znalezienie miejsca na ulicy w tej okolicy graniczyło z cudem) i przybiegł prosto tutaj.

Już po chwili zobaczył jej drobną sylwetkę w czarnym płaszczu zmierzającą w jego kierunku. Zwykle chodziła z wysoko uniesioną głową, lekko podskakując, jakby cały czas nucila sobie w głowie jakąś piosenkę – znając ją, zapewne Queen. Tym razem miała skulone ramiona i wzrok wbity w chodnik. Gdy przed nim stanęła, bez słowa wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Przyłgnęła do niego tak, jakby nie chciała się już nigdy oderwać. Stali tak dłuższą chwilę, aż w końcu Kermit odsunął ją delikatnie i powiedział: – Wejdźmy do środka, bo zamrzniemy tu na śmierć.

Wprawdzie zaczął się już marzec, ale wiosna jakby o tym zapomniała. Podmuchy lodowatego wiatru szczypały w policzki i mroziły palce.

Agata, nie podnosząc wzroku, skinęła głową i weszli do kawiarni.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, poczuli zapachy świeżego pieczywa i parzonej kawy, które zwykle przynosiły im ukojenie, ale nie tym razem. Odkąd Kermit zmienił pracę, wpadali tu przynajmniej dwa razy w tygodniu na szybką kawę i kanapkę lub jakieś ciastko. Wąsaty właściciel pomachał do nich, ale gdy zobaczył ich miny, jego ręka zamarła w powietrzu, a uśmiech zastygł w idiotycznym grymasie.

Kermit posadził ją przy stoliku i poszedł do baru. Po minucie wrócił z dwiema herbatami i drożdżówkami. Dobrze, że zamówił herbatę, bo Agatę na samą myśl o wypiciu kolejnej kawy zemdliło.

– No, opowiadaj – powiedział Kermit.

Agata powtórzyła mu to, co już wcześniej opowiedziała przez telefon: nową recepcjonistkę na przejściu dla pieszych potrafił samochód, a sprawca uciekł z miejsca wypadku.

– Jak to uciekł? – spytał Kermit.

– No, po prostu nawiał! Nie było korka, dziewczynie, która przyhamowała za nim, zgasł silnik, i zanim ponownie go uruchomiła, ten łajdak zniknął za zakrętem. A potem to szukaj wiatru w polu! Wystarczy, że skręcił w jedno czy drugie osiedle i koniec. Zanim przepytasz przechodniów, on i tak będzie w zupełnie innym miejscu.

– Poczekaj, jak to przyhamowała? To ten kierowca też najpierw przyhamował?

– Tak! I właśnie to jest najdziwniejsze! Świadkowie wypadku mówili, że zanim w nią wjechał, zahamował. Zupełnie, jakby chciał ją przepuścić. Potem przyspieszył, potrafił ją, wycofał się

odrobinę, lecz zamiast wysiąść i próbować ją ratować, to znów ruszył przed siebie, przejeżdżając po niej raz jeszcze! Prosto po jej twarzy!

– Co za... – Kermitowi aż zabrakło słów.

– Skurwysyn! To po prostu skurwysyn! Wyobrażasz sobie, że w czasie, gdy ja pomstowałam na nią przez telefon, że się spóźnia, ona tam na dole umierała? Czuję się okropnie...

Agata bardzo starała się być dzielna i nie robić z siebie widowiska w kawiarni, ale dłużej już nie mogła powstrzymać napływających łez. Wartkimi strumieniami potoczyły się po jej policzkach.

Kermit usiadł obok i ją objął.

– No już, nie płacz – szepnął jej do ucha, głaszcząc ją po włosach. – Wiem, że to smutne, ale przecież tak naprawdę, to chyba nie znałaś jej za dobrze.

– Masz rację. – Agata otarła łzy. – Co my dzisiaj mamy? Piątek. No to widziałam ją raptem cztery razy w życiu. Nie wiem, czemu tak reaguję. To do mnie niepodobne... Co ja o niej wiedziałam? Że ma około czterdziestu lat, nazywa się Lidia Kania... Nawet nie wiem, czy miała jakieś dzieci, męża, kogokolwiek!

– Zaraz, zaraz – przerwał jej Kermit. – Powiedziałaś, że jak się nazywała?

– Lidia Kania, a co? – Spojrzała na niego zaskoczona.

– Brązowe oczy i taki długi, szczupły nos?

– Taaak...

– Takie ciemne, rude włosy, lekko kręcone?

– Zgadza się, a skąd ty...

– Poczekaj chwilę! – rzucił tak gwałtownie, że nie było sensu się z nim spierać.

Wyciągnął z kieszeni telefon i zaczął coś w nim wyszukiwać. Zaintrygowana Agata zerknęła mu przez ramię. Tak jak myślała – wpisał imię i nazwisko Lidii do wyszukiwarki w nadziei, że znajdzie jakieś zdjęcie.

– Cholera, no... – mruknął pod nosem.

– No co?

– No to, że nie ma w Internecie żadnego jej zdjęcia.

– A po co ci jej zdjęcie?

– Bo chciałem bez żadnych wątpliwości potwierdzić to, co w sumie i tak jest jasne, bo ile Lidii Kań, ciemnorudych, ze szczupłym nosem, chodzi, a raczej chodziło po tym świecie? Mało prawdopodobne, że było ich więcej niż jedna, a więc...

– A więc co? – Ciąg myśli wydawał się logiczny, ale Agata nadal nie rozumiała, do czego zmierza.

– A więc zapewne była to ta sama Lidia Kania, którą ja kiedyś znałem!

– Co ty mówisz?!

Agata z niedowierzaniem wpatrywała się w Kermita, choć przecież to, co mówił, nie było takie znów absurdalne. Warszawa nie jest tak wielkim miastem, jak by się mogło wydawać.

– Agata, zaraz ci wszystko wyjaśnię – powiedział Kermit, wstając, choć nie wypił nawet połowy herbaty, a drożdżówki choćby nie nadgryzł. – Jak sądzisz, dasz radę zwolnić się dzisiaj

z pracy?

– Praca! – wykrzyknęła Agata z wyrazem tryumfu na twarzy. – Że też od razu na to nie wpadłam! Poczekaj sekundę.

Tym razem to ona wyciągnęła swój telefon. Kilka kliknięć i już była zalogowana na pocztę służbową. Teraz pozostało zjechać odrobinę na dół i odszukać odpowiedni mail. Jest!

– Czy to ona? – Pokazała Kermitowi fotkę Lidii z firmowego newslettera, który zwykle był rozsyłany z początkiem tygodnia. Jednym z głównych punktów były zmiany kadrowe, a w nim – zdjęcia nowych pracowników.

Kermit pobladł. Powiększył zdjęcie i przez chwilę w ciszy mu się przyglądał. Potem położył na nim palec i oddając telefon Agacie, powiedział:

– Ona. Co najmniej dwadzieścia lat starsza niż wtedy, kiedy ostatnio ją widziałem, ale jestem całkowicie pewien, że to ona.

Westchnął ciężko i dopił do końca zimną już herbatę. Agata objęła go i powiedziała:

– Wyjaśnisz mi to jakoś?

Kermit spojrzał na nią tak, jakby był zdziwiony, że ona w ogóle tu jest. Musiał być naprawdę głęboko zatopiony we wspomnieniach.

– No jasne, jasne... Tak... – próbował się pozbierać. – Tak, kochanie, zaraz ci to wytłumaczę. To jak, bierzemy na dzisiaj wolne?

Agata skinęła głową.

– Bierzemy. Zresztą od kilku dni chodzę jakaś nieprzytomna...

– No to dzwoń do szefa, ja też się zwolnię i od razu pojedziemy

do mnie, a po drodze wszystko ci wyjaśnię. Zgadzasz się?

– No pewnie, że się zgadzam!

Agata obrzuciła go badawczym spojrzeniem, ale niewiele zdołała wyczytać. Kermit już rozmawiał przez komórkę, załatwiając sobie dzień wolny. Wiedziała jednak, że skoro był tak poruszony, to na pewno miał ważny powód. Zadzwoiła do swojego szefa i krótko mu wyjaśniła, że źle się czuje, i przekazała, co i komu ma wysłać. On nie protestował, bo od kilku dni widział, że jest wyraźnie nie w formie.

Wyszli z kawiarni, postawili kołnierze dla ochrony przed mroźnym wiatrem i szybkim krokiem ruszyli do garażu w biurowcu Kermita, gdzie był jego samochód.

3

Maria Janach już dawno doszła do wniosku, że życie jest zbyt krótkie, by denerwować się tym, na co nie mamy wpływu. Choćby temperatura. Zerknęła na termometr zawieszony za oknem. Dwa stopnie powyżej zera. Szybko zdusiła myśl, że mogłoby być trochę cieplej, skoro mamy już koniec marca. Najważniejsze, że niedługo nadejdzie wiosna i wtedy będzie mogła znów oddać się swemu największemu hobby, czyli uprawianiu ogródka.

Wlała do kubka wrzątek, wrzuciła torebkę cytrynowej herbaty, a na plecy zarzuciła gruby, ciepły polar męża. Koło jej nóg już kręcił się ich pies – wielki, stary wilczur.

– Witaj, Bruser – powiedziała, drapiąc go za uchem, na co pies odpowiedział liźnięciem w dłoń i spojrzeniem wyrażającym bezbrzeżną, spokojną miłość. Tylko stare psy potrafią tak patrzeć. – Chodź, przewietrzymy się.

Uchyliła drzwi balkonowe i wymknęli się na zewnątrz, starając się wpuścić do środka jak najmniej zimnego powietrza. Mąż wprawdzie jeszcze spał, ale na pewno nie będzie zadowolony, gdy wprost z ciepłej sypialni zejdzie na wyziębiony parter. Przymknęła drzwi na tyle, na ile się dało. Podeszła do barierki i oparła się o nią, grzejąc dłonie o ciepły kubek.

Słońce było już dosyć wysoko. Spojrzała na zegarek. No tak, prawie dziewięta. Długo dziś pospali, ale to dlatego, że do późna oglądali filmy na DVD. Odkąd syn sprezentował im na

Gwiazdkę odtwarzacz i zapas filmów, często spędzali wieczory, przypominając sobie dawne przeboje kinowe. To dobra rozrywka, ale teraz, gdy idzie wiosna, pewnie będą się jej oddawać rzadziej niż do tej pory. Teraz znów zaczną spędzać wieczory na tarasie. Tyle lat mieszkali w Warszawie... Zawsze marzyli o domku w górach, ale nie chcieli pozbawiać synów dostępu do szkół, kin, boisk i wszystkiego, co oferuje miasto. Dopiero na starość mogli spełnić swoje marzenie.

Maria podniosła wzrok na szczyty gór. Ten widok nigdy jej się nie znudzi. I do tego ta cisza, w mieście zupełnie nieosiągalna. I pustka. Powiew wiatru owionął jej twarz. Było pięknie.

Bruser poczłapał na swoje ulubione miejsce – dołek pod wysoką tują. Zwinął się w kłębek i przykrył pysk przednią łapą. Serce jej się ścisnęło na ten widok. Jeszcze dwa lata temu wystrzeliłby z domu jak strzała i pobiegłby przed siebie w poszukiwaniu psich przygód, rok temu truchtem obiegłby dom, by sprawdzić, jakie zwierzęta weszły na jego terytorium w nocy. Teraz było go stać już tylko na to, by dowlec się pod tuję i spędzić tam większość dnia. Cholerny upływ czasu!

Z głębi domu dobiegł dźwięk telefonu. Poczowała delikatne ukłucie niepokoju.

Któż to może dzwonić o tej porze?

4

– To jak, wyjaśnisz mi, skąd znałeś Lidię? – spytała Agata.

Byli już w samochodzie i jechali do jego mieszkania. Kermit zdążył zadzwonić do mamy. Poprosił, żeby obudziła ojca i uprzedził, że za pół godziny będzie chciał z nimi porozmawiać na Skypie. Jeśli nie mógł zrobić tego osobiście, to chciał być chociaż wirtualnie twarzą w twarz, przekazując im smutne wieści.

– Tak, przepraszam. – Przeciągnął dłonią po twarzy, próbując się pozbierać. Był zupełnie wytrącony z równowagi. – Wiem, że pewnie trudno ci będzie w to uwierzyć, ale Lidia Kania była przyjaciółką mojego brata.

– Grześka?

Kermit nie skomentował błyskotliwości pytania Agaty, choć mógł – brata miał przecież tylko jednego.

– Grześka. Gdy byli nastolatkami, bardzo się przyjaźnili: on, Lidia i jeszcze jedna dziewczyna.

– On i Lidka byli parą?

– Nie wiem, chyba nie. Pamiętaj, że on jest ode mnie o dziesięć lat starszy. W czasie, gdy się przyjaźnili, ja miałem jakieś sześć, może siedem lat. Nawet jeśli coś między nimi było, to przede mną się z tym nie obnosili. Ale na pewno byli ze sobą bardzo

blisko. Sama wiesz, jakie są przyjaźnie w tym wieku. Gdy masz naście lat, przyjaźnisz się na zabój.

– Racja.

– I to była taka właśnie przyjaźń. Oni dosłownie wszystko robili razem, spędzali ze sobą każdą wolną chwilę. Spotykali się rano, rozstawali późnym wieczorem, chyba że jeszcze szli na imprezę. Mieszkaliśmy wszyscy na jednej ulicy. Anka i Grzesiek chodzili do jednego liceum, Lidka do innego, ale wieczory i weekendy zawsze spędzali razem. Snuli się po osiedlu, przesiadywali u kogoś w domu albo jeździli na jakieś koncerty czy gdzieś tam... Nie wiem dokładnie, co robili. Byłem za mały, żeby mnie zabierali ze sobą. Nasi rodzice też się przyjaźnili.

– I co było dalej? Mówisz w czasie przeszłym, więc domyślam się, że przyjaźń się skończyła. Tak po prostu przestali trzymać się razem?

Kermit pokręcił głową.

– Nie, niestety nie tak po prostu. Jak już mówiłem, przyjaźnili się we trójkę. Grzesiek, Lidka i jeszcze taka Anka. Anka Polko. No i właśnie ta Anka... – Kermit urwał, jakby próbując znaleźć właściwe słowa.

Agata położyła mu dłoń na rękę, którą trzymał na dźwigni zmiany biegów.

– Co z nią? – spytała.

– Ona zginęła w wypadku. Boże, to było straszne. Chociaż miałem tylko siedem lat, pamiętam do dziś, jak wszyscy płakali. Gdzieś słyszałem, że jak dziecko widzi płaczącego ojca, płaczącą matkę, to ma wrażenie, że wali mu się świat. To bzdury. Ja

czułem przede wszystkim bezradność. Po raz pierwszy w życiu byłem przekonany, że powinienem ich jakoś pocieszyć, ale zupełnie nie wiedziałem, jak to zrobić. Poza tym to była pierwsza śmierć kogoś bliskiego. Dopiero wtedy dowiedziałem się, co to tak naprawdę znaczy, gdy ktoś umiera, gdy ktoś po prostu przestaje być. Śmierć Anki pozostawiła wyrwę w naszym domu. Choć w zasadzie nie zwracała na mnie uwagi, bo byłem tylko smarkatym bratem jej przyjaciela, to jednak prawie codziennie u nas bywała. I nagle przestała bywać. I wszystko się zmieniło. Mój brat zaraz potem wyprowadził się z domu. Miał prawie osiemnaście lat, mógł to zrobić. Wyjechał do Łodzi i tam zaczął życie na własny rachunek. Domyślasz się, że rodzice nie byli specjalnie zadowoleni. Od tamtej pory widziałem go raptem kilka razy.

– Myślisz, że to śmierć tej Anki tak na niego wpłynęła?

Kermit wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nikt ze mną o tym nie rozmawiał, ja też nikogo nie wypytywałem. Może wydarzyło się coś jeszcze. Zawsze myślałem, że pokłócił się o coś z rodzicami, może kilka spraw się nawarstwiło. Nie chcę zgadywać...

– I z Lidią też już się nie kontaktował?

– Lidka wyjechała do Anglii. Wtedy nie było to takie proste jak teraz, ale dało się. Nie wiem, jak długo tam mieszkała, ale na pewno dłużej niż kilka miesięcy. A może dopiero teraz wróciła do Polski? Naprawdę nie wiem... Kiedy dzieciaki przestały trzymać się razem, kontakty między rodzicami też się poluzowały. Myślę, że mama i tata od wielu lat nie mają

kontakty z rodzicami Anki czy Lidki. W każdym razie nie wspominają o nich.

– A jednak chcesz im powiedzieć o jej śmierci.

– No jasne! Na pewno chcieliby wiedzieć. Myślę, że będą chcieli przyjechać na pogrzeb. Był czas, kiedy była dla nich prawie jak córka. No i Grzesiek... Ja nie mam do niego numeru, ale może oni mają. Myślę, że on też powinien wiedzieć.

Wjechali do garażu podziemnego w budynku, w którym mieszkał Kermit. Agata nie lubiła garaży podziemnych, tego przemieszczania się z mieszkania do biura bez spędzenia nawet sekundy na świeżym powietrzu. A już najbardziej śmieszyły ją dziewczyny, które czasem widywała w biurze: w sezonie jesiennym zakładały w swoich czyściutkich mieszkaniach kalosze Huntery, zjeżdżały w nich do garażu, do pracy docierały samochodem, który następnie parkowały w garażu pod biurowcem, i suchą nogą, nie naraziwszy kaloszy na skalenie najmniejszą choćby kropelką deszczu (nie daj Boże błota!) wmaszerowywały do biura. Modnie? Może i modnie, ale przede wszystkim absurdalnie.

Może to był jeden z powodów, dla których nie chciała zamieszkać u Kermita? Taka wymuskana egzystencja zupełnie jej nie odpowiadała. W jego sterylnym apartamencie z windą dowożącą wprost do salonu czuła się obco. Wiedziała, że to trochę głupie. Milion innych dziewczyn nie marzyłoby o niczym innym, jak tylko o przeprowadzce do takiego miejsca, a jednak ona jakoś się w tym nie odnajdywała. Jej dwupokojowe mieszkanie w zwykłym bloku, pod którym zaparkowanie nawet

malutkiego smarta graniczyło z cudem, jakoś bardziej jej odpowiadało. Było bardziej naturalne.

5

18 lipca 1992 roku, godzina 10:20

Lidka stała przed otwartymi drzwiami szafy i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w jej zawartość – zdecydowanie zbyt skromną. Nie miała pojęcia, co na siebie włożyć wieczorem. Jak się uczesać? Wprawdzie to tylko zwykłe ognisko za miastem, ale cóż, nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć na takim zwykłym ognisku. Nie chciała wyglądać jak wypindrzona lala ani jak Kopciuszek oderwany od przebierania grochu. Najlepiej zrobi, jak zapyta Ankę. W końcu to jej towarzystwo ma tam być, jej i Grześka. Koledzy z ich liceum. Fajnie będzie poznać kogoś nowego. Może na przykład jakiegoś chłopaka?

Jej życie było takie nudne. Ciągle tylko szkoła, a po szkole Anka i Grzesiek. Lubiała ich, ale potrzebowała jakiejś odmiany. Dwa tygodnie wakacji minęły, na jakikolwiek wyjazd nie było szans, więc nic dziwnego, że ognisko było wielkim wydarzeniem. Mruknęła z niezadowoleniem. Kiedyś, jak już skończy studia, będzie żyła zupełnie inaczej. Teraz ograniczał ją brak kasy – miała tyle, ile dali jej rodzice, a nie chcieli jej dawać za dużo. W następne wakacje pójdzie do jakiejś pracy. Może

znajdzie coś w jakimś barze nad morzem? Sprzątanie, zmywanie, smażenie frytek – cokolwiek! A po godzinach mogłaby chodzić na plażę – leżeć na piasku i pluskać się w falach. Czyż to nie byłoby cudowne? Może wyjechałoby we trójkę – ona, Anka i Grzesiek?

– Lidka, idziesz? – krzyknęła mama z dołu.

– Zaraz! – odkrzyknęła.

Cotygodniowa wyprawa na bazarek to był rytuał. Już dawno by z tego zrezygnowała, gdyby nie to, że zwykle udawało się naciągnąć mamę na jakiś lakier do paznokci czy inny drobiazg. Oj tak, jak tylko uda jej się znaleźć jakieś zajęcie, to te wyprawy też się skończą. A może już teraz by się za to zabrała? W końcu są wakacje, ma mnóstwo wolnego czasu. Pracy w barze już nie znajdzie, wszystko jest na pewno obstawione przez tych, którzy się ogarnęli na początku lata, ale przecież są jeszcze inne sposoby! Na przykład korepetycje z angielskiego. Przecież zna ten język całkiem dobrze, a może w okolicy jest jakiś dzieciak, który kuje do poprawki, albo dorosły, który chciałby się podszkolić. Tak! To przecież świetna myśl! Jak tylko wróci z bazarku, zrobi ogłoszenia i porozwiesza na słupach. Że też wcześniej na to nie wpadła!

Strój na wieczór wybierze później, ale teraz też trzeba się w coś ubrać. Choć dzień zapowiadał się tak upalny, że najchętniej zostałyaby w samej bieliźnie. Nie było jeszcze południa, a już oddychało się z trudem. Powietrze stało w miejscu, na niebie nie było ani jednej chmury. Włożyła błękitny podkoszulek i białą spódnicę, posmarowała usta wazeliną i ściągnęła długie, rude

włosy w kitkę, ale gdy tylko zobaczyła się w lustrze, z powrotem je rozpuściła. I co z tego, że jest gorąco? Dużo bardziej podobała się sobie, gdy loki otulały jej twarz. Wtedy nie było tak widać tych jej odstających uszu... Ech, mniejsza z tym. Trzeba lecieć, bo mama pójdzie w końcu bez niej.

Zbiegając po schodach, widziała stojącą już przy drzwiach wyjściowych mamę, z wiklinowym koszykiem w ręce.

– Co ty tam robisz tyle czasu?

– Planuję biznesy, mamó.

– Biznesy? – Z salonu dobiegł głos ojca. – Jakie biznesy, jeśli można wiedzieć?

– Jeśli ci powiem, będę musiała cię zabić! – odparła ze śmiechem Lidka, zaglądając do pokoju.

Tata roześmiał się.

– No, skoro tak, to zachowaj to dla siebie, ale jak już będziesz sławna i bogata, to nie zapomnisz o swoim staruszkę?

– W życiu! – Podeszła i cmoknęła go w poszerzającą się z każdym rokiem łysinę.

– Lidka, na litość boską, chodźże już wreszcie! – warknęła stojąca w otwartych drzwiach mama.

– Mamó, przecież jest sobota! Po co te nerwy?

– Dla ciebie sobota, a ja muszę jeszcze obiad ugotować.

– Dobra, idę.

– Zosiu! – krzyknął ojciec do matki.

– Co?

– A może byśmy dziś na wieczór zaprosili Polków i Janachów? Skoro młodzież wybiera się za miasto, to może i my byśmy się

trochę zabawili. Co myślisz?

– No, nie wiem, może...

– Kup coś, żeby na wieczór było.

– Dobra, zobaczę. Chodź, Liduś, idziemy.

6

Agata zdjęła płaszcz, buty, a na stopy wsunęła ciepłe kapcie, które Kermit sprezentował jej na Gwiazdkę. „Żeby łatwiej było ci się tu zadomowić” – powiedział, wręczając jej pakunek. Było to w drugi dzień świąt. Wigilię spędzili osobno – on pojechał do rodziców, ona razem z wujkiem Antonim spędziła ten wieczór u Aśki, swojej siostry. Przez cały okres rozłąki bardzo za nim tęskniła. Po powrocie postanowili, że następną wigilię spędzą razem. Koniecznie. W Warszawie, w Bieszczadach, a może gdzieś zupełnie indziej – ważne, że razem... choć miała nadzieję, że jednak w Warszawie, z wujkiem, Aską i jej dziećmi. Bo jednak święta bez dzieci to niezupełnie święta.

Kermit ruszył prosto do swojej „stacji dowodzenia” – pokoju wypełnionego komputerami, monitorami, milionem kabli i Bóg wie czym jeszcze. Agata nie mogła zrozumieć, po co mu tyle tego – jej całkowicie wystarczał skromny laptop. Jednak już dawno postanowiła w to nie wnikać. Grunt, że czasem się przydawało, jak na przykład w sprawie Leokadii Kochmann. Gdyby nie wkład Kermita, nie odkryliby tak szybko, co się naprawdę wydarzyło... choć wujek Antoni doszedł do tych samych wniosków niemal w tym samym czasie, nie zbliżywszy się nawet do komputera.

Agata wyjrzała przez okno. Dzień był szary, a ulice prawie puste. Większość ludzi była już w pracy, dzieci w szkołach. Jakaś młoda matka z wózkiem biegła truchtem w stronę przystanku. Zarzucona na plecy, napakowana torba podskakiwała przy każdym kroku. „Jak to dobrze, że ja nie muszę się dziś nigdzie spieszyć” – pomyślała Agata.

– Wstawisz wodę na herbatę? – rzucił Kermit.

– Jasne.

Nalała wody do ufo-czajnika (bo jak inaczej nazwać coś, co wygląda jak Dalek z *Doktora Who*?) i przygotowała kubki.

– Zaraz będę się łączył z rodzicami. Chcesz przyjść? – krzyknął Kermit.

– Nie, nie tym razem!

Kermit wyszedł ze stacji dowodzenia i stanął w drzwiach.

– Agata, kiedyś będziesz musiała ich poznać.

Podeszła i przytuliła się do niego.

– Wiem, Kermit, ale nie dziś. Po pierwsze, wolałabym, aby to nastąpiło w jakichś bardziej przyjaznych okolicznościach, a po drugie, naprawdę jakoś kiepsko się dzisiaj czuję. Najchętniej położyłabym się spać. A jak będę poznawać twoich rodziców, to chciałabym być najlepszą z Agat, jakie mam w zanadrzu. No wiesz, w końcu to twoja mama, twój tata...

– Dla mnie wszystkie twoje Agaty są całkiem w porządku – zaśmiał się.

– Dla ciebie może tak...

– Ale, ale, co ja słyszę! Skoro zależy ci na tym, co moi rodzice

o tobie pomyślą, to jakąś tam przyszłość ewentualnie ze mną widzisz?

– Może, może, kto to wie... – odparła żartobliwym tonem.

– No dobra, nie będę nalegał. Może to rzeczywiście nie najlepszy moment, żebyście się poznali. Ale uwierz mi, nie ma się czego bać.

– Taaa, jasne... Łatwo powiedzieć! Już widzę, jak ty byś się nie stresował przed poznaniem mojego ojca – szturchnęła go w bok.

– O, wypraszam to sobie! Przecież z wujkiem Antonim widziałem się nie raz i przynajmniej co drugą środę odwiedzam go razem z tobą!

– Ale to zupełnie inna sytuacja! – zaprotestowała Agata ze śmiechem.

– Taaa, jasne... – zmałpował ją Kermit. – Zupełnie inna sytuacja...

– Dobra, dobra, a ty nie miałaś dzwonić? – powiedziała, odwracając się w stronę czajnika. Woda już się zagotowała.

– Miałem.

Wrócił do stacji dowodzenia, by porozmawiać z rodzicami. Byli bardzo punktualni. Skoro miał zadzwonić o dziesiątej, a było dwie po, to na pewno już czekali na jego telefon, zastanawiając się, co takiego mogło się stać, że się spóźnia.

Agata sięgnęła do torebki, by sprawdzić pocztę. Wprawdzie uprzedziła, że nie wraca już dziś do pracy, ale chciała mieć kontrolę nad tym, co się dzieje. Na szczęście nie działo się nic poważniejszego niż wizyty Pana Kanapki i Pani Sushi. Szeff przesłał jej informację, że faktury wysłane. Poza tym cisza.

Bardzo dobrze.

Włączyła radio, by nie sprawiać wrażenia, że podsłuchuje rozmowę Kermita. Nie to, że nie była ciekawa, jacy są jego rodzice i w jaki sposób z nimi rozmawia – pewnie, że była! Ale nie w ten sposób chciała się tego dowiedzieć.

Leciał akurat stary kawałek Various Manx: „*Zamigotał świat tysiącem gwiaaaaazd; tysiąc nowych pytań przywiał wiaaaaatr*” śpiewała Anita, a Agata, wtórując jej w duchu – wszak jak każdy w jej wieku znała tę piosenkę na pamięć – bujała się z kubkiem herbaty w rękę.

„Czy kiedyś ten tekst przestanie być taki prawdziwy?” – pomyślała. – „Czy kiedyś nadejdzie taki moment w moim życiu, że będę miała więcej odpowiedzi niż tych cholernych pytań? Czemu pytania atakują człowieka same, a żeby znaleźć odpowiedzi, trzeba się nieźle naszukać i nieraz trochę poobijać?”

Piosenka właśnie dobiegała końca, gdy usłyszała za sobą Kermita. Jego tajemniczy uśmiezek nie wróżył niczego dobrego.

- No już! Mów! – ponagliła go.
 - Przyjeżdżają – odparł, unosząc brwi.
 - Kto? Jak to?! – Agata prawie wypuściła z rąk kubek z gorącą herbatą.
 - Moi rodzice.
 - Ło matko! Ratuj się, kto może! Kermit, ja uciekam!
- Kermit się roześmiał.

– Widać, że nie znasz mojej mamy, skoro sądzisz, że uda ci się uciec.

– Nie no, bądź poważny – fuknęła. – Naprawdę przyjeżdżają?

– Naprawdę. Mówię zupełnie poważnie. Powiedzieli, że tylko spakują najpotrzebniejsze rzeczy, poproszą sąsiadkę, by zaopiekowała się psem, i ruszają w drogę. Zostaną kilka dni.

– Ale co im strzeliło do głowy, żeby teraz przyjeżdżać? – zapytała Agata i od razu zapragnęła ugryźć się w język. Nie chciała w taki sposób wyrażać się o rodzicach Kermita. Mógłby się poczuć urażony. Gdyby ona miała rodziców, to nie chciałaby, żeby on tak o nich mówił... Ale wyglądało na to, że jej wypowiedź nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, gdyż odparł zupełnie nieurażony: – Powiedzieli, że fakt, że nie widują się z matką Lidki tak często, jak kiedyś, w niczym nie umniejsza ich przyjaźni i że nie wyobrażają sobie nie być przy niej w takiej chwili. Co prawda od kilkunastu lat się nie widzieli, nie rozmawiali od jakichś pięciu, ale czują, że w takiej sytuacji powinni przyjechać.

– Ale...

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Chcesz powiedzieć, że skoro nie mieli bliskiego kontaktu, to matka właśnie zabitej dziewczyny może wcale nie ma ochoty ich widzieć, jednak dla mojej mamy w tym względzie nie ma żadnych „ale”. Ona wie najlepiej, na czym polega jej przyjaźń i nie przetłumaczysz, no po prostu nie przetłumaczysz! Próbowałem im powiedzieć, że może przyjechaliby za miesiąc, dwa, jak emocje trochę opadną, ale to nic nie dało. Mogłem przewidzieć, że tak to się skończy...

Kermit wyraźnie podzielał jej zdanie na temat moralnych aspektów tej wizyty. Agata postanowiła więc skupić się na bardziej przyziemnych sprawach.

– I gdzie będą spać? – spytała.

Kermit zrobił wielkie oczy.

– Tu, oczywiście. Miejsca jest dosyć. Nie ma sensu lokować ich w jakimś hotelu.

„No to nici z miłego wieczoru” – pomyślała Agata, a na głos powiedziała: – Kermit, wybacz, ale w takim wypadku ja tu nie zostanę. Głupio bym się czuła...

– Spoko, rozumiem, że nie chcesz nocować, ale spotkać się musicie.

– Musimy? – spytała, choć odpowiedź była przecież oczywista.

– Ależ oczywiście, że tak! Jak sobie to wyobrażasz? Przyjeżdżają do Warszawy po raz pierwszy od jakiegoś pierdyliarda lat! Jeśli się z nimi nie spotkasz, to będzie naprawdę dziwnie wyglądało...

– No dobra, masz rację. Będą tu za ile? Za jakieś sześć godzin, prawda?

Kermit szybko przeliczył dzielące ich kilometry na godziny.

– Tak, mniej więcej za tyle powinni być.

– Dobra, potem możemy się spotkać. A tymczasem ja pojedę do domu.

Już zaczęła szukać w telefonie numeru po taksówkę.

– Nie poczekasz ze mną?

– Nie. – Agata pokręciła głową. – Chcę wziąć prysznic, przebrać się, może trochę się prześpię. Naprawdę jakaś

padnięta jestem.

– No widzę, widzę. To chodź. – Objął ją i poprowadził na kanapę. – Siadaj tutaj, zadzwoń spokojnie po taksę, zrób w domu, co tam masz do zrobienia, i zobaczymy się wieczorem, OK?

– OK.

7

Agata z ulgą zamknęła za sobą drzwi do mieszkania. Torbę rzuciła na komodę w przedpokoju, płaszcz na pierwsze lepsze krzesło, a buty ściągnęła, idąc do łazienki. Może jej ciało tylko prosiło o prysznic, ale jej dusza wręcz o niego błagała! Tydzień ją wymęczył, a piątek, choć jeszcze nie było południa, też dołożył swoje.

Rozebrała się i włączyła wodę – tak ciepłą, jak tylko była w stanie wytrzymać. Gorące strumienie lały się po jej włosach i plecach, spłukując makijaż, pot i stres. Nie zdołały jednak oczyścić myśli z wydarzeń dzisiejszego dnia. Nie mogła przestać myśleć o Lidii. Dziwne, bo przecież ledwo się znały. A jednak wciąż miała przed oczami jej twarz – kręcone, farbowane na rudawo-kasztanowy kolor włosy, spięte z tyłu spinką w swobodny koczek. Do tego wąski nos, o jakim wspominał Kermit, lekko piegowata cera i orzechowe oczy. Usta wąskie, otoczone siecią drobniutkich zmarszczek. Kim tak naprawdę była? Co kryło się za tą w sumie atrakcyjną twarzą? I czemu ktoś ją zabił?

Bo Agata ani przez chwilę nie miała wątpliwości, że to nie był zwykły wypadek, ale po prostu morderstwo. Przecież to niemożliwe, by kierowca przed przejściem przyhamował, a potem dodał gazu, potrącił przechodnia, cofnął się, znów w niego wjechał i uciekł. A z tego, co zdążyła usłyszeć w firmie, kilkoro świadków wypadku zarzekało się, że wyraźnie to

pierwsze przyhamowanie widziało. Wyglądało to, jakby kierowca chciał ją przepuścić. Agata sama nie raz przechodziła przez to przejście i bardzo często kierowcy puszczali tam pieszych. Ją samą przynajmniej dwa razy dziennie. Tym bardziej było to przerażające. Tak prosty sposób na zabicie kogoś – namierzyć go na przejściu, zwolnić, poczekać aż wejdzie na pasy, a potem BACH! i po sprawie. I dla pewności przejechać jeszcze raz.

Ciekawe, czy to był ktoś, komu Lidia czymś zawiniła, czy po prostu jakiś oszołom, który postanowił kogoś rozjechać. Mało to wariatów chodzi po tym świecie? Weźmy choćby tego, który staranował samochodem pieszych w Sopocie. Niczym mu nie zawinili, a jednak nie miał dla nich litości. Być może Lidia też padła ofiarą tego typu idioty, który ubzdurał sobie, że kogoś zabije, a Lidia akurat mu się nawinęła. To prawdopodobne. Dużo bardziej prawdopodobne niż to, że ktoś polowałby właśnie na nią. Nie wyglądała na kogoś, kto by miał wrogów. Sprawiała raczej łagodne wrażenie. No, ale jasne, że Agata nie jest osobą, która może na jej temat specjalnie dużo powiedzieć, po tych raptem kilku zdawkowych rozmowach, które przeprowadziły przy ekspresie do kawy. Jednak na rzecz hipotezy o przypadkowym zabójcy przemawiał fakt, że Lidia przez wiele lat przebywała poza krajem. Z krótkiej notki przedstawiającej ją w newsletterze firmowym wynikało, że do Polski wróciła dopiero dwa miesiące temu. Kermit mówił, że jako młoda dziewczyna wyjechała do Anglii. Nie ma powodów sądzić, by w międzyczasie mieszkała w Polsce – zresztą Kermit na pewno to sprawdzi. O

ile go zna, to siedzi właśnie w stacji dowodzenia i sobie tylko znanymi sposobami próbuje odtworzyć ostatnie dwadzieścia lat życia Lidii. Gdy spotkają się wieczorem, na pewno będzie mógł powiedzieć coś więcej.

Pocieszające było to, że kilkoro świadków wypadku zanotowało numery rejestracyjne pojazdu, który ją potrącił. Pewnie więc nie potrwa długo, zanim policja namierzy tego degenerata. Pewnie będzie starał się ukryć, ale ile można się ukrywać? Prędzej czy później na pewno go znajdą. A ona od tej pory dwa razy się zastanowi, zanim wejdzie na pasy, przed którymi hamuje jakiś pojazd.

Zakręciła wodę i energicznymi ruchami wytarła ciało, próbując pobudzić krążenie i w ten sposób trochę się rozbudzić. Potem wsmarowała w ciało balsam o zapachu mięty. Może chociaż to pomoże? Zawinęła się w szlafrok i ruszyła w kierunku łóżka.

Jej wzrok padł na stojącą obok indyjską półkę na wino, która służyła jej za stolik nocny. Musi ją w końcu spakować, zawieźć na pocztę i wysłać do Maksa – jej byłego chłopaka. Od ich rozstania nie udało mu się z nikim związać na stałe i wolny czas umiłał sobie, zatruwając życie Agacie. Lubował się w wydzwanianiu do niej w najmniej odpowiednich porach i zawracaniu tyłka jakimiś duperelami, na przykład tą szafką. Od pół roku przynajmniej raz w miesiącu dzwonił, że koniecznie musi ją odebrać, umawiał się, po czym się nie zjawiał. Ot, taka mała zemsta za to, że w przeciwieństwie do niego, jej wiodło się całkiem dobrze. Może w weekend uda jej się

to zrobić? Byłoby dobrze mieć to w końcu z głowy – tyczyło się to w równym stopniu Maksa, co szafki, która przez złe skojarzenia straciła większość swego uroku.

W mieszkaniu było ciepło, ale chłód na dworze stwarzał potrzebę przytulności, dlatego Agata wsunęła się pod kołdrę. Wprawdzie nie zamierzała spać – kto to słyszał, spać w samym środku dnia! – ale przezornie nastawiła budzik na szesnastą.

I bardzo dobrze zrobiła, bo nie minęło nawet piętnaście minut, gdy spod naciągniętej po czubek nosa kołdry zaczęło wydobywać się cichutkie chrapanie.

8

Zofia Kania siedziała sztywno przy stole w kuchni. Pustym wzrokiem patrzyła przez okno. Drobne strugi szarego deszczu chłostały szybę. Świat płakał razem z nią.

Spojrzała na trzymane w dłoni zdjęcie Lidki – stare, z pozawijanymi rogami. Ostatnie, na którym była szczęśliwa. Pogładziła palcem twarz córki i znów zalała się łzami. Czuła wręcz fizyczny ból, jakby ktoś włożył dłoń do jej ciała i ścisnął – ścisnął gardło tak, że nie mogła złapać tchu, ścisnął serce tak, że nie było w stanie już bić. I niech nie bije. Po co ma bić? Dla kogo? Już nie ma dla kogo żyć. Nie miałyby nic przeciwko temu, by umrzeć tu, przy tym stole, w tym właśnie momencie.

W zeszłym miesiącu była piętnasta rocznica śmierci jej męża. Do tej pory pamiętała swoje przerażenie, gdy znalazła go martwego na kanapie. Krzyk, płacz, rozpaczliwe wołanie o pomoc, telefon na pogotowie, po którego przybyciu lekarz stwierdził to, co dla niej było oczywiste, gdy tylko go zobaczyła – zgon. Najgorsze było poczucie opuszczenia, samotność i niedająca się odpędzić myśl: „Jak ja sobie teraz poradzę?”. Bo do tamtej pory ona dbała o to, by obiad był ugotowany, a kurze pościerane, on natomiast załatwiał całą resztę. A jednak pozbierała się. Z pomocą prawnika wyprostowała sprawy spadkowe, uporządkowała rachunki, nauczyła się funkcjonować bez niego, bo miała dla kogo. Wiedziała, że gdzieś tam jest jej córka i choć widują się bardzo rzadko, to Zofia jest

jej wciąż potrzebna. Bo człowiek nie jest samotny wtedy, gdy nikogo przy nim nie ma, tylko wtedy, gdy nikt o niego nie dba, a Zofia, choć nie była przy Lidce tak blisko, jakby chciała, to zawsze o nią dbała. Przesyłała jej paczki, modliła się za nią, myślała o niej dzień w dzień. A gdy córka powiedziała jej, że wraca do kraju, przez cały dzień nie mogła przestać płakać. Łzy szczęścia lały się nieprzerwanym strumieniem. Jej Lidka, jej córka, nareszcie wraca. Zofia nie zostanie na starość sama. Znow miała na co czekać, znow miała po co żyć, choć trudno było uwierzyć jej w to, że Lidka naprawdę wróci. Ale wróciła.

Zofia na jej przyjazd wysprzątała mieszkanie. Wymiotła kurze z najgłębszych zakątków, wyniosła całe pudła niepotrzebnych rupieci, kupiła nowe serwety na komody i nowy obrus – błękitny, w maleńkie białe kwiatuszki. Lidka zawsze lubiła niebieski kolor. Gdy była nastolatką, ciągle prosiła Zofię, by pozwoliła jej przemalować ściany w pokoju na niebiesko. „Będę się czuła jak w niebie, mamó” – argumentowała, Zofia jednak konsekwentnie odmawiała. „A co ja zrobię z tymi ścianami, jak się wyprowadzisz? Zamieszkas u siebie, będziesz sobie malowała mieszkanie, jak ci się podoba, ale w moim domu ściany mają być białe”. Jak potem żałowała tych słów, tego swojego głupiego uporu! Przez te wszystkie lata, które Lidka spędziła za granicą, Zofia nie mogła opędzić się od myśli, że może gdyby pozwoliła jej te ściany przemalować, Lidka by nie wyjechała. Czuła podskórnie, jak głupie było to rozumowanie, a jednak od czasu do czasu powracało, jak uporczywe bzyczenie muchy.

Znów spojrzała na zdjęcie. Usta Lidki rozciągnięte w radosnym uśmiechu, jedna brew żartobliwie uniesiona nieco wyżej niż druga. Bluzka z bufiastymi rękawkami – na zdjęciu szara, w rzeczywistości niebieska. Zofia dobrze ją pamiętała: musiała ją zwęzić, żeby nie wisiała na szczuplutkiej Lidce jak worek. Po powrocie Lidka nie była już taka szczuplutka, ale nadal była jej córeczką. Jej ukochaną, jedyną córeczką. A teraz w ogóle jej nie było.

Podniosła kubek z zimną już herbatą i z całej siły cisnęła nim w przeciwległą ścianę. Włożyła w ten rzut całą swoją wściekłość, cały swój ból. Z satysfakcją obserwowała, jak brązowy płyn rozchlustuje się na białej ścianie. „I dobrze” – pomyślała i choć nie zwykła używać wulgarnego języka, bywają w życiu chwile, w których przekleństwa same cisną się na usta, bezwiednie dodała więc: „Chuj strzelił białe ściany”.

9

„*Tonight I'm gonna have myself a real good time, I feel alive*” – zaśpiewał Freddie, a Agata po raz pierwszy w tekście, który zwykle dodawał jej energii, dostrzegła głównie ironię. Taaa, ale będzie zabawa, normalnie ubaw po pachy.

Wyłączyła budzik i spojrzała w okno. Wciąż było szaro, bezbarwnie i zniechęcająco. Nic tylko spać i spać. Najchętniej nie wychodziłaby z łóżka przez cały wieczór, noc, a może i przez cały weekend. Zerknęła jeszcze raz na telefon. Nic, żadnych wiadomości. Przymknęła oczy, jeszcze tylko na chwilę, góra pięć minut.

Pomyślała o Lidii. Była ciekawa, czy policja zidentyfikowała już kierowcę, który ją potrącił. Miała nadzieję, że ten bydlak siedzi już w areszcie i że prędko nie wyjdzie na wolność. Uchyliła powiekę, by sprawdzić, czy pięć minut już minęło, i w tym momencie zadzwonił telefon.

– Kermit?

– No hej. Jak żyjesz? Lepiej trochę?

– Eee, niespecjalnie. Dopiero się obudziłam. Jakoś osłabiona jestem po tej zimie, ciągle chodzę zmęczona. Chyba pojedę jutro do sklepu, nakupię owoców i warzyw i zrobię sobie witaminowy tydzień pełen koktajli, sałatek, zup i innych tego typu atrakcji.

Wchodzisz w to?

– Jasne! – Co zadziwiające, entuzjazm w jego głosie brzmiał całkiem szczerze. – A ja w czasie, gdy ty słodko spałaś, próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego, jak Lidia spędziła ostatnie dwadzieścia lat.

Agata uśmiechnęła się pod nosem. Wiedziała, że Kermit to zrobi. Choć przy pomocy komputera z dostępem do Internetu potrafił dowiedzieć się chyba wszystkiego co ktokolwiek, kiedykolwiek, gdziekolwiek w sieci zapisał, przy korzystaniu ze swoich zdolności kierował się jedną, żelazną zasadą: nie naruszał cudzej prywatności. Z tym, że nie dotyczyło to osób martwych ani osób potencjalnie zamieszanych w czyjąś śmierć. Dzięki ci, Boże, za zasady, ale jeszcze większe dzięki za wyjątki od nich!

– No i co? – Ciekawość nieco ją rozbudziła.

– No i nic! W każdym razie niewiele. Opowiem ci, jak się spotkamy. Ale dzwonię do ciebie w zupełnie innej sprawie. Moi rodzice już tu są.

Ta wiadomość otrzeźwiła Agatę skuteczniej niż najmocniejsza kawa. Momentalnie usiadła na łóżku, wyprostowana jak struna.

– Tak szybko przyjechali?!

– No wiesz, w piątek to się raczej z Warszawy wyjeżdża, a nie do niej przyjeżdża, więc nie było po drodze żadnych korków. Co ty na to, żebyśmy wpadli po ciebie za godzinę?

– No dobra, przez godzinę jakoś się ogarnę. A dokąd jedziemy? Do jakiejś restauracji?

– Nie, nic z tych rzeczy. Pojedziemy do mamy Lidki. Mama już się z nią umówiła.

– Ale po co ja mam tam jechać?

– No wiesz, w końcu ją znałaś...

– Ale jak ja ją znałam?! Zamieniłam z nią raptem kilka słów i tyle! Trudno nazwać to szczególnie bliską znajomością. Nie wiem, czy powinnam tam się łądować w takim momencie.

Odpowiedziała jej cisza. Przez chwilę biła się z myślami. Nie chciała tam jechać. Nie wiedziała, po co miałyby to robić. Będzie się czuła niezręcznie. Jak się zachować w towarzystwie obcej kobiety, której właśnie ktoś zabił córkę? Nie były to też wymarzone okoliczności, w jakich chciałyby poznać rodziców Kermita. A jednak... jednak był pewien powód, dla którego mogłyby się zgodzić. Są tacy, którzy zwaą go pierwszym stopniem do piekła. Jeśli zgodzi się z nimi pojechać, dowie się, na jakim etapie jest policyjne śledztwo. Zmarszczyła nos. To, że Kermit jej nie namawiał ani nie popędzał, świadczyło o tym, jak dobrze ją zna. Siedział tam sobie po drugiej stronie i uśmiechał się, czekając, aż ciekawość zwycięży. A niech go!

– No dobra, pojedę – bąknęła.

Oczami wyobraźni ujrzała szeroki uśmiech, jaki zapewne właśnie wykwitł na jego twarzy. Nie mógł powstrzymać się przed komentarzem: – Wiedziałem!

– Ty zawsze wszystko wiesz, panie wszechwiedzący!

– No to do zobaczenia za godzinę.

Już chciał się rozłączyć, ale Agata w ostatniej chwili zawołała:

– Kermit! Tylko spotkamy się na dole, OK? Bo siebie przez tę

godzinę ogarnę, ale mieszkania już nie zdążę!

Cóż, nigdy nie należała do przesadnie porządnickich.

– Dobra.

– Poważnie mówię. Żebyś mi tu ich pod żadnym pozorem nie przyprowadzał, rozumiesz? Inaczej koniec z nami. Nawet jeśli ja cię nie zostawię, to twoja mamusia mnie pogoni, jak zobaczy ten pierdolnik.

Kermit się roześmiał.

– Rozumiem, pa!

Odłożyła telefon na indyjską szafkę na wino i westchnęła. No cóż, trzeba się zbierać. Bo czym jest godzina, gdy człowiek siedzi w łóżku rozpieprzony, każdy włos w inną stronę, wzrok błędny, twarz rozmemłana, a przed nim naprawdę ważne spotkanie?

10

Wjeżdżając do Warszawy, Maria poczuła dreszcz ekscytacji. Przed nią tak dużo ważnych spotkań. Nareszcie pozna Agatę. Piotr tak często o niej mówił. Odkąd ją poznał, wspominał o niej w każdej rozmowie. Maria nie starała się wyciągać od niego informacji, żeby go nie zrazić, ale każdy tego rodzaju wtręt ją cieszył. Tak bardzo chciała, by choć jeden z jej synów ułożył sobie życie. Starowała się nie być jedną z tych matek, które mają gotowy przepis na szczęście swoich dzieci i z uporem maniaka nalegają, by te ściśle się go trzymały. Podmiejski dom z ogródkiem? Wiedziała, że to nie dla każdego. Niektórym odpowiada życie w centrum miasta. Małżeństwo? Rozumiała, że dla obecnego pokolenia może być już przeżytkiem. Wnuki? Jasne, że by chciała, ale szanowała prawo synów do rozporządzania własnym życiem. A jednak gdyby któryś z nich znalazł odpowiednią kobietę, z którą zdecydowałby się iść przez świat, byłaby szczęśliwsza, spokojniejsza. Nie mówiąc już o wnukach...

Spojrzała na prowadzącego samochód Stanisława i z czułością pogłaskała jego szorstką, pomarszczoną dłoń, pewnie trzymającą dźwignię zmiany biegów.

Na chwilę oderwał wzrok od drogi i zerknął na nią.

– Co tam?

– Ach – westchnęła. – Nic takiego.

– Myślisz o tej Agacie, prawda?

Po przeszło czterdziestu latach wspólnego życia znał ją na wylot. Skinęła głową, a on, dostrzegłszy ten ruch kątem oka, uśmiechnął się pod nosem.

– Tak bym chciała, żeby im się dobrze ułożyło, żeby to była taka fajna dziewczyna, żeby go nie skrzywdziła.

– Marysiu, to jest dorosły mężczyzna.

– Wiem, wiem. Nie zamierzam się przecież wtrącać. Ale cieszę się, że w końcu ją poznamy.

– No, z tym „w końcu” to trochę przesadziłaś. Przecież spotykają się zaledwie od pół roku!

– Ty mnie przedstawiłaś rodzicom po miesiącu znajomości...

– Ale to były inne czasy, Marysiu. A poza tym ja od razu, od momentu, gdy pierwszy raz cię zobaczyłem, wiedziałem, że już cię nie puszczę.

Uśmiechnęła się półgębkiem, co również nie umknęło jego uwadze.

– Ale nie tylko o to chodzi, prawda? Coś jeszcze cię gnębi.

– Och, Stasiu, przed tobą to nic się nie ukryje.

– No, to mów! Nie każ, bym to z ciebie wołami wyciągał.

Maria spuściła wzrok i skubiąc frędzelki szalika, wyznała: – Tak teraz się zastanawiam, czy to była dobra decyzja, żeby przyjeżdżać do Warszawy. A jeśli Zofia nie zechce nas widzieć? Gdy Piotr powiedział nam o Lidce, to był po prostu impuls. Poczułam, jakby te lata rozłąki z Zofią nie istniały i że jako

przyjaciółka powinnam przy niej być. Nie mogłabym postąpić inaczej. Rozumiesz, o co mi chodzi? – Stanisław pokiwał głową. – No, a teraz już nie jestem tego taka pewna. Co jeśli, gdy stanę w jej drzwiach, okaże się, że jest dla mnie zupełnie obcą osobą? Że nic nas nie łączy? Że te lata, które upłynęły bez kontaktu, jednak mają znaczenie? Ja wyjdę na idiotkę, a ona będzie czuła się skrępowana. Nie chcę jej krępować, chcę tylko pomóc jej przejść przez ten trudny czas. Jeśli w ogóle w tym można jakoś pomóc... A ona nie ma nikogo bliskiego.

Minęli właśnie tablicę oznajmiającą, że wjechali na teren Warszawy.

– Marysiu, spędziliśmy w samochodzie ponad pięć godzin. Zaraz dojedziemy do Piotra. Widziałaś, jak się ucieszył, gdy powiedziałaś mu, że natychmiast przyjeżdżamy? Był naprawdę zadowolony, więc decyzja o przyjeździe do Warszawy na pewno nie była zła. Nie odwiedzaliśmy go od wieków.

– Prawda. To aż trochę wstyd...

– Właśnie. Więc jeśli sprawimy mu tym przyjemność, to świetnie. Jeśli *w końcu* – tu położył nieco ironiczny nacisk – poznamy Agatę i ona okaże się tak dobra, jak wynika to z opowieści Piotra, to jeszcze lepiej. Odwiedzimy też Zofię i zobaczymy, co się stanie. Jeśli zauważymy, że bardziej jej przeszkadzamy, niż pomagamy, złożymy po prostu kondolencje i tyle. A jeśli okaże się, że nasza obecność przynosi jej choćby drobną ulgę, będziemy do jej dyspozycji tak długo, jak będzie trzeba. Brzmi to rozsądnie?

– Brzmi – potwierdziła Maria. Była mu wdzięczna.

Jak nikt inny potrafił rozwiać jej wątpliwości, które w obliczu stresu pojawiały się w jej umyśle jak grzyby po deszczu. Zawsze widział, gdy coś ją trapiło, zawsze potrafił znaleźć odpowiednie słowa, które znów ustawiały ją do pionu i wskazywały sens tam, gdzie ona przestawała go widzieć. Jednak kochała go również za to, że gdy trzeba było, potrafił milczeć. Oczywiście było, że nie tylko Piotr i Zofia zaprzęтали jej myśli. Przecież był jeszcze Grzegorz. A jednak istnienie starszego syna od lat zasnuwało milczenie, bo zarówno Stanisław, jak i Maria potrafili ze sobą rozmawiać, ale potrafili też milczeć wtedy, gdy słowa nie mogły przynieść już nic dobrego.

A co mogliby powiedzieć o Grzegorzu? Tylko tyle, że im go brak, ale to akurat nie było nic nowego. Wyrwa w sercu ziała pustką już od lat i powoli zaczęła się zablizniać. Musiała przyznać rację tym, którzy mówili, że czas leczy rany, choć na początku, gdy syn się od nich odwrócił, uważała to za największą bzdurę świata. A jednak myślała o nim coraz rzadziej. Minęły czasy, gdy każdego wieczora, leżąc w łóżku, zastanawiała się, gdzie jest i jak sobie radzi, czy nie popadł w jakiś nałóg. Bo nie myślała nigdy o tym, czy jest szczęśliwy. Wiedziała, że nie jest, ale i to bolało coraz mniej. Racjonalizowała sobie, że dzieci przecież dorastają i przychodzi moment, kiedy trzeba pozwolić im odejść. Tylko czemu muszą odchodzić tak daleko, że stają się zupełnie nieosiągalne? Gdzie popełniła błąd?

Popatrzyła z czułością na męża. Gdyby nie on, dużo trudniej

byłoby jej to znieść. No i był jeszcze Piotr. Syn, z którego była prawdziwie dumna. Syn, który ich kochał. Syn, z którego czerpała pociechę. I już za pół godziny się spotkają. Przytuli go i po raz kolejny zdziwi się, jak to się stało, że jest już dorosłym mężczyzną. Pięknym, dorosłym mężczyzną, który przedstawi im swoją narzeczoną. Potrząsnęła głową i zaśmiała się pod nosem. Jaką narzeczoną? Przecież to tylko jego dziewczyna! Jednak o żadnej poprzedniej nie mówił tak dużo i z takim entuzjazmem. Bardzo chciała już ją poznać.

11

Agata spojrzała w lustro, by przed godziną zero po raz ostatni sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak się denerwowała. Może przed obroną pracy magisterskiej? Bo potem to już chyba nie.

Prosta, czarna sukienka do kolan, z długimi rękawami, wydawała się odpowiednia do okazji. Agata lubiła ubierać się na czarno, więc nie miała problemu ze znalezieniem czegoś odpowiedniego. W sumie jakby ktoś zajrzał do jej szafy, to mógłby powziąć podejrzenie, że jest w notorycznej żałobie. Nic bardziej mylnego – po prostu miała problem z gustownym zestawianiem kolorów, więc po wielu eksperymentach z ubraniami doszła do wniosku, że poprzestanie na czerni, z niewielką domieszką beżu i bieli – żeby ludzie całkiem nie wzięli jej za wampira – nie jest złym pomysłem. Od lat sprawdzał się doskonale. Poza tym, no cóż, nie bez znaczenia pozostawał fakt, że czarny kolor lepiej niż inne maskuje to, co warto zatuszować.

Twarz też chyba w porządku. Zwykle nie ucinała sobie popołudniowych drzemek, bo była po nich bardziej zmęczona niż przed, lecz tym razem krótki sen wyraźnie jej posłużył. Cienie pod oczami zniknęły, cera była nieco mniej szara. Choć ostatnio non stop czuła się nieciekawie i naprawdę było to po

niej widać, dziś wystarczył delikatny makijaż, by wyglądała jak człowiek. Odrobina podkładu (naprawdę odrobina, a nie cała garść, jak to bywało ostatnio, by jej ktoś nie zgarnął z ulicy do prosektorium z tą szarosiną cera!), beżowy cień, czarna kreska i tusz na rzęsy – to wystarczyło. Tym razem zrezygnowała z czerwonej szminki. To nie była odpowiednia okazja.

Włosy trochę sterczały na boki, więc zwilżyła dłonie wodą i delikatnie je przeczesła. No, powinno być dobrze. Gdyby to ona miała syna, to tak wyglądającą synową zaakceptowałyby bez mrugnięcia okiem.

Choć czuła się gotowa, to gdy usłyszała dzwonek telefonu, ciśnienie jej podskoczyło. Spojrzała na wyświetlacz. Uff... nie Kermit, tylko Aśka.

– No, co tam, siostra? – spytała prosto z mostu. Nie miała teraz czasu na pogaduszki.

– Ojej, przeszkadzam ci w czymś?

– Nie... to znaczy w sumie tak.

– A trochę jaśniej można?

– Zaraz przyjedzie do mnie Kermit...

– No i?

– ...z rodzicami.

Aśka gwizdnęła jak stary marynarz.

– No, no! To nic dziwnego, że jesteś trochę zestrachana!

– Nie jestem zestrachana! – zaprzeczyła Agata, choć owszem, była, i to nie tylko trochę.

– Tak, jasne, właśnie słyszę... Słuchaj, a posprzątałaś trochę?

– Nie.

– NIE?!

– Nie, bo oni nie wchodzą na górę, tylko jedziemy do ich znajomych.

Nie czekając na lawinę dalszych pytań, pokrótce wyjaśniła Aśce, co się dziś wydarzyło.

– Agata, czy ty znów zamierzasz bawić się w detektywa? Ostatnio ledwo uszłaś z tego z życiem!

– Ale byłam skuteczna.

– Wolę, żebyś była żywa niż skuteczna.

– No cóż, ja też, więc uspokoję cię: nie mam żadnych tego rodzaju planów. Jadę tam tylko dlatego, że Kermit mnie prosił, a jego rodzice chcą mnie poznać.

– Tylko dlatego?

– Tylko dlatego.

Może to „tylko” było trochę naciągane, ale Agata nie chciała teraz na ten temat dyskutować. Aśka najwyraźniej też czuła, że przez telefon siła jej perswazji jest znacząco niższa niż twarzą w twarz, więc odpuściła:

– OK, skoro tak, to w porządku. Przy przyszłych teściach będziesz się przecież zachowywała jak dama, a nie nowe wcielenie Herkulesa Poirot.

Agata tylko prychnęła do słuchawki, ale nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Wyobraziła sobie siebie z czarnymi, wymuskanyimi wąsami, w meloniku, eleganckim męskim płaszczu. Tak, to by było interesujące.

– No dobra, masz coś ważnego? Bo w każdej chwili mogą zadzwonić, że już czekają na dole. – Zerknęła na zegar ścienny.

– W zasadzie już powinni być.

– W zasadzie tak, choć jeśli masz teściów na weekend, to może nie będę zawracać ci głowy...

– To nie są moi teściowie!

– Jeszcze nie – zaśmiała się Aśka.

– No mów, o co chodzi.

– Bo jutro na trzynastą Paweł ma zaproszenie od znajomego na obiad, tylko że ci znajomi nie mają dzieci, więc trochę głupio wpadać do nich z naszą rozwrzeszczaną trójką. Ktoś nieprzyzwyczajony mógłby dostać zawału bębenków albo rozstroju fal mózgowych. Teściowa w tym czasie nie może przyjechać, bo ma jakiegoś lekarza, no i pomyślałam, że może ty byś mogła.

– Jasne! Nie ma problemu! Będę o w pół do pierwszej, pasuje?

– Agatka, ale poważnie, jeśli to ci jakoś psuje plany z rodzicami Kermita, to daj znać. Wtedy ja z nimi zostanę, naprawdę, to żaden problem.

Aśka była kochana, że tak powiedziała. Agata dobrze wiedziała, jak jej siostra potrzebuje kontaktu z dorosłymi. Po całych dniach spędzanych z dziećmi, które naprawdę bardzo kochała, obiad w gronie dorosłych brzmiał jak najlepsza impreza świata, dajmy na to karnawał w Rio. Siostra bardzo rzadko prosiła ją o pomoc w opiece nad trójką swoich pociech. Agata nie mogła jej odmówić. W tym momencie jej wzrok padł na paznokcie. No tak! Całkiem zapomniała, że miała poodpryskiwany lakier! Przecież koniecznie musi to zmyć!

– Aśka, jesteśmy umówione, będę o wpół do pierwszej i koniec

tematu. W zasadzie to koniec rozmowy, bo naprawdę zaraz po mnie przyjadą, a ja właśnie zauważyłam, że mam pazury do zmycia. Pa!

– Kocham cię, siostra. Pa! Powodzenia!

Aśka się rozłączyła.

Agata pędem pobiegła do łazienki i zmyła lakier. Gdy płukała ręce, telefon znów zadzwonił. Tym razem to był Kermit.

– Gotowa? – spytał.

– Gotowa.

– No to chodź. Czekamy.

Głęboki wdech. Czapka, szalik, płaszcz. Torebka! Jeszcze torebka. Agata, chwytając ją, tak wyraźnie jak nigdy wcześniej dojrzała wszelkie przetarcia na skóropodobnym materiale. Od kilku miesięcy planowała kupić nową, ale jakoś się nie zebrała. Mogło to mieć coś wspólnego z tym, że nienawidziła łązić po sklepach i znała wiele przyjemniejszych sposobów na spędzanie wolnego czasu, zwłaszcza odkąd poznała Kermita. Och, żeby jego matka nie należała do osób oceniających ludzi po torebkach!

„Choć nie, na pewno tak nie będzie. Ktoś, kto ma takiego fajnego syna, nie może być zły” – pomyślała, przekręcając klucz w drzwiach.

Gdy tylko Agata wyszła z klatki, od razu zdała sobie sprawę z tego, że jej obawy były zupełnie bezpodstawne. Stojąca obok Kermita kobieta wydawała się nie mniej zestresowana niż ona.

Z mocno posiwiałymi, przyszczyżonymi na wysokości ucha włosami, ubrana w dość bezkształtną kurtkę w jakimś szaroburym kolorze, wyglądała zupełnie zwyczajnie. Na ulicy widywała setki takich kobiet. A jednak w tej było coś, co sprawiło, że Agata momentalnie poczuła do niej sympatię. Może to były oczy. Te same orzechowe oczy co u Kermita. Nie potrafiłaby nie polubić kogoś, kto je ma. Teraz te oczy patrzyły na nią nieco niepewnie. Nie oceniająco, ale jakby w obawie przed oceną, którą zaraz wyda Agata.

Obok kobiety, obejmując ją ramieniem, stał jej mąż. On również wyglądał tak zwyczajnie, że na ulicy nigdy nie zwróciłaby na niego uwagi. Ot, typowy pan koło sześćdziesiątki, z wąsem, lekko łysiejący, z kilkoma nadmiarowymi kilogramami. Na widok Agaty uśmiechnął się i wyciągnął do niej dłoń: – Janach Stanisław, bardzo mi miło.

– Agata Brok, mnie również – odparła.

Jego uścisk był mocny i serdeczny, a dłoń twarda i szorstka. Czuć było, że nie stroni od pracy fizycznej, której właścicielowi domku w Bieszczadach na pewno nie brakuje.

Gdy już ją puścił, Agata wyciągnęła rękę do matki Kermita.

– Agata.

– Maria. Naprawdę, bardzo się cieszę, że mogę panią poznać.

Dłoń Marii była zupełnie inna niż dłoń jej męża – sucha, delikatna – a uścisk bardzo lekki.

– Proszę mi mówić Agata.

– Tylko wtedy, gdy ty będziesz do mnie mówić Maria.

– Z przyjemnością!

Stanisław był chyba większym tradycjonalistą, gdyż nie wystąpił z podobną propozycją.

– Witaj, kochanie – powiedział Kermit i delikatnie pocałował ją w usta.

Przypuszczała, że nie krył przed rodzicami natury ich związku, ale do tej pory pewności nie miała. Jednak ten pocałunek, choć był dyskretny, nie pozostawiał miejsca dla enigmatycznych interpretacji w stylu „moja przyjaciółka” czy „koleżanka z pracy”. Jasność sytuacji bardzo jej odpowiadała.

– To jak, chyba nie ma na co czekać? – spytał Kermit. – Jedziemy?

– Jedźmy – zgodziła się Agata i rozejrzała się w poszukiwaniu samochodu Kermita. Nigdzie go nie było.

– Przyjechaliśmy wozem rodziców – wyjaśnił i wskazał zaparkowaną nieopodal srebrną toyotę corollę.

Gdy tylko wsiedli, Agatę uderzył panujący w środku porządek. Jak to możliwe, że pojazd był tak czysty po tak długiej podróży? Żadnych resztek jedzenia, żadnych pustych butelek, żadnych pozwijanych koców. Jak ludzie to robią? Jedyne rozsądne wytłumaczenie było takie, że przed sekundą opuścili myjnię, na której samochód przeszedł przez program „super-hiper-wypas-wyszoruj-samochód-przed-sprzedazą”. Choć nie, to niemożliwe. Już kilkakrotnie zaobserwowała, że chodzi po tej planecie dziwny gatunek człowieka, który potrafi utrzymać czystość w samochodzie. To zupełnie inna odnoga ewolucji niż ta, z której wywodziła się ona sama.

Siedzący obok niej na tylnym siedzeniu Kermit ścisnął ją za

rękę i uśmiechnął się, dodając jej otuchy.

– A więc pani znała Lidkę – zagaił ojciec Kermita.

– Tak, niestety niezbyt długo. – Gdy Agata usłyszała, jak niezręcznie to zabrzmiało, zapragnęła zapaść się pod ziemię. Szybko dodała – Dopiero tydzień temu dołączyła do naszej firmy.

– Tak, takie nieszczęście – westchnęła mama Kermita. – Niedawno wróciła do Polski.

Agata poczuła, że powinna coś odpowiedzieć. Jako że nie znała dobrze Lidki, nie mogła odrzec nic bardziej elokwentnego niż:

– Zgadza się.

– Co za przypadek! Przecież niewiele brakowało, a Piotr spotkałby się z Lidką w jednej firmie – zauważyła Maria. – Gdybyś nie zmienił pracy, pracowalibyście razem – zwróciła się do syna.

– No wiesz, mamó, tych korporacji w Warszawie wcale nie jest aż tak dużo, jak się wydaje. Nie tak trudno trafić na kogoś znajomego.

– Pewnie masz rację, Piotrek, a mimo wszystko wydaje mi się to dziwne...

Dalej jechali w milczeniu. Agata nie mogła przyzwycząić się do tego, że ktoś zwracał się do Kermita per „Piotrek”. W sumie mogła przypuszczać, że rodzice nie mówią na niego Kermit, a jednak były to pierwsze osoby w jej otoczeniu, które zwracały się do niego inaczej niż przez ksywkę.

Zatrzymali się przed blokiem, w którym mieszkała matka

Lidii.

– A może powinniśmy kupić jakieś kwiaty albo czekoladki? Tyle lat się nie widzieliśmy i tak z pustymi rękami przyjechać, to chyba nie bardzo... – Maria spojrzała pytająco na męża.

– Daj spokój, Marysiu. Gdybyśmy przyjechali bez okazji, to może i tak, ale w tych okolicznościach każdy prezent wyglądałby głupio. No już, nie zwlekajmy. Chodźmy do środka, bo raz, że czas leci, a dwa, że jest zimno.

Zamknął samochód i ruszył w stronę budynku, a reszta poszła za jego przykładem. Przy domofonie wystarczyło krótkie „To my” – matka Lidki musiała być uprzedzona o ich wizycie, bo na to hasło otworzyła drzwi.

Klatka schodowa była dość elegancka, winda, która zawiozła ich na trzecie piętro, nie nosiła śladów zniszczeń, było tylko kilka ogłoszeń o remontach czy wymianie okien na nowe. Gdy Agata otworzyła drzwi i wyszła na korytarz, stanęła jak wryta. W drzwiach mieszkania naprzeciwko stał nie kto inny, tylko jej stary znajomy, komisarz Zawada.

Skierował na nią swe żabio-mopsie spojrzenie i na jego wiecznie znudzonym obliczu pojawił się wyraz zaskoczenia.

– Pani Agata?

Hmm... widać, że po tym, jak rozwiązała sprawę śmierci Leokadii Kochmann, raczył zapamiętać jej imię. Miło z jego strony.

– Witam, komisarzu Zawada.

12

Kermit też znał Zawadę – po strzelaninie kończącej śledztwo dotyczące śmierci pani Leokadii oboje musieli złożyć zeznania na komendzie, a Zawada, jako jeden z zaangażowanych w śledztwo policjantów, był oczywiście obecny. Kermit skinął mu głową, na co komisarz odpowiedział równie dyskretnym skinieniem.

Zdezorientowani rodzice Kermita wodzili wzrokiem od policjanta do Agaty, próbując odgadnąć, jakiego rodzaju znajomość może łączyć tę dwójkę. Kermit najwyraźniej uznał, że nie czas na tłumaczenia. Położył dłonie na plecach rodziców i delikatnie skierował ich w stronę drzwi do mieszkania.

– Mamo, tato, może wejdziemy do środka.

Nie musiał ich dłużej namawiać, bo gdy tylko Maria przez szparę w drzwiach ujrzała mamę Lidki, od razu rzuciła się w jej stronę z okrzykiem „Zosia!”. Rozłożyła szeroko ramiona i mocno przytuliła przyjaciółkę. Stanisław stanął pół kroku za żoną, gotów powitać Zofię, gdy tylko Maria się od niej odklei. Kermit rzucił Agacie spojrzenie, które mówiło „Jak chcesz, to zostań, dołączysz potem”. Agata skinęła głową.

Gdy za Kermitem i rodzicami zamknęły się drzwi, Zawada wypalił prosto z mostu:

– Co pani tu robi? Znow się pani bawi w detektywa?

Nie do pomyślenia! Już druga osoba która dziś ją o to pyta! Skąd im to w ogóle przychodzi do głowy? Może była trochę ciekawa, na jakim etapie jest policyjne śledztwo, ale żeby od razu nazywać to zabawą w detektywa? Co za przesada! A Zawada miły i subtelny jak zwykle...

– Nie bawię się w detektywa. Jeśli chce pan wiedzieć, to Lidia Kania była moją koleżanką z pracy i przyjaciółką brata mojego narzeczonego.

Naturalnie żadnych oświadczeń nie było. Awansowała Kermita na „narzeczonego”, by jej powiązania z Lidką zabrzmiały nieco solidniej. Oczywiście zdawała sobie sprawę z tego, że sformułowanie „przyjaciółka brata mojego narzeczonego” nadal brzmi trochę pokrętnie, ale lepsze to niż „przyjaciółka brata mojego chłopaka”. Chyba...

– Hmm, koleżanka z pracy.... – Zawada ostentacyjnie zerknął do notatnika. – No, przez ten tydzień, który Lidia przepracowała w Test4U, rzeczywiście mogły się panie mocno zaprzyjaźnić...

Agata już miała na końcu języka kąśliwą uwagę, ale na szczęście rozsądek powstrzymał ją przed chlapnięciem czegoś, co mogło odciąć ją od dostępu do jakichkolwiek informacji od Zawady. Niezmiennie pozostawała na stanowisku, że z pomocą uprzejmości można uzyskać zaskakująco dużo. Co prawda w przypadku ostatnich kontaktów z Zawadą ta zasada kiepsko się sprawdziła, ale nie zaszkodzi spróbować jeszcze raz. Napyskować zawsze jeszcze zdąży, ale będzie to droga w jedną stronę. Postarała się więc uśmiechnąć możliwie jak

najuprzejmiej i powiedziała: – Narzeczony prosił, bym z nim przyszła. Naprawdę, nie mam zamiaru wtrącać się w pana śledztwo.

– Tak, oczywiście – sapnął sarkastycznie. – No, skoro pani z nią pracowała, to może od razu panią spytam, czy widziała pani moment wypadku?

Agata pokręciła głową.

– Nie, nie widziałam. Byłam wtedy w biurze.

Patrzył na nią przez chwilę. Agata niemal widziała, jak w jego głowie siłują się dwie postacie. Jedna z nich nazywała się „Zapytaj!”, a druga „Nie pytaj!”. Po długiej walce „Zapytaj!” wygrało.

– Pani Agato, a czy ma pani jakieś podejrzenia, kto mógł ją potrącić?

Posłał jej badawcze spojrzenie „spode łba”, które w jego zamyśle pewnie miało być przeszywające lub przygważdżające, a w rzeczywistości wyeksponowało jedynie jego przekrwione białka. „To pewnie od palenia w zamkniętym samochodzie” – zdiagnozowała Agata, bazując na wcześniejszych doświadczeniach z policjantem. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że jego pytanie nieco jej pochlebiło. Skoro pytał ją o coś takiego, to chyba docenił przenikliwość, jaką wykazała się przy poprzednim śledztwie, prawda? A może to standardowe pytanie, które zadaje wszystkim, którzy choćby w nikłym stopniu przewinęli się przez życie Lidki? Pierwsza możliwość bardziej jej się podobała. Szkoda, naprawdę szkoda, że nie mogła teraz w żaden sposób zabłysnąć.

– Niestety, nie mam żadnych podejrzeń. Ale skoro pan pyta, to znaczy, że nie udało wam się zidentyfikować kierowcy? Słyszałam, że kilku świadków wypadku spisało numer rejestracyjny pojazdu, który ją potrącił...

Oho! Panie i panowie, tryb „panna Marple” możemy oficjalnie uznać za włączony!

Zawada znowu sapnął i zaczął upychać notatnik w kieszeni po wewnętrznej stronie kurtki.

– Tak, parę osób go spisało, ale nic nam to nie dało.

– Jak to?

– A tak to, że numer był fałszywy. Potrącił ją opel astra, to wiemy na pewno, ale ktoś podrobił rejestrację. Ponad wszelką wątpliwość nie była prawdziwa. Sprawdziliśmy, że pojazd o numerach wskazanych przez świadków to nie opel astra, tylko stary mercedes, który należy do małżeństwa mieszkającego na Bielanych. Na wszystkie świętości zarzekają się, że mercedes od wczorajszego wieczora stał w ich garażu i nikt go nie ruszał. Mieszkają w domku jednorodzinny, garaż mają prywatny, nikt się do nich nie włamał. Byliśmy, oglądaliśmy. Samochód z normalnymi zabrudzeniami, nie był myty przynajmniej od tygodnia, tablice dawno nieodkręcane, zabrudzone tak samo jak samochód. Nie znaleźliśmy też żadnych powiązań między nimi a Lidią. Bardziej prawdopodobne, że ktoś po prostu tę rejestrację podrobił.

– A można wiedzieć, jakie są te numery rejestracyjne?

– WD 577 PU – wyrecytował Zawada bez zająknięcia.

– A sprawdzali Państwo WD 577 RU, albo PO, albo RO?

Tego typu zmiany można było zrobić w kilka minut za pomocą korektora i czarnej taśmy.

Zawada spojrział na nią z taką niechęcią i politowaniem, że aż odchyliła się do tyłu.

– Proszę panią, czy pani ma nas za idiotów?

– Ależ skąd! – Zrobiła co w jej mocy, by odmalować na twarzy szczere oburzenie.

Chyba jej się udało, bo Zawada kontynuował:

– Oczywiście, że to była pierwsza rzecz, jaką sprawdziliśmy, ale te kombinacje nie istnieją. Nie ma żadnych samochodów pod takimi numerami, poza końcówką RO, ale to ciężarówka, która aktualnie jest na Mazurach. Prześledziliśmy jej trasę na GPS. Na pewno nie było jej wtedy w Warszawie.

– Czyli ten numer to ślepa uliczka?

– Niestety tak. Pewnie jako policjant nie powinienem tego mówić, ale wykonanie fałszywej tablicy rejestracyjnej nie jest wielkim problemem, nawet, gdy nie ma się odpowiedniej drukarki. Wystarczy biała folia samoprzylepna, czarna taśma lub czarny marker, jakikolwiek hologram w odpowiednim rozmiarze i trochę staranności.

Agata pokiwała głową. Rzeczywiście, sfabrykowanie takiej tablicy to przypuszczalnie nie byłby wielki problem. Pewnie łatwiej tablice po prostu ukraść, ale wtedy zwiększa się ryzyko – w końcu popełniasz dwa przestępstwa, a nie jedno. Szansa na wpadkę dwa razy większa. A tak, parę godzin i gotowe. Jasne, że gdy ktoś się przyjrzy, od razu odkryje, że to fałszywka, ale kto tak naprawdę przygląda się tablicom? Brak tablicy byłby od

razu zauważony, nietypowe numery też, ale kto będzie przyglądał się normalnej, warszawskiej rejestracji? A nawet jeśli ktoś zauważyłby fałszerstwo, jakie to ma znaczenie, gdy samochód jest już w ruchu? Przecież po wykonanej robocie i tak zamierzasz uciekać, prawda?

– Ale to dowodzi jednej rzeczy.

– Mianowicie? – Zawada uniósł jedną brew w oczekiwaniu na odkrywczy wniosek wysnuty przez błyskotliwy umysł Agaty.

– To nie był przypadek. Ktoś się do tego przygotował.

– Taaak – zgodził się Zawada. – Jednak niespecjalnie ułatwia nam to poszukiwania sprawcy.

– A żaden ze świadków nie przyjrzał się dokładniej kierowcy?

– A i owszem, przyjrzeć to się kilku przyjrzało, ale niewiele im się udało wypatrzyć. Niestety, też pod tym względem sprawca był przygotowany. Na głowie miał kapelusz, raczej męski, ale to przecież niczego nie dowodzi. Do tego jakaś obszerna kurtka. Wyglądał raczej na kogoś potężnej budowy, ale wiadomo, że mogła to być szczupła osoba, która dla niepoznaki włożyła kilka swetrów. Do tego duże, ciemne okulary i szalik zakrywający podbródek i policzki. Nie wiemy więc nawet tego, czy był to mężczyzna, czy kobieta. To mógł być dosłownie każdy, kto ma opła astrę.

– Zaraz, zaraz... – Agata postukała palcem w dolną wargę. – Ale czy ten opel nie był zielony?

– Niby tak, ale...

– No więc trzeba sprawdzić, czy w okolicy wypadku nie ma zarejestrowanego zielonego opła astry! – wpadła w słowo

Zawadzie. – Opli astra jest mnóstwo, ale zielonych chyba niekoniecznie! Sprawca zapewne daleko nie odjechał.

– Proszę panią, proszę mi nie przerywać – mruknął Zawada i rzucił jej jedno ze swoich mopsich spojrzeń, tym razem nieco bardziej wyostrzone niż zwykle. – Nie lubię, gdy mi się przerywa.

Wypowiadając ostatnie słowa, nachylił się, a Agata poczuła woń papierosów bijącą z jego ust. Mimowolnie odchyliła się do tyłu.

– Przepraszam.

Zawada jeszcze chwilę popatrzył na nią w milczeniu, po czym podjął:

– Powiedziałem, że był „niby” zielony, bo istnieje uzasadnione przypuszczenie, że został przemalowany, a nie zgłoszono tego w odpowiednim urzędzie. Jeden ze świadków, rodzic odprowadzający dziecko do szkoły, jest z zawodu lakiernikiem i powiedział, że lakier był bardzo nieprofesjonalnie nałożony. Kolejna rzecz, jak ta rejestracja: po prostu prowizorka.

Podwinął rękaw kurtki i zerknął na zegarek.

– No, czas na mnie. I tym razem bardzo panią proszę, żeby pani mnie informowała, gdyby przypadkiem się pani czegoś dowiedziała. – Czy tylko jej się wydawało, czy to „przypadkiem” zabrzmiało nieco ironicznie? – Ostatnio ledwo uszła pani z życiem. Policyjną robotę proszę zostawić policji.

Agata zdusiła komentarz, że ostatnio policja do tej policyjnej roboty niezbyt się paliła. Jednak tym razem wyglądało na to, że Zawada robił, co do niego należało. Nie zamierzała utrudniać

mu pracy. Jednak czuła, że nie będzie potrafiła obojętnie przyglądać się śledztwu. Gdy raz odkryjesz tożsamość zabójcy, nie tak łatwo potem trzymać się z boku. Skoro raz ci się udało, czemu nie miałyby się udać drugi raz? A jeśli jakieś dowody same wpadną jej w ręce, no cóż, to nie będzie jej wina, prawda? Nie zwykła kłamać, złożyła więc uczciwą obietnicę:

– Jeśli czegoś się dowiem, na pewno pana poinformuję.

Znów spojrzał na nią spode łba, a ona nie miała wątpliwości, że wszelkie niedopowiedzenia zawarte w tej wypowiedzi rozbrzmiały w jego umyśle głośnym echem.

– Dobrze, pani Agato. Numer do mnie pani ma?

– Mam.

Uścisnęli sobie dłonie. Zawada ruszył do windy. Uśmiechnęła się pod nosem. No tak, na miłośnika schodów nie wyglądał, choć mała przebieżka by mu nie zaszkodziła. A może wręcz przeciwnie? Może był takim wrakiem, że mogła okazać się zabójcza?

Odwróciła się i już miała wejść do mieszkania matki Lidii, gdy Zawada zawołał:

– Pani Agato!

– Tak?

– I proszę złożyć uszanowanie wujkowi – powiedział, po czym zniknął za drzwiami windy.

Winda ruszyła w dół. Agata z niedowierzaniem pokręciła głową. Aż trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek co pół roku temu. Nie to, żeby teraz nie był gburem, bo przecież był, ale poziom jego gburowatości istotnie zmalał. W porównaniu do

tego, czym ją uraczył przy pierwszym spotkaniu, można powiedzieć, że dziś wspiął się na wyżyny uprzejmości. A wujka, owszem, pozdrowi. Niech ma satysfakcję, że „smarkacz” o nim pamięta.

13

18 lipca 1992 roku, godzina 12:30

Sygnał oczekiwania trwał zaledwie kilka sekund.

– Halo?

– Dzień dobry, ciociu. Tu Lidka. Mogę prosić Ankę?

– Ach, cześć, Liduś. Tak, poczekaj, zaraz zawołam. – Szmery towarzyszące odsuwaniu słuchawki od ucha. – Ania! Chodź, Lidka dzwoni! – Słuchawka znów wraca na swoje miejsce. – Już idzie. To co tam, imprezkę dzisiaj macie?

– No tak... takie tam ognisko za miastem.

– No właśnie, za miastem. Tak się zastanawialiśmy z Jackiem, czy was nie zawieźć. No, bo jak wy tam dojedziecie?

– Nie wiem, ciociu. Może PKS-em? Coś tam na pewno dojeżdża.

– Dojeżdżać dojeżdża, ale czy to bezpieczne?

Lidka poczuła się niekomfortowo. Dość się nawysilała, by przekonać własnych rodziców, że ten wyjazd jest całkiem bezpieczny. Nie miała ochoty przekonywać teraz rodziców Anki. Zresztą, co może im się stać? Przecież będą razem, będzie z nimi Grzesiek, jadą do znajomych. Naprawdę, czasem rodzice zapominali, że ich dzieci dorosły... Na szczęście w tym momencie Anka zeszła na dół.

– O! Jest Ania! To już ci ją daję.

– No cześć, Lidka.

– Cześć. Słuchaj, może chciałabyś się trochę przejść?

– Żartujesz? W ten upał?

– Oj, daj spokój! Co będziesz tak kisnąć w domu?

– A gdzie ty chcesz iść?

– Bo wiesz, pomyślałam sobie, że można by trochę dorobić w te wakacje.

– Nooo... – Gdyby Anka była zajęciem, jej uszy sterczałyby teraz wycelowane w sufit jak dwie anteny. Możliwość dorobienia wydawała się kusząca.

– Więc zrobiłam takie ogłoszenia o korkach z anglika. I chciałam porozwieszać tu po okolicy.

Entuzjazm Anki opadł równie szybko, jak się pojawił. Z jej znajomością angielskiego mogłaby udzielać korepetycji co najwyżej przedszkolakom.

– I myślisz, że ktoś ci się zgłosi? Teraz? W wakacje? – powątpiewała.

– Nie wiem, ale nie mam nic do stracenia.

Chwila ciszy.

– Chyba mi się nie chce.

– Oj, Anka, nie bądź taka!

– Nie, Lidka, nie idę.

Lidka poczuła się zbита z tropu. Anki nigdy nie trzeba było do niczego namawiać. Zwykle to ona ich gdzieś ciągnęła: a to na koncert, a to do parku, a to do nowo otwartego sklepu muzycznego – ciągle miała jakieś pomysły. Nie potrafiła

usiedzieć w jednym miejscu. Skoro teraz odmawiała, to widocznie naprawdę nie czuła się na siłach, a siły trzeba było oszczędzać na wieczór. Postanowiła więc odpuścić.

– No dobra, to widzimy się wieczorem, tak?

– Tak.

– Jedziemy tam jakimś PKS-em?

– Zobaczymy. Kombinuję, żeby mi tata pożyczył auto.

– Samochód? – Lidka obejrzała się, czy nikt za nią nie stoi, ale nie. Tata siedział w ogródku, a mama obierała ziemniaki w kuchni przy głośno grającym radiu. – Ale jak pojedziemy samochodem, to nie będziesz mogła nawet piwka wypić – wyszeptała do słuchawki, osłaniając usta dłonią.

– Boże, Lidka, bez alkoholu też można się bawić.

Lidka niemal widziała, jak wypowiadając te słowa, Anka przewraca oczami.

To też było dziwne. Jasne, że Anka nie była jakąś pijaczką, ale na imprezach lubiła wypić, zresztą jak wszyscy. Ale jeśli chce prowadzić, to Lidka nie będzie jej od tego odwozić. W końcu dla niej to tylko lepiej – transport będzie miała zapewniony.

– No nie wiem, jak chcesz.

– No właśnie, jak chcę – skwitowała z naciskiem Anka. – Po południu zadzwonię i dam ci znać, czy zgodzili się dać mi ten samochód, czy nie, ale myślę, że mi dadzą. W końcu mam prawo jazdy. Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

– Racja. To może do Grześka zadzwonię, może on by się ze mną przeszedł. Nie wiesz, co on teraz robi?

– A skąd mam wiedzieć? – prychnęła Anka.

Lidka nie chciała dłużej ciągnąć tej rozmowy. Anka była wyraźnie nie w sosie. Jako przyjaciółka czuła się w obowiązku dopytać: – Anka, stało się coś?

– Jezu, nie! A co się miało stać?

– Nie wiem, nic. To pa.

– Pa.

Agata nacisnęła klamkę i ostrożnie uchyliła drzwi. Zajrzała do środka, niepewna, czy samo jej wejście nie jest zbyt dużym naruszeniem prywatności matki Lidki. Gdyby to ona była na jej miejscu, obce baby kręcące się po mieszkaniu z pewnością nie znajdowałyby się na szczycie jej listy życzeń, raczej byłyby pierwsze do odstrzału.

Z pomocą przyszedł jej Kermit.

– O! Jest Agata! – zawołał i natychmiast do niej podszedł. Objął ją i przedstawił. – To właśnie moja Agata. Pracuje w tej samej firmie, w której zatrudniona była Lidka.

Agata delikatnie się uśmiechnęła.

– Dobry wieczór – powiedziała.

Odpowiedziała jej seria skinieć głowy. Ku jej zdumieniu w pokoju były jeszcze inne osoby poza rodziną Kermita i matką Lidki. Tę rozpoznała z łatwością po czerwonych oczach z trudem dźwigających opuchnięte powieki. Jej ból był widoczny na odległość. Gdy spojrzała na Agatę, dziewczyna poczuła ucisk w żołądku. To straszne, widzieć jak ktoś cierpi i nie móc mu w żaden sposób pomóc. Podeszła do kobiety i ujęła jej dłoń, która była jakby bez życia – sucha, zimna i bezwładna.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – powiedziała.

– Dziękuję – odparła krótko kobieta.

Agatę uderzyło jej podobieństwo do Lidki. Miała ten sam szczupły nos i takie same kręcone włosy. Nawet ich odcień był ten sam. Kobieta z pewnością je farbowała, gdyż nie było widać ani jednej siwej nitki, jednak kolor dobrała idealnie. Może używały tej samej farby?

– Poznaj znajomych moich rodziców – przerwał jej rozmyślenia Kermit, wskazując dwie obce osoby, które wpatrywały się w nią z uprzejmym uśmiechem, gotowe do powitania. – To Teresa i Jacek Polko, dla mnie po prostu ciocia Tereska i wujek Jacula.

– Miło mi państwa poznać.

Agata serdecznie uścisnęła ich dłonie. Szczupły mężczyzna, lekko przygarbiony, rudy, z brodą; kobieta zadbana, krótko i modnie obcięta blondynka z oczami podkreślonymi granatową kredką. Oboje wyglądali sympatycznie. Ich obecność tłumaczyła także stojące na stole ciasto i wafelki oraz unoszący się w powietrzu aromat świeżo zaparzonej kawy. Matka Lidii nie wyglądała na kogoś, kto byłby w stanie zadbać o gości.

Kermit zdjął jej płaszcz i powiesił w przedpokoju.

– Proszę, niech pani siada – powiedziała Teresa, wskazując wolne krzesło. – Kawy?

– Nie, dziękuję. Dziś wypiałam już kilka i nie powinnam pić więcej, zwłaszcza na noc.

– No tak, przecież to już wieczór... To może da się pani namówić na ciasto?

Agata nie miała najmniejszej ochoty na nic słodkiego. Na myśl o cieście żołądek podjechał jej do gardła. Jednak kobieta

patrzyła na nią tak wyczekująco, że Agata bała się, że odmawiając, zrani jej uczucia.

– Poproszę.

Teresa nałożyła jej spory kawałek placka drożdżowego z jabłkami i podała talerz.

– Dziękuję, wygląda pysznie.

Kobieta uśmiechnęła się i machnęła ręką.

– To z cukierni. Kupiliśmy po drodze. Gdy tylko Zosia zadzwoniła i powiedziała, co się stało, natychmiast przyjechaliśmy. – Teresa nachyliła się nad stołem i sięgnęła do ręki matki Lidki. Mocno ją uścisnęła. – Kto jak kto, ale ja wiem, jak to jest, gdy traci się dziecko.

W tym momencie Agata domyśliła się, że ciocia Tereska i wujek Jacula to zapewne rodzice tej dziewczyny, z którą Lidka i brat Kermita przyjaźnili się w młodości. Nic dziwnego, że Zofia zadzwoniła właśnie do nich. Kto mógłby lepiej ją zrozumieć niż osoba, która przeżyła podobną tragedię?

Zofia Kania nie zareagowała na uścisk. Siedziała nieruchomo jak manekin.

Mama Kermita wzięła krzesło, przysiadła się do niej i objęła ją ramieniem. Nic nie powiedziała, ale samo poczucie bliskości wystarczyło, by wywołać w Zofii nową falę łez. Położyła głowę na ramieniu Marii i wybuchnęła niekontrolowanym szlochem.

Zmieszana Agata spojrzała na Kermita, który podszedł do niej i szepnął jej do ucha: – Chodź, idziemy.

Wstała i ruszyła za nim, wciąż trzymając w ręce talerzyk z ciastem. Wyszli do przedpokoju. Kermit otworzył drzwi do

jakiegoś pokoju. Zapalił światło i weszli do środka.

– Kermit, chyba nie powinno mnie tu być. Co ja tu w ogóle robię? – szepnęła, ale na tyle głośno, by zrozumiał, że tak naprawdę ma ochotę to wykrzyknąć.

– Wiem, to był chyba jednak głupi pomysł, żeby cię tu zapraszać. – Przyciągnął ją do siebie i pogładził po plecach.

– I nie dam rady zjeść tego ciasta – dodała. – Pomożesz?

– Jasne, ale pod warunkiem, że powiesz mi, co ci się udało wyciągnąć z Zawady – odparł, biorąc talerz.

– A wiesz, że zaskakująco dużo? – Agata zreferowała mu to, co zdołała ustalić policja.

– No, rzeczywiście gadatliwy się zrobił – skwitował Kermit.

– Myślę, że tylko dlatego, bym odwdzińczyła się tym samym, jeśli uda mi się coś ustalić.

– Mówisz, że widzi w tobie większy potencjał niż w kolegach policjantach? – uśmiechnął się Kermit.

– Oj, daj spokój! – Szturchnęła go w bok. – A co to w ogóle za pokój? – Rozejrzała się po pomieszczeniu. – Czy ja dobrze myślę, że...

– Tak. Jak gadałaś z Zawadą, ciocia Zosia powiedziała, że to pokój Lidki.

– Słuchaj, może my nie powinniśmy tu wchodzić? – Agata spojrzała na niego z przestraszeniem.

– Czemu?

– No nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Bo to tak głupio. Rodzice zmarłych dzieci nieraz całymi latami nie zmieniają niczego w ich pokojach, a my tu sobie tak wchodzimy jak gdyby

nigdy nic.

– Daj spokój. Ciocia na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, że pobędziemy tu parę minut.

Agata rozejrzała się po pokoju. Był dosyć bezosobowy, ale w sumie nie było w tym nic dziwnego. Jeśli Lidia mieszkała tu zaledwie od dwóch miesięcy, mogła nie mieć czasu na urządzenie lokum według swojego gustu. Na białych ścianach nie wisiał żaden obrazek, jedynie zwykły, plastikowy zegar z IKEI. Jednoosobowy, przykryty błękitnym kocem tapczan, nocny stolik, na którym leżała powieść Henninga Mankella (zakładka zdradzała, że przeczytana mniej więcej do połowy), zwykłe, tanie biurko ze sklejki, regał z książkami i szafa. Do tego zielony dywanik z długim włosiem leżący koło łóżka. Agata gotowa była się założyć, że to Lidia go kupiła, by nieco ocieplić ten pokój, być może podczas tej samej wycieczki do IKEI, w trakcie której nabyła zegar.

Podeszła do regału z książkami. Taka już była, że gdy w jakimś domu były książki, nie mogła powstrzymać się przed przejrzaniem tytułów. Wiedziała, że nie jest to ani uprzejme, ani eleganckie, natomiast może świadczyć o wścibskości, a jednak nic nie potrafiła na to poradzić. Gdy w pobliżu znajdowała się półka z książkami, jej wzrok sam wędrował w jej stronę. Przeglądając biblioteczkę Lidki, doszła do wniosku, że gdyby nieco dłużej popracowały razem, to może nawet by się zaprzyjaźniły. Gust czytelnicy miały podobny. Kilka kryminałów, Władca Pierścieni, znienawidzona przez część licealistów Pani Bovary i dwie książki Alice Munro – wszystko to

po angielsku, pewnie przywiezione z Anglii. A obok tego jakiś dziwny album. Może ze zdjęciami? Agata sięgnęła po niego. Gdy tylko wzięła go w rękę, zdała sobie sprawę, że co jak co, ale zdjęcia to to nie są – album był zbyt ciężki. Gdy go otworzyła, wszystko stało się jasne.

– Klaser z monetami – powiedziała.

– Co takiego? – spytał Kermit, podchodząc i zerkając jej przez ramię.

– Spójrz. – Pokazała mu swoje znalezisko. – Lidka zbierała monety?

Kermit wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem? Od czasu, kiedy ją znałem, mogła tysiąc razy zmienić hobby. Ale ja znalazłem coś ciekawszego – dodał z tajemniczym uśmiechem.

– Co?

Wyciągnął zza pleców tablet.

– O! No proszę! Gdzie go znalazłeś?

– Leżał pod książką na nocnym stoliku. Zapytam ciocię, może pozwoli mi zabrać go chociaż na jeden dzień.

– A, właśnie! – przypomniała sobie Agata. – Miałeś mi powiedzieć co ci się udało znaleźć w Internecie na temat Lidki!

– No właśnie niewiele, tyle co nic. Dwa miesiące temu założyła profile na LinkedIn i GoldenLine. Nic dziwnego, skoro szukała pracy. A poza tym pustka. Żadnego Facebooka ani nic w tym stylu.

– Wiesz, to chyba nie to pokolenie...

– Oj, zdziwiłabyś się, ile ludzi po czterdziestce czy nawet po

pięćdziesiątce ma tam swoje profile! Może nie umieszczają zdjęć z dzikich imprez, ale jednak chcą być jakoś obecni w wirtualnym świecie. Zresztą tym tłumaczy się malejącą popularność Facebooka wśród młodych. Wiesz, jak do baru, w którym siedzisz ze znajomymi, zaczynają przychodzić twoi rodzice, to zmieniacie lokal, prawda? No i ta sama zasada dotyczy portali społecznościowych. Być może to zabiło Naszą Klasę...

– No może... – Portale społecznościowe trudno zaliczyć do pasji Agaty. Na Twitterze obserwowała kilka osób i to by było na tyle. – Ale mnie to jakoś nie dziwi, że czterdziestoletnia kobieta nie ma tam konta.

– Mnie też nie. Zresztą wiesz, nie miałem zbyt wiele czasu. Jestem pewien, że jak posiedzę trochę dłużej, to uda mi się dowiedzieć czegoś więcej, zajrzeć do miejsc niedostępnych tak po prostu z Google'a. A to tutaj – zamachał jej przed nosem tabletem – to może być prawdziwa skarbnica wiedzy. Aż dziwne, że policja tego nie zabrała.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzała mama Kermita.

– O, tu jesteście! – Obrzuciła spojrzeniem klaser, który Agata trzymała w dłoniach. – Słuchajcie, będziemy się zbierać. Późno już.

– Ciocia Tereska i wujek Jacula też jadą?

– Tak, i zabierają ciocię Zosię do siebie. Nie powinna zostawać sama. Nie dziś.

– Słusznie – zgodził się Kermit.

Wrócili do kuchni.

– O! Widzę, że ci smakowało! – uśmiechnęła się Teresa, gdy Agata odstawiała do zlewu pusty talerzyk.

– Tak, było pyszne. – Kłamstewko gładko wypłynęło jej z ust.

Mama Lidki trzymała na kolanach wypakowaną po brzegi skórzaną torbę. Skoro ona była gotowa do drogi, nie było sensu czekać. Wszyscy ruszyli do przedpokoju, by nałożyć kurtki. Wszyscy poza ubraną już Zofią, Agatą i Kermitem.

– Ciociu. – Kermit położył dłoń na ramieniu Zofii, która podniosła na niego półprzytomny wzrok. – To tablet Lidki?

Kobieta przeniosła spojrzenie na urządzenie.

– A, to... tak, chyba tak... ja nie wiem, co to jest... Ale tak, to chyba jej.

– A policja nie chciała tego zabrać?

– Nie wiem. Prosili o telefon i komputer. Telefon Lidka miała przy sobie, komputer im dałam. A to nie wiem, to też telefon? Taki duży?

– Nie, ciociu. Z tego się nie dzwoni. To taki raczej komputer jest.

– Ach, no tak... – Zofia przetarła oczy palcami. Widać było, że jest bardzo zmęczona. – To trzeba będzie dać temu policjantowi, co tu był. Pani go zna, prawda? – Zwróciła się do Agaty. – Może pani mogłaby...

– Oczywiście – pospieszyła z odpowiedzią Agata.

– Ciociu, a miałyby ciocia coś przeciwko temu, żebym zatrzymał to na jeden dzień? Może uda mi się coś znaleźć, jakiś trop.

– Ty, Piotrusiu? – Zofia była wyraźnie zdziwiona. – Ty się znasz na komputerach?

– Tak, trochę tak.

– No dobrze, skoro tak mówisz, to ja się zgadzam, oczywiście. Tylko żeby jakichś kłopotów z tego nie było...

– Nie będzie. – Kermit chwycił ją za ramię i pomógł jej się podnieść. – Najpóźniej pojutrze tablet trafi w ręce komisarza Zawady.

– No dobrze, dobrze, Piotrusiu.

– Zosiu, my jesteśmy gotowi – zawołała z korytarza Teresa. – I właśnie dostałam tego, no...

– SMS-a – podpowiedział Stanisław.

– Właśnie! SMS-a! Dostałam SMS-a, że taksówka już czeka.

– Idę – odparła Zofia tak cicho, że Teresa nie miała szans jej usłyszeć, po chwili więc weszła do kuchni, już ubrana w elegancki, szary płaszcz.

– Chodź, kochana. – Przejęła ramię przyjaciółki od Kermita i wyprowadziła ją z kuchni, jednak po chwili zatrzymała się i powiedziała – A! Jeszcze jedno! Zosiu, zanim wyjdziemy, zastanów się, czy jest jeszcze ktoś, kogo powinniśmy powiadomić o tym, co się stało. Może masz tu w domu jakiś notatnik z telefonami. Potem ci się przypomni i będzie problem, trzeba będzie wracać.

Zofia zmarszczyła czoło.

– Rodzinę już chyba całą powiadomiłam, nie jest zbyt liczna. A inni... nie wiem, do kogo jeszcze powinnam zadzwonić. Lidia nie miała tu przyjaciół. Może kogoś w Anglii? Ale zupełnie nie

wiem, kogo...

– Jeśli znajdę w tablecie namiary na kogoś bliskiego, na pewno dam znać – wtrącił Kermit.

– Dziękuję, Piotrusiu. – Zofia spojrzała na niego z wdzięcznością. Ruszyła do drzwi, lecz nagle zatrzymała się. – Choć nie, jest jedna osoba!

Kobieta podeszła do kuchennej szuflady i otworzyła ją. W środku było mnóstwo rachunków, kopert i różnego rodzaju karteluszków. Pogrzebała chwilę i wyciągnęła stary notesik w plastikowej okładce. Przekartowała go.

– O! Tu jest! To przyjaciółka Lidki ze szkoły. Jestem pewna, że miała z nią kontakt przez cały ten czas, nawet widziały się kilka razy po jej powrocie. Ją powinniśmy zawiadomić. Ale...

– Co takiego? – spytała Teresa z troską w głosie.

– Ale tu jest tylko adres, a ja nie dam rady tam pojechać. – Potoczyła wokół spojrzeniem, od którego serce się krajało. – Naprawdę, nie dam rady.

Stojący obok niej Kermit delikatnie wyjął notatnik z jej rąk.

Katarzyna Woźniak

Dickensa 7 m. 53

– Dickensa, to na Ochocie – stwierdził.

Agata szturchnęła go łokciem w bok. W mig zrozumiał, o co jej chodzi.

– Ciociu, ja i Agata jutro tam pojedziemy i to załatwimy. Nic się nie martw.

Zofia pogładziła go po policzku.

– Kochany Piotruś.

Maria Janach z aprobatą pokiwała głową. Widać było, jak dumna jest z syna.

– Chodź, Zosiu – powiedział Jacek, rudy mąż Teresy. Agata zdała sobie sprawę z tego, że to chyba pierwsze słowa z jego ust, jakie usłyszała. „Co za małomówny człowiek” – pomyślała, ale z tym swoim lekkim zgarbieniem i nieśmiałym spojrzeniem spod rudych brwi na takiego właśnie wyglądał – żyjącego w cieniu zadbanej, wiodącej prym w życiu towarzyskim żony. Nie wyglądało jednak na to, aby miał coś przeciwko temu. Podchwyciwszy spojrzenie Agaty, uśmiechnął się do niej delikatnie i mrugnął jednym okiem.

Kermit podał jej płaszcz.

Dopiero gdy wszyscy pozostali wyszli z kuchni, zobaczyła na ścianie dziwną, brązową plamę, która wyraźnie zgrzytała na tle białych, niedawno malowanych ścian.

„Ciekawe, co się tam rozlało?” – pomyślała.

Starsi zdecydowali, że pojedą windą, więc Agata i Kermit zeszli schodami, by nie robić jeszcze większego tłoku. Gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu pozostałych, Agata spojrzała na niego żartobliwie.

– Piotruś? – spytała.

– No co? Nie zawsze byłem Kermitem! – obruszył się.

– A może chcesz, żebym i ja do ciebie tak mówiła, Piotrusiu? – Trąciła go ramieniem.

– Ani mi się waź! – Pogroził jej palcem.

– Dobra, dobra. Słuchaj, ja jutro obiecałam Aśce, że posiedzę trochę z dziećmi. Będę wolna dopiero po czwartej.

– Mnie to nawet pasuje. Rodzice pewnie rano pojedą do cioci Tereski i wujka Jaculi, a ja będę miał czas pogrzebać w tym tablecie.

– No to git, jesteśmy umówieni.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Wcale nie chciała się z nim rozstawać na tę noc.

Agata weszła do mieszkania i z ulgą zdjęła buty. Płaszcz odwiesiła na wieszak i ruszyła prosto do łazienki. Gorąca kąpiel – o tak! To najlepszy sposób, by poukładać sobie wszystko w głowie. Dolała kilka kropel aromatycznego olejku i uczciwie chlusnęła płynem do kąpieli. A, niech się pieni! Jeszcze jej się nie zdarzyło mieć za dużo piany w wannie.

Poszła do kuchni, by przygotować coś do jedzenia. Ciasto ją odrzucało, ale coś innego z chęcią by przekąsiła. Od dawna nie miała nic w ustach. Zajrzała do lodówki... Ciut pustawo. Przejrzała półki w poszukiwaniu czegoś apetycznego. Suszone pomidory, rukola, camembert – no, to w zasadzie jest już kanapka! Na szczęście jakieś resztki chleba też się znalazły. Szybko przygotowała cztery całkiem zacne kanapeczki. Coś by się jeszcze przydało wypić. Na szczęście miała do połowy opróżnioną butelkę czerwonego wina. Nalała sobie kieliszek. Tak, po stresach, jakie dziś przeszła, z pewnością jej się należy. Gdy odkładała butelkę do lodówki, zauważyła jeszcze puszkę oliwek z anchois.

– *Oh yeah!* – krzyknęła na ich widok.

Poczuła się, jakby znalazła stówę w starych spodniach. Dorzuciła zawartość puszek na talerz, wzięła kieliszek i poszła

do łazienki. Wanna już napełniła się wodą. Zdjęła ubranie i powoli zanurzyła się w gorącej, pachnącej kąpiele. Łyk wina... mmm... pycha! Zabrała się za kanapki, a jej myśli podryfowały w stronę wydarzeń tego wieczora.

Najbardziej zdziwiona była Zawada. To naprawdę miło z jego strony, że tak otwarcie z nią porozmawiał. Na pewno nie były to jakieś tajne informacje. Zapewne chwilę wcześniej to samo powiedział matce Lidki. Musiał założyć, że i tak się wszystkiego dowie, ale jeśli to on będzie tym, który jej to wszystko wyłoży, ona będzie miała wobec niego dług wdzięczności i gdy tylko coś uda jej się odkryć, podzieli się z nim informacjami. A to szczywany lis! Fuknęła z oburzeniem i sięgnęła po oliwki. Choć z drugiej strony to przecież pochlebiające, gdy doświadczony policjant zakłada, że możesz odkryć więcej niż on i jego koledzy. Wprawdzie, o ile zdążyła się zorientować, to o jego doświadczeniu świadczył raczej wiek niż rzeczywiste dokonania, jednak mimo wszystko nadal był to swego rodzaju komplement.

Jest szansa, że jutro co nieco się wyjaśni. Po pierwsze, Kermit poszpera w tym tablecie i może coś odkryje. A po drugie, spotkają się z przyjaciółką Lidki, Katarzyną. Przyjaciółki często wiedzą więcej niż matki – może ona, w przeciwieństwie do Zofii Kani, będzie mogła podrzucić im jakiś punkt zaczepienia.

Był jeszcze ten klaser. Z jakiegoś powodu nie dawał jej spokoju. Która czterdziestolatka zbiera monety? Dość nietypowe hobby... Agata kiedyś zaczęła zbierać znaczki. Miała wtedy jakieś osiem lat. Tata kupił jej kilka zestawów tanich znaczków z postaciami Disneya, a gdy zobaczył, że Agata w

kółko je ogląda, dokupił jej elegancki, granatowy klaser. Co jakiś czas szli do sklepu i jej kolekcja powiększała się o znaczki z motylami, kolorowymi ptaszkami czy kwiatami. Jednak gdy tata pewnego razu przyniósł jej poważne, „dorosłe” znaczki, warte nieco więcej, ale nie tak kolorowe, pokręciła nosem i dała mu do zrozumienia, że niezbyt ją interesują. Wtedy on zaczął jej opowiadać o tym, że to hobby to filatelistyka, że wielu ludzi się tym interesuje, że bardzo dbają o te swoje znaczki, żeby żaden róg nie był zagięty, żaden ząbek nie był urwany. A Agata z każdym jego słowem była coraz silniej przekonana, że to jednak nie dla niej. Klaser ze znaczkami szybko poszedł w zapomnienie („Ciekawe, co się z nim stało?” – pomyślała), zastąpiony przez nową pasję kolekcjonerską – kolorowe karteczki z notesików. Teraz młodzież pewnie nie wie, o co chodzi, ale w latach dziewięćdziesiątych to był szzał! Każda wyprawa do papiernika kończyła się zakupem notesika z kolorowymi karteczkami. Był to jednak zbyt cenny łup, by po nim pisać. Dziewczyny ostrożnie wrywały karteczki i wymieniały się z koleżankami, powiększając swoją kolekcję.

Zresztą właśnie karteczki były powodem rozpadu pierwszej przyjaźni Agaty z dzieciństwa. Razem z ówczesną przyjaciółką, Magdą, założyły spółkę i połączyły swoje kolekcje w jedną. Skarb trzymały w pudełku po butach, które jeden tydzień stało u Agaty, a drugi tydzień u Magdy. Wszystko szło dobrze – miały najlepszą kolekcję w całej klasie, największą i najbardziej różnorodną – do momentu, gdy do Magdy przyjechała kuzynka z Pruszkowa i zaproponowała wymianę – trzy karteczki w

kolorze sepia z dziewczyną w kapeluszu za trzy pachnące z misiami. Pachnące karteczki były więcej warte na szkolnym rynku, więc Magda szybko się zgodziła. Gdy Agata się o tym dowiedziała, wpadła w szal. Karteczki w kolorze sepia były jej ulubionymi, wyproszonymi, unikatowymi! Jak Magda mogła wymienić je bez jej zgody?! Skutkiem niefortunnej transakcji było zerwanie współpracy. W złości rozdzieliły karteczki na Magdy i Agaty, przy okazji kłócąc się jeszcze bardziej. Przez dwa lata się do siebie nie odzywały, a i potem ich stosunki można było nazwać zaledwie poprawnym koleżeństwem. Tak, z karteczkami nie było żartów...

Agata zaśmiała się, upiła łyk wina i sięgnęła po kolejną kanapkę.

Pomyślała o rodzicach Kermita. Całkiem mili ludzie. Niewiele mogła o nich powiedzieć, ale wydawali się całkiem w porządku. W oczach pani Marii, yhm... po prostu Marii... widziała, że też była ciekawa spotkania z nią. Chyba wypadło całkiem dobrze. Ojciec też chyba sympatyczny. Widać, że kocha żonę. Zawsze to miło popatrzeć, gdy ludzie, którzy tyle razem przeszli, którzy mieli okazję oglądać się też w tych mniej pięknych momentach życia, nadal się kochają.

A skoro Kermit wyniósł takie wzorce z domu, to może i on okaże się równie stały w uczuciach? Chciałaby, żeby tak było. Podobał jej się jego opiekuńczy stosunek do rodziców i ich przyjaciół. W ogóle cały Kermit jej się podobał. Choć podpaść też umiał. Nie mogła na przykład zrozumieć, jak to się dzieje, że dorosły mężczyzna nie może trafić skarpetkami do kosza na

brudną bieliznę? Co to jest za problem, żeby je tam wrzucić? Chyba dlatego wciąż wzbraniała się przed tym, by z nim zamieszkać. Bała się, że tego typu drobiazgi mogą z czasem przyćmić to, jak fajnym i uroczym jest człowiekiem. A był uroczy. Jak zaproponował mamie Lidki, że pogadają z Katarzyną, nie było to urocze? Było!

Właśnie... mama Lidki, Zofia. Przecież ona była zupełnie rozbita! Działała jak jakiś automat. Agata nie zdziwiłaby się, gdyby się okazało, że zażyła jakieś środki uspokajające. Zresztą powinna była to zrobić, dać sobie czas na oswojenie się z tą tragedią. Te jej rude, kręcone włosy i oczy, tak podobne do oczu Lidki. Ciekawe, czy odtąd, patrząc w lustro, za każdym razem będzie przypominała sobie córkę? Boże, to naprawdę musi być dla niej straszne. Pomyślała o Aśce. Gdyby coś zdarzyło się któremuś z jej dzieci, chyba by zwariowała. To było tak okropne, że aż niewyobrażalne. Agacie serce ścisnęło się na samą myśl o tym.

Całe szczęście, że Zofia mogła liczyć na pomoc tych swoich przyjaciół, Teresy i Jacka. Jacek był nieco wycofany, ale Teresa zajmowała się przyjaciółką z pełnym poświęceniem. Wyglądała na doskonale zorganizowaną kobietę, która lubi mieć wszystko pod kontrolą, a w takich sytuacjach właśnie tacy ludzie okazują się najcenniejsi. Tacy, którzy nie pogrążą się w rozpacz, ale pomyślą o tym, by podać proszek uspokajający, kupić ciasto, zaparzyć kawę, a pogrążoną w żałobie matkę, która dopiero straciła dziecko, zabrać do siebie. Bardzo dobrze, że to zaproponowała. Kto wie, co mogłoby przyjść Zofii do głowy,

gdyby została sama w pustym mieszkaniu. Agata straciła rodziców, więc wiedziała, jak to jest, gdy umiera ktoś, kogo kochasz całym sercem. Czujesz, jakby to serce ci po prostu wyrwano i zdarzają się chwile, gdy nie masz już chęci żyć. A śmierć dziecka musi być jeszcze gorsza. Wtedy tracisz wszystko i nic już nie ma znaczenia.

Teresa i Jacek, którzy sami stracili córkę, na pewno to rozumieli. Wprawdzie tamto zdarzenie miało miejsce wiele lat temu, ale Agata przypuszczała, że takich rzeczy się nie zapomina. Oni najlepiej będą potrafili pomóc Zofii.

Pozostawała jeszcze kwestia Grzegorza. Czy Kermit będzie chciał znaleźć brata, by poinformować go o śmierci Lidki? Pewnie chciałby wiedzieć, ale jeśli przez te wszystkie lata się nie kontaktowali, to czy naprawdę ta wiedza robiła mu jakąkolwiek różnicę? Przyjaźnie przychodzą i odchodzą, taka jest smutna prawda. Choć na przykładzie Marii i Stanisława Janachów widać, że są na świecie ludzie, którzy nawet po wielu latach potrafią natychmiast przyjechać z drugiego końca Polski, gdy ich dawnej przyjaciółce dzieje się krzywda. Już choćby samo to wystawiało im wspaniałe świadectwo. Kermit miał szczęście, że ma takich rodziców. Ciekawe, czy Maria i Stanisław polubiliby się z jej rodzicami? Miała przeczucie, że tak. Jeśli zdarzy się odpowiednia okazja, przedstawi im wujka Antoniego. Z nim też powinni znaleźć wspólny język. Przyzwoici ludzie zawsze się dogadają.

A o Grzegorza zapyta jutro, gdy spotka się z Kermitem. Nie chciała pytać go o to przez telefon. O tym trzeba pogadać

twarzą w twarz, najlepiej trzymając się za ręce, by czuł, że jakąkolwiek decyzję podejmie, ma w niej wsparcie. Poza tym on też na pewno się nad tym zastanawia i nie chciała mącić mu w głowie, zanim sam sobie wszystkiego nie poukłada. Ona by raczej była za tym, by spróbować go odszukać, ale to rodzina Kermita. Niech sam podejmie decyzję. On i jego rodzice.

Uuu... woda wystygła. Agata jednym haustem wypła resztkę wina i zjadła dwie ostatnie oliwki. Smak był tak pyszny, że myciu zębów towarzyszył żal. Wytarła ciało, posmarowała kremem i wskoczyła w piżamę.

Pięć minut później spała.

Zanim Teresa Polko zamknęła drzwi do sypialni dla gości, na chwilę się zatrzymała. Uważnym wzrokiem przeczesła pomieszczenie, by sprawdzić, czy o niczym nie zapomniała. Szklanka z wodą na nocnym stoliku – jest, obok butelka. Ładowarka do telefonu – przyniesiona. Karton chusteczek – stoi, obok jest kosz. Czy powinna przynieść coś jeszcze? Chyba nie. Rano zajrzy do Zofii i zrobi wszystko, by namówić ją na śniadanie. Musi pilnować, by jadła. O picciu człowiek tak łatwo nie zapomina, jak o jedzeniu. Tak, jutro przygotuje jej pożywne śniadanie i dopilnuje, by zostało zjedzone. Może jajecznica? Ciekawe, czy ma wystarczająco dużo jajek. Jak nie, to wyśle rano Jaculę do sklepu.

Patrzyła na wznoszące się i opadające plecy przyjaciółki, które przed chwilą troskliwie okryła kocem. Tak, była jej przyjaciółką. Maria i Stanisław wyjechali, ale one zostały w Warszawie i nadal się spotykały. Może nie tak często jak wtedy, gdy mieszkały na jednej ulicy, ale jednak przynajmniej raz na pół roku udawało im się znaleźć czas na spotkanie. Gdy Zofia zadzwoniła i łkając, ledwie zdołała wydukać, co się stało, Teresa od razu przystąpiła do działania: w pięć minut spakowała najpotrzebniejsze rzeczy i razem z mężem pojechali

do Zofii. W takich momentach człowiek nie może być sam.

Teresa dokładnie pamiętała, jak czuła się po śmierci Anki, jej ukochanej, jedynej córki. Nie raz i nie dwa myślała o tym, by ze sobą skończyć. Nie wiedziała, po co dalej żyć. Ale ona miała przy sobie Jaculę. Wiedziała, jak inni na niego patrzą. Jasne, że przy pierwszym spotkaniu nie robi piorunującego wrażenia. Nigdy nie był specjalnie przystojny, elokwencją też nie ujmował. Ale miał najważniejszą cechę, jaką powinien posiadać mąż – dawał jej wsparcie. I to właśnie on pomógł jej przejść przez najtrudniejszy okres po śmierci Anki.

Nie usłyszała, jak do niej podszedł. Położył dłonie na jej ramionach i łaskocząc zarostem, wyszeptał do ucha: – Chodź już. Zejdźmy na dół. Zośka śpi.

Teresa była pewna, że przyjaciółka tylko udaje, nie chciała jednak zdradzać się ze swą wiedzą, odparła więc nieco głośniej: – Tak. Niech śpi spokojnie.

Zamknęła drzwi i wzięła męża za rękę. Nie puszczając, zeszła na dół. Usiedli na kanapie. Teresa podkuliła nogi pod siebie, a głowę oparła na ramieniu Jaculi.

– Jak myślisz? – spytał mąż. – Jak długo ona tu zostanie?

– Tyle, ile będzie trzeba – odparła Teresa nieco oschle. Jak mógł zadawać takie pytania? – Dopiero gdy będę całkowicie pewna, że rozumie i akceptuje to, co się stało, pozwolę jej się stąd wyprowadzić. Gdyby coś sobie zrobiła, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Nie możemy na to pozwolić.

– Oczywiście. Masz rację, kochanie. – Mąż uspokajająco pogłaskał ją po dłoni. – Zostanie tyle, ile będzie trzeba. Ale że

Marysia i Staszek przyjechali! Przecież nie widzieliśmy ich całe lata! Czas ich nie oszczędził...

– Podobnie jak nas. Założę się, że też byli zdziwieni tym, jak się postarzeliliśmy.

– Pewnie tak. A ten ich Piotruś, jak wyrósł! Musisz przyznać, że całkiem przystojny mężczyzna się z niego zrobił! Choć nie mnie to oceniać...

– Jacuś, ja jako kobieta mogę tylko potwierdzić! Wciąż mam przed oczami, jak latał tu po tym pokoju z tym swoim blaszanym samolocikiem, pamiętasz?

– No pewnie, że pamiętam! – Jacek uśmiechnął się pod nosem. – Pilnował go jak największego skarbu. Z rąk go nie wypuszczał!

– Chyba że sięgał po cukierka.

– A tak... cukierki też lubił.

Na chwilę pograżyli się we wspomnieniach.

– A Grzegorz? – Jacek przerwał milczenie. – Z Grzegorzem nadal nie mają kontaktu?

Teresa wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Dziś nie było czasu, by zapytać. Ale pewnie zostaną w Warszawie kilka dni, to będzie jeszcze okazja, żeby normalnie porozmawiać. Zaprosiłam ich do nas na jutro.

– Na jutro? – zdziwił się Jacula.

– No tak, a co? Masz jakieś plany?

– Nie, tylko nie spodziewałam się... Myślisz, że Zosi nie będzie to przeszkadzało?

– Jestem pewna, że nie. Pewnie będzie w myślach psioczyć na

nas, że nie dajemy jej chwili spokoju, ale wierz mi, spokój nie jest jej w tej chwili potrzebny. Teraz musi być między ludźmi. Musi czuć, że coś dla nas znaczy, że się o nią troszczymy. O! – Teresa poderwała się i rozejrzała po pokoju w poszukiwaniu komórki. – Widziałeś gdzieś mój telefon?

– Chyba leżał na stole.

– Jest!

Teresa chwyciła telefon i wróciła na kanapę. Zaczęła stukać w ekran.

– Co będziesz robić o tej porze?

– Jak to co? No przecież trzeba odwołać Tanię! – Tania sprzątała u nich w każdą sobotę. Jacek spojrzał na żonę z podziwem. Wciąż zaskakiwała go tym, o jak wielu rzeczach pamięta. – No, SMS wysłany. Napisałam, żeby jutro nie przychodziła.

Mężczyzna objął żonę i czule pogłaskał po głowie.

– Kocham cię, Teresko.

Teresa pogładziła go po brodzie.

– Ja ciebie też, Jacuś. No, ale chyba pora, byśmy i my poszli już spać. Rano skoczysz po jajka. Zrobię na śniadanie tę, no...

– Jajecznicę.

– Właśnie!

– Dobrze, nie ma sprawy. Idziesz pierwsza pod prysznic?

– Ooo, tak.

Teresa z trudem podźwignęła się na zdętwiałe nogi. Ruszyła w kierunku łazienki, ale w drzwiach zatrzymała się i spojrzała na męża, który zamknął oczy i powoli zaczynał przysypiać.

– Jacuś?

– Co? – Uchylił powieki i spojrzał na nią niemal zupełnie już nieprzytomnym wzrokiem.

– Dobrze, że jesteś.

Nic nie odpowiedział, ale się uśmiechnął.

18 lipca 1992 roku, godzina 12:50

Powietrze było gorące i nieruchome. Tuż nad rozgrzanym asfaltem delikatnie drgało. Choć Lidka wyszła z domu nie więcej niż pięć minut temu, już czuła, jak słońce bezlitośnie smaży jej odsłonięte ramiona. Dobrze, że przed wyjściem mama przypomniała jej o tym, żeby nasmarować się kremem. Gdyby nie to, na pewno przez całą imprezę by cierpiała. Jej jasna skóra ulegała poparzeniom słonecznym dosłownie w mgnieniu oka.

Stała na skrzyżowaniu, na którym umówiła się z Grześkiem, starając się ukryć w odrobinie cienia, jaką dawał rosnący obok żywopłot. Niestety, słońce było wysoko i cienia starczało tylko na nogi. W ręku trzymała plik kartek z ręcznie wypisanymi ogłoszeniami i rolkę taśmy klejącej. Mrużąc oczy, wypatrywała kolegi.

Zerknęła na zegarek. Zaraz powinien być.

I wtedy wyszedł z za rogu. Mimo upału ubrany w długie jeansy, czarną, spraną koszulkę i jeansową kamizelkę upstrzoną różnymi naszywkami. Z uszu zwisały mu kabelki od słuchawek, prowadzące wprost do kieszeni spodni, gdzie zwykle nosił walkmana. Bijał się w rytm słuchanej muzyki.

„Wariat!” – pomyślała Lidka i uśmiechnęła się. Nie sposób było go nie lubić.

Teraz, gdy już ją zauważył i był pewien, że ona też go widzi, rozpoczęło się prawdziwe szaleństwo. Najpierw stanął na palcach, rozłożył szeroko ramiona, po czym zakręcił się wokół własnej osi jak najprawdziwszy tancerz. Tanecznym krokiem zbliżył się trochę w jej stronę, udając, że śpiewa do wyimaginowanego mikrofonu i spoglądając na nią spod opadającej na oczy grzywki, po czym wskoczył na murek i udawał, że gra na gitarze, machając głową tak mocno, że Lidka zaczęła się obawiać, czy zaraz nie spadnie. Zeskoczył, obrócił się tyłem i moon walkiem Michaela Jacksona znów pokonał parę metrów w jej kierunku. Potem podskoczył, stanął tuż przed nią i znów udając, że gra na gitarze, upadł na kolana. Wygiął się do tyłu, zamknął oczy i śmigał palcami po powietrzu z miną, jakby miał poważne zatwardzenie.

– Never free, never me, so I dub thee unforgiven! – zakończył swój występ. – Kurde, kapitalna jest ta kaseta – powiedział, podnosząc się z kolan i sięgając do kieszeni, by wyłączyć walkmana. – Jak leci? – spytał, cmokając Lidkę w policzek. – Co tam za biznesy kręcisz?

Ruszyli w stronę przystanku autobusowego.

– A, takie tam. Tak sobie pomyślałam, że korki z anglika mogłabym dawać.

– No, świetny pomysł! Moja kumpela ze szkoły podobno kosi na tym niezłą kaskę. – Rozejrzał się. – A Anki nie udało ci się

wyciągnąć?

– Próbowałam, ale jakaś sfochowana jest dzisiaj.

– Mam nadzieję, że na wieczorne ognisko trochę jej się poprawi. A! Właśnie! Obczaiłem już transport. Jest taki PKS, co nas dowiezie praktycznie do celu. Tylko nie wiem, jak z powrotem, bo ostatni jest o dwudziestej drugiej trzydzieści, a to trochę wczesna pora. Rano pierwszy startuje o czwartej dwadzieścia. Ale co tam, jak dzień taki gorący, to i noc będzie ciepła. Jakoś wytrzymamy do tej czwartej, no nie? – Szturchnął ją łokciem w ramię i puścił oko.

– Może wcale nie będziemy musieli. Anka nakręca rodziców, żeby dali jej na dzisiaj samochód.

– No co ty? Byłoby bombowo!

– No nie wiem, mnie się zdaje, że to jakiś głupi pomysł.

– Oj, Lidka, daj spokój. Ma prawo jazdy? Ma! No to co ma nie jeździć?

– Słuchaj, a kto tam będzie dzisiaj na tym ognisku?

– A, takie tam ludziki z mojej klasy, trochę z klasy Anki. Jeden kumpel tam mieszka niedaleko po prostu i ma taką miejscówkę na ogniska, podobno kapitalna.

– No dobra. To co, może na słupie wieszamy?

– Pewnie! Przy przystanku non stop ktoś się kręci. To daj, ja potrzynam kartkę, a ty rozwijaj taśmę.

Grzesiek przyłożył kartkę z ogłoszeniem do słupa, a Lidka pociągnęła za wcześniej oznaczony koniec taśmy, która rozwinęła się z głośnym skrzypieniem.

18

– Ciocia! – Małe łapki pospieszyły w jej stronę, gdy tylko uchyliła drzwi do domu Aśki.

– Cześć, bąble! – Na ich widok usta Agaty same rozciągnęły się w uśmiechu.

Maja zmarszczyła czoło i wojowniczo zaplotła rączki na klatce piersiowej.

– Ja już nie jestem bąblem! – zaprotestowała. – Po wakacjach idę do szkoły!

– Racja – przyznała Agata z możliwie poważną miną. – Ty już nie jesteś.

– I ja też nie!

Kacper najwyraźniej wykoncypował, że skoro siostra przeciw czemuś protestuje, to on też powinien.

– Dobrze, Kacperku. – Agata pogłaskała go po jasnej główce. – Ty też nie jesteś już bąblem.

– Ale przecież on jest bąblem! On nie idzie jeszcze do szkoły! Dopiero zaczął przedszkole!

Agata westchnęła. To będą ciężkie trzy godziny. Spojrzała ponad ich głowami w poszukiwaniu odsieczy.

– Gdzie mama?

– Na górze, maluje się – odparła Maja. Agata odetchnęła z

ulgą, że zmiana tematu poszła tak łatwo.

– A tata?

– Pojechał po kwiatki dla tej pani, do której jadą.

– Zabrał Zuzię?

– Nie, Zuzia jest z mamą.

Agata zdjęła płaszcz i odłożyła torbę na szafkę.

– To ja pójde przywitać się z mamą.

– Ciociu! Poczekaj! Mam coś dla ciebie! – krzyknęła Maja i popędziła do salonu.

Po chwili wróciła, trzymając coś za plecami. Widząc jej minę, Agata nabrała obaw, że będzie to wybuchający prezent, jak w Smerfach. Ale nie, to była tylko kartka.

– Proszę! – Maja wręczyła jej rysunek i zaczęła podskakiwać w miejscu jak piłka, nie mogąc inaczej poradzić sobie z natłokiem emocji. – To ty!

Agata z otwartymi szeroko oczami wpatrywała się w postać na kartce. W twarzy najbardziej rzucał się w oczy wielki, trójkątny nos z dziurkami jak kratery. U jednej ręki miała sześć palców, u drugiej siedem, z ust wystawał fioletowy język, a włosy koloru pomidorów sterczały na wszystkie strony.

– Piękny rysunek, Majeczko! Ale ja nie mam czerwonych włosów...

– Wiem, ciociu, ale nie mogłam znaleźć czarnej kredki. Może Zuzia mi zjadła.

Agata starannie złożyła rysunek na pół i włożyła do torebki, uważając, by zbyt nie pogiął.

– Ale powiesz go sobie w domu? Powiesz? Powiesz?

Powieszysz? – pytała Maja, nie przestając podskakiwać.

– No pewnie! Za każdym razem, jak na niego spojrzę, pomyślę o tobie.

Maja rozpromieniła się jeszcze bardziej, beztrudnie eksponując szczerbę po dolnej jedyńce.

– A może narysuję jeszcze jeden? Może wujka Kermita?

„Ha! Doskonała propozycja – może zajmie ją chociaż na dziesięć minut”.

– Świetny pomysł! Na pewno się ucieszy! To ty rysuj, a ja pójdę przywitać się z mamą.

– A ja? – spytał Kacperek, niepokojąco wyginając usta w podkówkę.

– Ty też narysuj coś dla wujka, to z pewnością sprawisz mu radość!

– Dobra! Narysuję mu lobota! – zadowolony pomknął za starszą siostrą.

„Ciekawe ile czasu minie, zanim pokłócą się o kredki” – pomyślała i ruszyła na piętro.

– Cześć, siostra!

– Hej! – Aśka nie oderwała wzroku od lustra. Właśnie tuszowała rzęsy. Mała Zuzia siedziała obok niej na podłodze i bawiła się kucykiem Pony.

Aśka skończyła się malować, zrobiła krok w tył i obrzuciła swe odbicie wzrokiem, jakim inspektor policji może mierzyć podejrzanego w poszukiwaniu oznak kłamstwa.

– Fiu, fiu! Ale z ciebie laska!

– Myślisz? – Aśka stanęła bokiem i pogładziła ręką po

brzuchu. – Benio nie za bardzo mi wystaje?

– No co ty, świetnie wyglądasz! – zaprzeczyła Agata, w ostatniej chwili hamując się przed dodaniem „jak na matkę trójki dzieci” – to zniweczyłoby cały komplement. A Aśka naprawdę wyglądała świetnie! Delikatnie luźna, granatowa sukienka tuszowała to, co miała tuszować, a podkreślała to, co warto było uwydatnić.

– Tak się cieszę, że wychodzimy. Dzięki, że zgodziłaś się przyjść. Kurczę, muszę w końcu skombinować sobie jakąś niańkę, żeby można było czasem wyjść jak człowiek, bez proszenia się o pomoc.

– Przecież wiesz, że to żaden problem...

– Wiem, wiem, że teraz tak mówisz. Ciekawe co powiesz, gdy wrócimy za trzy godziny. Założę się, że będziesz stać w progu i przebierać nogami, żeby już stąd zmykać, i następnym razem dwa razy się zastanowisz, zanim zgodzisz się z nimi zostać. Albo będziesz cała siwiuteńka, pomarszczona jak rodzynek, bo te potwory wyssą z ciebie całą energię życiową!

– Daj spokój! Będziemy się świetnie bawić. Prawda, Zuziu?

Nachyliła się do dziewczynki i pogłaskała ją po rączce. Dziecko przytuliło zabawkę i ze strachem w oczach spojrzało na matkę. Aśka uspokajająco pogłaskała ją po główce.

– No już, już. Ciocia nie chce ci zabrać konika. – Spojrzała na Agatę. – A poza tym muszę zacząć ją przyzwyczajać do spędzania czasu z innymi, boooo...

Zrobiła wielkie oczy i tajemniczo się uśmiechnęła.

– Bo co? – popędziła ją Agata.

– Bo od września wracam do pracy!

– Poważnie?! To świetnie!

Aśka pokręciła głową.

– Z jednej strony tak, ale z drugiej strasznie się boję. Nie wiem, czy ja sobie poradzę w pracy, nie wiem, czy dzieci poradzą sobie beze mnie i w ogóle nie wiem, jak my wszyscy będziemy funkcjonować. Ale nie mogę już dłużej tego odwlekać. No, ale to nie temat na teraz.

– Racja, teraz skup się na tym, żeby się trochę rozerwać.

Aśka wzięła Zuzię na rękę. Zeszły na dół. Kacper siedział przy stole i grzecznie rysował. Agata nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok wystającego mu z buzi i kręcącego się na wszystkie strony języka – jakby chciał wylizać inspirację z powietrza. Wyglądało to przeuroczo.

A Maja? Maja stała przy drzwiach wyjściowych i grzebała w jej torebce.

– Majka! – krzyknęła Aśka. – Co ty robisz? Co ci strzeliło do głowy? Przecież tyle razy ci mówiłam, że nie można grzebać w cudzych torebkach!

Dziewczynka w mgnieniu oka cofnęła rękę i spłonęła rumieńcem.

– Wiem, mamó, przepraszam, ale ciocia ma zawsze tyle fajnych rzeeeczyyy.

– Ale co to w ogóle za wytłumaczenie?! NIGDY, PRZENIGDY nie wolno myszkować w cudzych rzeczach!

Agata musiała przyznać, że Aśka ma pod tym względem absolutną rację, ale cóż, kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci

kamieniem. Żal jej się zrobiło dziewczynki, która była bliska płaczu, więc mając na względzie to, że postępuje bardzo niewychowawczo, postanowiła jednak zainterweniować: – Ależ nic takiego się nie stało. Co takiego ci się spodobało, kochanie?

Maja nieśmiało wyciągnęła zza pleców malutki słoiczek kremu – jasnoróżowy, ze srebrną, błyszczącą nakrętką. Nic dziwnego, że spodobał się dziewczynce. Nie był najtańszy i gdyby był pełny, Agata zapewne natychmiast by go zabrała, ale na dnie została zaledwie resztką, a w domu czekało na nią nowe opakowanie.

– A, niech sobie weźmie – rzuciła więc wielkodusznie. Raz, że strata niewielka, a dwa, że szkoda by było zaczynać wspólne popołudnie od awantury.

– Dzięki, ciociu! – Oczy Mai rozbłysły i rzuciła się Agacie na szyję. – Wracam do rysowania!

I już jej nie było.

Aśka patrzyła na nią spode łba. Trudno jej się dziwić. Agata poczuła się nie mniej winna niż Maja. Wzorem siostrzenicy spuściła wzrok. Na szczęście w tym momencie z zewnątrz dobiegł dźwięk klaksonu.

– O! To Paweł! – Aśka zerknęła na zegarek. – Jejku, jak późno! Nic dziwnego, że nie wchodzi! – Cmoknęła siostrę w policzek. – To ja lecę! Jakbyś chciała, to filmy DVD dla dzieci są w szufladzie pod telewizorem.

– No co ty! – zachnęła się Agata. – Nie zamierzam puszczać im bajek! Będziemy rysować, malować, grać w gry. Niech zobaczą, jak fajnie jest z ciotką!

Aśka uśmiechnęła się pod nosem, ale tego nie skomentowała. Cmoknęła Zuzię w czubek głowy i wcisnęła ją w ramiona Agaty. Mała była na tyle zdezorientowana, że chyba zapomniała się rozplakać. Aśka, biegnąc w stronę wyjścia, rzuciła: – To pa! Jakby co, dzwoń! – i zniknęła za drzwiami.

Agata usiadła na kanapie, wciąż trzymając w ramionach Zuzię, która wprawdzie nie płakała, ale spoglądała na nią z nieufnością. Wzięła jedną z leżących obok, grających książeczek. Otworzyła na stronie z fortepianem.

– O! Co my tu mamy? – zapała radośnie, jakby znalazła tam bon do spa.

Nacisnęła guziczek i książeczka zagrała. Zaintrygowana Zuzia przysunęła się do niej i oparła o jej ramię. „No, pierwsze koty za płoty!” – pomyślała Agata, pilnując, by entuzjastyczny uśmiech ani na chwilę nie zniknął z jej twarzy, a ręce trzymając z daleka od wciąż kurczowo ściskanego przez Zuzię konika Pony.

– Ciociu, skończyłem! – krzyknął Kacper.

– A wcale że nie! – zaprotestowała Maja. – Nie pokolorowałeś nieba.

– Bo mój lobot jest w kosmosie!

– W kosmosie też jest niebo.

– Nieplawda, nie ma!

– Ciociu, powiedz mu, że w kosmosie jest niebo – zażądała Maja.

Poczuła na sobie trzy pary dziecięcych oczu. Mała Zuzia, czująca wiszącą w powietrzu awanturę, zastanawiała się, czy już płakać, czy jeszcze troszkę poczekać. By być gotową do

akcji, wygięła już buzię w podkówkę. Maja i Kacper patrzyli na Agatę jak bokserzy na sędziego w oczekiwaniu na werdykt. Rany, czemu to musi być takie trudne? I, na Boga, jak Aśka sobie z tym radzi? Jej do głowy przychodził tylko jeden pomysł. Przyklasnęła w duchu swojej zapobiegliwości i zaproponowała:

– A co wy na to, żeby poczuć prawdziwe niebo w gębie?

– Niebo w gębie? – Kacper był zdezorientowany. – Nie mówi się w gębie, tylko w buzi. Mama tak mówi.

Boże, człowiek nigdy nie jest na takim cenzurowanym, jak w towarzystwie dzieci!

– Kacperku, a co powiesz na czekoladę?

– Taaaak!!! – Maja i Kacper zaczęli klaskać.

Agata sięgnęła do zamykanej na suwak kieszonki w torebce i wyciągnęła tabliczkę czekolady z dmuchanym ryżem. Dzieci rzuciły się na nią, jakby od tygodnia nie miały nic w ustach. Tabliczki po pięciu minutach nie było. To znaczy prawie, bo znaczna jej część została we włosach, na twarzach (w tym czołach) i na palcach.

– To co robimy? – spytał Kacper.

– Najpierw pójdziemy umyć buzie i rączki...

– Nie! Ja nie chcę myć! Mogę wylizać! – zaproponowała Maja i natychmiast przystąpiła do dzieła.

Agata uznała, że nadszedł czas ostatecznej dezercji.

– A potem obejrzymy film! – zaproponowała, zerkając na wiszący na ścianie zegar. W postanowieniu twórczego spędzania czasu zamiast pacyfikowania bajką wytrzymała całe dwadzieścia minut.

– Taaak!

Po chwili dzieci były już w łazience.

Oczywiście wybór filmu też nie poszedł gładko. Maja koniecznie chciała obejrzeć *Krainę Lodu* („Ciociu, proszę, proszę, zaśpiewam ci *Mam tę moc* po hiszpańsku!”), Kacper chciał *Transformers* („Ciociu, oni mają supelmoce!”), w końcu stanęło na *Lilo i Stich*. Na szczęście nawet Zuzia zainteresowała się bajką, pod koniec której zasnęła. Starsze rodzeństwo, nauczone doświadczeniem, wiedziało, w jakie rejestry potrafi wpadać siostra wybudzona ze snu wcześniej, niż planowała, więc do końca wizyty zachowali względną ciszę.

Wracający z obiadu Aśka i Paweł spotkali pod domem Kermita i we trójkę weszli do środka. Agata na ich widok ucieszyła się jak rozbitek widzący płynący w stronę jego wyspy statek. Cmoknęła siostrę i szwagra w policzek, wczepiła się w Kermita i nie minęły nawet dwie minuty, a już byli za drzwiami.

– Rany, co dziś tak szybko? – zdziwił się Kermit. – Nie chciałaś jeszcze pogadać z siostrą?

– O, nie! Może zadzwonię wieczorem, ale teraz, wierz mi, musiałam się już ewakuować.

– Dzieciaki tak cię wymęczyły? – Kermit nie mógł powstrzymać rozbawienia.

– Śmieję się, śmieję! Jakbyś to ty tam był przez trzy godziny, to nie byłoby ci tak do śmiechu! – Pogroziła mu palcem.

19

– No dobra, to mów, czego się dowiedziałeś. Udało ci się włamać do tego tabletu? – spytała, gdy siedzieli już w samochodzie.

– Oj, od razu włamać! – Kermit spojrzał na nią z udawanym oburzeniem.

– No dobra, dobra... Dostać do środka. Udało ci się czy nie?

– Pewnie, że mi się udało!

– No i?

– No i choć spędziłem nad tym całe przedpołudnie, to na niewiele się to zdało. Choć jedna rzecz była ciekawa.

– Co?

– Pamiętasz ten klaser z monetami?

– No pewnie!

– No więc to nie przypadek, że był w jej pokoju. Lidka rzeczywiście się tym interesowała. Dostałem się na jej skrzynkę mailową i okazało się, że z niewieloma osobami utrzymywała w miarę regularny kontakt mailowy. Jedną to ta Katarzyna, do której jedziemy. Z tego, co widziałem, to raczej nie były ze sobą specjalnie blisko. Co parę miesięcy wymieniały kilka maili, ale to tyle. No, chyba że jeszcze do siebie dzwoniły, ale to zaraz się dowiemy. Druga osoba to jakaś znajoma z Anglii, Amelie

Johnson. Od powrotu do Polski co jakieś trzy, cztery dni pisała jej, co tam słychać i jak sobie radzi. Z tego, co udało mi się na szybko wyczytać, to chyba mieszkały razem.

– Myślisz, że była lesbijką?

Kermit wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale z tą Amelie to raczej nic w ten deseń jej nie łączyło. Żadnych tęsknot czy wyznań miłości tam nie było. Pisały tylko, co tam w pracy, Amelie zdawała relację z tego, co u znajomych i tyle. Nic więcej.

– OK, a co z tym klaserem?

– No z nim właśnie związana jest ta trzecia osoba, z którą Lidka miała regularny kontakt. Niejaki Wiesław Kochanowski.

– Nazwisko w sam raz dla poety!

– Nie wiem, czy pisze wiersze, ale na pewno zbiera monety, i to z nim Lidka prowadziła najżywszą korespondencję. Poznali się na jakimś forum numizmatycznym i chyba się zaprzyjaźnili.

– Jak to „chyba”?

– Bo ja nie wierzę w takie internetowe przyjaźnie. Nie wiem, może za stary na to jestem... W każdym razie oni mieli chyba inne podejście, bo pisali do siebie niemal codziennie i to nie tylko o monetach.

– Przeczytałeś te maile dokładnie?

– HUUU... No wiesz, na tyle, na ile można to zrobić w tak krótkim czasie... Przejrzałem je jakieś pół roku wstecz, ale pisali do siebie dłużej.

– No to trzeba je przeczytać dokładnie! Skoro z nim się przyjaźniła, to może jemu napisała, kto może jej zagrażać. Może

kogoś się bała?

– OK, przejrzymy je potem dokładniej, ale ja niczego takiego nie zauważyłem. Wiem natomiast, że się spotkali co najmniej kilka razy, odkąd Lidka wróciła.

– Adres masz?

Kermit uśmiechnął się i sięgnął do wewnętrznej kieszonki w kurtce.

– No ba! Jasne, że mam! – Poczekał, żeby spojrzała na niego z podziwem, ale gnany wewnętrznym imperatywem uczciwości, zaraz potem dodał: – Podał jej go w mailu, więc to nie było specjalnie skomplikowane...

Agata przeczytała nabazgrany adres.

– 11 listopada... to niedaleko!

– Tak, też pomyślałem, że możemy jeszcze dziś złożyć mu wizytę.

– A co poza tym? Na konto wszedłeś?

– Nawet nie musiałem. Miała dwa konta, oba przesyłały jej wykaz operacji na maila. Żadnych innych banków w historii wyszukiwania nie miała, więc jeśli coś kombinowała z finansami, to bardzo się pilnowała. A na tamtych dwóch kontach nuda, nic ciekawego. Żadnych dużych wypłat, niewiele oszczędności, żadnych długów, poza kartą kredytową, regularnie spłacaną.

– Właśnie, a z czego ona się utrzymywała tam, w Londynie?

– Na angielskie konto co miesiąc wpływał jej przelew z jakiejś pizzerii. Po kwocie można sądzić, że była tam najwyżej kelnerką albo jakimś pracownikiem zaplecza. Na razie nic więcej nie

ustaliłem. Wiesz, to zresztą może nie być takie proste. Skoro nie chwaliła się swoim życiem na portalach społecznościowych ani na blogu, to możemy w ogóle się tego nie dowiedzieć.

– Chyba że zapytamy tę Amelie.

– Chyba że tak – zgodził się Kermit. – Można do niej napisać.

– I tak powinniśmy to zrobić. Pewnie chciałyby wiedzieć, co się stało z Lidką.

– Tak, ale poczekajmy z tym może do czasu, aż policja zwróci komputer cioci Zosi, bo inaczej ten twój Zawada może zacząć zadawać niewygodne pytania. Ona raczej za tym nie stoi, skoro została w Anglii, a nie chcemy, by Zawada dowiedział się, że szperamy przy tej sprawie. Jeśli zdecyduje się z nią skontaktować, a ona powie, że wie już o wszystkim od ciebie czy ode mnie, to trudno będzie nam się z tego jakoś wytłumaczyć.

– A ten Wiesław? Jak wytłumaczymy w takim razie kontakt z nim?

– Oj, tu już wystarczy drobna konfabulacja. Powiemy, że znaleźliśmy w klaserze karteczkę z jego adresem i postanowiliśmy się skontaktować.

– A czemu nie powiedzieliśmy o tym policji?

Kermit zrobił wielkie oczy i zasłonił ręką usta.

– Oj, oj! A powinniśmy? Ale z nas gapy!

Agata roześmiała się.

Jechali chwilę w milczeniu. Agata wyglądała przez szybę, przyglądając się mijanym po drodze, szarym budynkom. Sprawa Lidki niewątpliwie była ważna, ale nie tylko ona ją w tej

chwili zajmowała... Chciałaby umieć nie pytać o pewne rzeczy, potrafić utrzymać język za zębami, ale trudno, nie umiała. Czasem, gdy bardzo chciała się czegoś dowiedzieć, czuła, że coś ją dosłownie skręca w środku. Jakby ktoś nawijał jej jelita na lokówkę. I tym razem było tak samo. Przygryzła wargę i nie odrywając oczu od budynków, bąknęła: – Kermit?

– No?

– A czy twoja mama... no wiesz?

– Co?

– No wiesz, no! – prychnęła Agata. Boże, czy do tych facetów zawsze trzeba mówić drukowanymi literami? – Czy mówiła coś o mnie?

– He, he – zaśmiał się Kermit. – Jasne, że mówiła! Do rana cię obgadywaliśmy!

Trzepnęła go w kolano.

– Bądź poważny! Normalnie pytam, to normalnie odpowiedz!

– Dobra, dobra! No więc mówiła, że trochę jesteś już stara, ale tę czwórkę wnuków jeszcze dasz radę urodzić.

– KERMIT!

– Tak na serio, to dużo nie rozmawialiśmy, ale myślę, że cię polubiła. I pytali, czy wpadniemy wieczorem do cioci Tereski i wujka Jaculi.

– A wpadniemy?

– Powiedziałem im, że raczej tak. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

– No, nie wiem... wczoraj było trochę dziwnie.

– No, w obecnej sytuacji to inaczej nie będzie, ale głupio

byłoby się nie pokazać. Nie będę nalegał, ale ja tam pojedę.
Jeśli zgodzisz się jechać ze mną, będzie mi miło.

Ścisnęła go za rękę.

– Skoro tak, to jesteśmy umówieni.

Uśmiechnął się do niej.

– O! Ale czy to nie blok Katarzyny? Tak, jesteśmy na miejscu!

– Zgrabnie zaparkował na miejscu tak małym, że Agata nawet by go nie rozważała. No, chyba że w swoim smarcie. – Wsiadaj, kochana.

20

Dłoń przesunęła się po wgłębieniu w zielonej karoserii. Poza uszkodzoną blachą po wypadku nie zostały żadne inne ślady. Wszystko zostało dokładnie wyczyszczone. Ślady krwi, włókna ubrania, włosy – zniknęły, jakby nigdy ich tam nie było. I tylko to wgłębienie było pamiątką po tym, co zaszło. Tylko ono świadczyło o tym, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Morderca uśmiechnął się pod nosem. Kto by pomyślał, że to będzie takie proste? Wystarczyło wszystko dokładnie zaplanować, nie pozostawić przypadkowi żadnego pola manewru. Precyzja i brak wahania, gdy przyszedł czas na działanie – to klucze do sukcesu. Choć nie, szczęście też odegrało swoją rolę. Mogło być tak, że uderzenie nie byłoby śmiertelne. Mogło też się zdarzyć, że razem z Lidką na pasy wszedłby ktoś jeszcze. Czy wtedy morderca by uderzył? Trudno powiedzieć. W końcu tyle o sobie wiemy, na ile nas sprawdzono. Grunt, że wszystko ułożyło się tak, jak powinno. Lidka weszła na pasy sama, a teraz nie żyła. Jej zimne ciało leżało w policyjnej kostnicy.

Morderca czuł się bezpiecznie. Szansa, że policja wpadnie na właściwy trop, jest minimalna, w zasadzie zerowa. A on teraz może wreszcie odetchnąć. Prawie... Ale przecież od początku liczył się z tym, że wspomnienia tego zdarzenia będą go prześladować. To była cena, jaką zgodził się zapłacić.

Gdy zamykał oczy, widział przepętnioną przerażeniem twarz

Lidki, która już wiedziała, że pędzący wprost na nią samochód nie zamierza hamować, że zamierza ją zabić. Nie to było jego celem. Nigdy nie chciał powodować cierpienia, wywoływać strachu, pastwić się nad ofiarą. Nie jest przecież złym człowiekiem. Ale trzeba było to zrobić. Innej drogi nie było. Tak już jest w życiu, że gdy do obranego celu prowadzi niewygodna ścieżka, trzeba zacisnąć zęby i przez nią przejść. Cel jest najważniejszy. Gdy nie tracisz go z oczu, chłoszczące po policzkach gałęzie cię nie zatrzymają.

Trzeba jeszcze ostatecznie pozbyć się samochodu. Poczekać, aż sprawa nieco przycichnie, a potem wywieźć na jakieś odludzie. Blachy zniszczyć, resztę sprzedać. Da sobie z tym radę, na pewno. W porównaniu z tym, co zostało zrobione, to przecież drobiazg.

Ale teraz już czas wracać. Niebezpiecznie jest przebywać tu tak długo. Niebezpiecznie jest w ogóle tu przychodzić, ale pokusa pogłaskania wgniecionej karoserii, potwierdzenia, że to wszystko zdarzyło się naprawdę, była nie do odparcia.

21

– Dzwon. – Agata wskazała domofon.

– Ty dzwon – zaproponował Kermit. – Kobietę prędzej wpuści.

Agata już chciała burknąć coś o seksistach, ale szybko pojęła, że Kermit ma rację. Wyciągnęła palec w kierunku domofonu, gdy z klatki wybiegły dwie dziewczynki, na oko dziesięciolatki. Zaśmiewały się z czegoś tak, że musiały zaciskać nogi, żeby się nie posikać. W połączeniu z tym, że usiłowały biec, wyglądało to komicznie. Były tak zajęte sobą, że niepomnie zasad, jakie rodzice zapewne kładli im do głowy, nie zwróciły uwagi na dwoje czających się pod domofonem dorosłych, którzy skrzętnie to wykorzystali. Kermit przytrzymał zamykające się za nimi drzwi i oboje wemknęli się do środka.

– Twarzą w twarz będzie trochę łatwiej – stwierdził Kermit.

– No nie wiem, czy „łatwiej” to dobre określenie. Raczej „nieco mniej trudno”.

– Co prawda, to prawda. No, ale nie ma co, idziemy!

Nie czekając na windę, weszli po schodach na drugie piętro i stanęli pod właściwymi drzwiami. Agata nacisnęła dzwonek. Po drugiej stronie drzwi rozległ się piskliwy jazgot jakiegoś małego pieska i podniesiony głos właścicielki: „No już, Funia! Jazda stąd!”. Kobieta zapewne zaraz spojrzy na nich przez wizjer.

Oboje z Kermitem starali się wyglądać maksymalnie miło i zachęcająco. Skutek był taki, że oboje mieli nieco głupkowaty wyraz twarzy. Mimo to kobieta po drugiej stronie drzwi postanowiła dać im szansę. Uchyliła drzwi i spytała: – Słucham?

Była drobna i wyglądała dość sympatycznie. Szare, inteligentne oczy czujnie zerkały spod czerwonej grzywki. Tak, jej włosy nie były rude, tylko po prostu czerwone. W połączeniu z czarną tuniką i wielkim naszyjnikiem z kolorowych, filcowych kul, jasno komunikowały, że ich właścicielka to artystyczna dusza.

– Pani Katarzyna Woźniak? – spytała Agata.

Oczy kobiety zrobiły się jeszcze bardziej czujne.

– Taaak. A o co chodzi?

– My w sprawie Lidii Kani.

– Lidki?!

– Możemy wejść do środka? Jesteśmy jej znajomymi.

Po chwili wahania kobieta zrobiła krok w bok, robiąc im miejsce w przejściu.

– Proszę. – Gestem zaprosiła ich do środka. – Nie zdejmujcie państwo butów. I tak zaraz będę myć podłogę.

Agata mimowolnie spojrzała pod nogi. No cóż, to nie było kurtuazyjne kłamstewko. Podłoga rzeczywiście wymagała czyszczenia. Nieporządek nie musiał jednak świadczyć o zaniedbaniu. Wokół szafki na buty leżały rozrzucone adidas, na komodzie leżały dwa plecaki, a z salonu dobiegały odgłosy gry komputerowej, chyba jakiejś strzelanki. Gdy ma się w domu

dwóch chłopców, nietrudno o bałagan. Agata wciąż miała przed oczami bajzel, jaki w trzy godziny zrobili jej siostrzeńcy, choć przecież przez długi czas oglądali bajkę.

Psa nigdzie nie było. Katarzyna podchwyciła pytający wzrok Agaty i pospieszyła z wyjaśnieniem: – A, Funia! Niech się państwo nie martwią, leży i dyga pod fotelem.

– Uff... Brzmiała groźnie. – Agata uśmiechnęła się w nadziei na przełamanie pierwszych lodów, ale Katarzyna podeszła do sprawy bardzo rzeczowo.

– Boi się ludzi – wyjaśniła. – W zasadzie boi się wszystkiego.

– Aha – przytaknęła Agata, zastanawiając się, co się mówi ludziom mającym tchórzliwego psa.

– No – podjęła Katarzyna, gdy zamknęła za nimi drzwi – to o co chodzi?

Kermit rzucił Agacie spojrzenie dające jej do zrozumienia, że to ona ma mówić.

– Pani Katarzyno, to jest Piotr Janach. Jego rodzice przyjaźnią się z rodzicami Lidii. Ja pracowałam z nią w jednym biurze.

– W Test4U? – wpadła jej w słowo Katarzyna. – Tak się chyba nazywa ta firma... Ale czemu mówi pani w czasie przeszłym? Już nie pracuje? – spytała, ale jej nagłe pobladnięcie zdradzało, że choć nie przeszło jej to przez usta, to dopuściła do świadomości także dużo gorsze wyjaśnienie użytego przez Agatę czasu przeszłego. Taka delegacja raczej nie przyszła by informować, że Lidka straciła pracę.

Agata przełknęła ślinę. Katarzyna jej nie wyręczy. Musi sama to powiedzieć.

- Mamy złe wiadomości – wyjaśniła. – Lidia nie żyje.
- O mój Boże! – wykrzyknęła Katarzyna i zakryła dłonią usta.
- Co się stało?

Kermit i Agata opowiedzieli, co się zdarzyło.

- Proszę, proszę, niech państwo wejdą, tak w korytarzu państwa trzymam – powiedziała Katarzyna, gdy nieco ochłonęła. – Do kuchni zapraszam, bo tam w pokoju synowie grają, przy nich nie będziemy przecież rozmawiać. Herbaty? Kawy?

- Może kawy – poprosiła Agata.
- Dla mnie też – dodał Kermit.

Katarzyna wstawiła wodę i wskazała im miejsca przy stoliku. Agata usiadła i rozejrzała się po kuchni. Była bardzo przytulna. Widać było dbałość o szczegóły: na przymocowanych do ścian haczykach wisiały kolorowe kubki, zwykłym szafkom z IKEI nadano unikalny charakter, wymieniając zwykłe uchwyty na porcelanowe z wielobarwnymi rysunkami zwierząt, oświetlenie zapewniały wiklinowe lampy. Na wiszącej na ścianie korkowej tablicy przypięto dwa plany lekcji i milion karteczek z różnymi informacjami – od telefonu do hydraulika począwszy, na przepisie na tartę skończywszy.

- I mówią państwo, że policja nie ma pojęcia, kto to zrobił? – spytała Katarzyna. Krzesła były tylko dwa, więc stała oparta o blat.

- Z tego co wiemy, jak na razie nie.
- A jak się trzyma jej mama? Lidka przecież nie miała rodzeństwa, ojciec zmarł wiele lat temu. Musi jej być bardzo

ciężko...

– Ciocia Zosia przeprowadziła się na razie do przyjaciół – wyjaśnił Kermit.

– Boże, mam nadzieję, że szybko znajdą tego, kto jej to zrobił.

Woda się zagotowała. Katarzyna zalała kawę w dwóch kubkach, podała im też mleko i cukier. Agata z wdzięcznością przyjęła napój. Po popołudniu z dziećmi była padnięta. Upiła łyk i powiedziała: – Mieliliśmy nadzieję, że może pani podrzuci nam jakiś trop.

– Wam? – Katarzyna zmarszczyła brwi. – A nie policji?

– Policji też, oczywiście, przede wszystkim policji. Ale rozumie pani, my też się zastanawiamy, kto mógł za tym stać. Tym bardziej, że dopiero niedawno wróciła do kraju. Wszystko wskazuje na to, że nie był to zwykły wypadek, tylko ktoś na nią czyhał. Może była ofiarą nieznanego jej oszołoma. Zdarzają się przecież szaleńcy, którzy rozjeżdżają obcych ludzi. Ale mamy przecucie, że to raczej był ktoś jej znany. Ktoś, kto właśnie ją chciał zabić. A pani, jako jej przyjaciółka, być może wie coś więcej... Wie pani?

Katarzyna pokręciła głową.

– Nie sądzę, bym mogła wam jakoś pomóc.

– Ale mama Lidki twierdziła, że była pani jej przyjaciółką – powiedziała Agata, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt natarczywie.

– Słowo „przyjaźń” to w tym przypadku gruba przesada. Owszem, znałyśmy się od dawna, nawet od bardzo dawna, bo od samych początków szkoły podstawowej. Gdy teraz o tym

myślę, to chyba z żadnym ze znajomych, z którymi utrzymuję kontakt, nie znam się aż tak długo. Ale to wcale nie znaczy, że byliśmy ze sobą blisko. Kiedyś może tak, ale odkąd dorosłyśmy, nasze kontakty bardzo się rozluźniły. Owszem, dzwoniłyśmy do siebie na święta, na urodziny, od czasu do czasu wymieniałyśmy maile, ale przyjaźnią bym tego nie nazwała. Wiecie, o co mi chodzi? – Katarzyna płynnie przeszła na „ty”. – Chodzi o to, że mówiłam jej, jak chłopcy radzą sobie w szkole, ale nie wspominałam o powodach, dla których zdarza mi się płakać. Wiedziała, że chcemy wymienić mieszkanie na większe, ale o moich najskrytszych pragnieniach jej nie opowiadałam. To była taka znajomość jak... – szukała odpowiedniego słowa – jak z sąsiadką! Albo jak z daleką rodziną. Takie powierzchowne pitu-pitu.

– To jak to się stało, że ta relacja tak długo przetrwała? – spytała Agata. – I to pomimo tego, że Lidka wyjechała za granicę.

Katarzyna wzruszyła ramionami.

– Sama się nad tym zastanawiam. W sumie to już nie raz o tym myślałam, gdy dzwoniła i nie za bardzo miałyśmy o czym rozmawiać. Ja mam dzieci, ona nie miała, ja mieszkam tu, ona była w Anglii, ja zajmuję się grafiką komputerową, ona zmywa naczynia. Nie chcę powiedzieć, że jest... to znaczy była... gorsza, ale po prostu nie miałyśmy zbyt wielu wspólnych tematów. Często kończyłam z nią rozmowę i łapałam się na tym, że mam poczucie takiego bezsensu tej relacji. Że dzwoni do mnie tylko po to, żeby zadzwonić, nie po to, by mi coś

powiedzieć lub by się czegoś dowiedzieć. Tylko tak po prostu, bez sensu. Jakby to był jakiś obowiązek. Ale jeśli ona rok w rok dzwoniła w moje urodziny, by złożyć mi życzenia, to i ja czułam się zobowiązana, by do niej zadzwonić w jej święto. To chyba naturalne? No i tak to się ciągnęło, pchane chyba raczej siłą rozpędu niż rzeczywistym poczuciem bliskości. Ja w każdym razie tak to odbierałam...

Do kuchni wszedł jeden z synów Katarzyny. Potargane włosy i przekrwione oczy świadczyły o tym, że spędził na granicy już parę ładnych godzin. Ze zdziwieniem spojrział na Agatę i Kermita. Widocznie nie słyszał, jak wchodzili.

– Dzień dobry – przywitał się.

Agata i Kermit skinęli głowami.

Chłopak otworzył lodówkę i wyjął karton soku. Otworzył i napił się prosto z dziubka.

– Nie możesz nalać sobie do szklanki? – spytała Katarzyna.

– Spoko, mama. Wypiję do końca.

– Jeszcze piętnaście minut grania i koniec na dzisiaj.

– Mamooo....!

– Piętnaście minut.

Chłopak obrzucił Agatę i Kermita zaciekawionym spojrzeniem. Wzruszył ramionami i nic więcej nie mówiąc, poczłapał z powrotem do pokoju.

– No i widzicie, ja się z takimi problemami mierzę na co dzień. I o tym miałam opowiadać Lidce przez telefon? Przecież umarłaby z nudów. Ja też nie czekałam na wiadomości od niej z wypiekami na twarzy. Czułam, że kontaktowała się ze mną

trochę na siłę, jakby bała się przeciąć tę ostatnią nitkę łączącą ją z domem, oczywiście poza matką. Ale tak naprawdę mnie nie potrzebowała.

– Może czuła się samotna? – podsunęła Agata.

– Myślę, że Lidka nie wiedziała, co to samotność. Wiedziała natomiast, co to święty spokój i bardzo go sobie ceniła. Nigdy nie była przesadnie towarzyską osobą. Miała jedną przyjaciółkę, Anię, ale ta dziewczyna zmarła dawno temu. I był jeszcze taki jeden chłopak, ale nie pamiętam, jak się nazywał.

– Grzesiek – podrzucił Kermit.

Katarzyna spojrzała na niego pytająco.

– Znałem ich – wyjaśnił krótko, nie chcąc wdawać się w szczegóły.

– Naprawdę?

– Tak. Lidkę też znałem jako młodą dziewczynę.

– No to sam wiesz, jaka była. Myślę, że wyjechała bez większego bólu, bo nie miała tu nikogo bliskiego, oczywiście poza matką. Dla niej zresztą wróciła.

– Tak mówiła? – podchwyciła Agata.

– Tak. Zdziwiło mnie, gdy po tylu latach zdecydowała się wrócić, ale powiedziała, że nie chce, by matka została na starość sama. Brzmiało to tym sensowniej, że Lidka w Londynie nie założyła rodziny. Może po prostu była taką nomadką. Wszędzie było jej równie dobrze, a może raczej wszędzie równie obojętnie.

– A czemu w takim razie wyjechała?

Katarzyna podrapała się po głowie.

– A wiesz, że nie pamiętam? Zupełnie nie pamiętam, co nią wtedy kierowało. Sami widzicie, że naprawdę nie byliśmy blisko. Myślę, że dostała jakąś propozycję, może jakiś znajomy ją tam ściągnął. Nie była orłem w nauce, pewnie nie myślała o studiach. Trzeba było iść do pracy, więc poszła tam, gdzie mogła więcej zarobić, czyli w Anglii. Teraz wiele osób tak robi.

– Ale ona wyjechała przed zrobieniem matury – zauważył Kermit.

– Tak? – Katarzyna zmarszczyła brwi. – Tak, może i tak było. Tyle lat minęło, że dobrze nie pamiętam. Wiem, że wyjechała zaraz po śmierci tej jej przyjaciółki, Ani. Być może potrzebowała zmiany otoczenia, więc opuściła kraj i tam już została... – Katarzyna zamyśliła się. Utkwiła spojrzenie w widoku za oknem i przebiegała palcami po filcowych koralach. – Wiadomo, kiedy pogrzeb? – spytała po chwili.

– Nie, na razie nie. Jak będzie coś wiadomo, skontaktujemy się z tobą – powiedziała Agata.

Wymienili się numerami telefonów.

– No, to będziemy się zbierać. – Kermit wstał i uścisnął dłoń Katarzyny. – Dzięki za kawę.

– Nie ma sprawy.

– Gdyby ci się coś przypomniało... – powiedziała Agata, ściskając jej rękę.

– ...na pewno dam znać – dokończyła za nią Katarzyna.

Gdy zamknęła za nimi drzwi, Agata powiedziała:

– Sympatyczna.

– Nawet bardzo, ale chyba rzeczywiście nie była z Lidką zbyt

blisko.

– Chyba nie. Maile nie kłamały.

– To co, jedziemy do pana Kochanowskiego? Może od niego dowiemy się czegoś więcej...

Agata skinęła głową i wyszli przed blok. Gdy rozmawiali z Katarzyną, z nieba lunął chłodny, nieprzyjemny deszcz. Wiatr chlustał im strumieniami wody prosto w twarze. Wielkie krople spadające na momentalnie powstałe kałuże tworzyły mikrofontanny. Całe niebo było zasnuwane ciężkimi, szarymi chmurami – nie zapowiadało się na to, by szybko miało przestać padać.

Postawili kołnierze i biegiem rzucili się do samochodu.

– Wiesz, co mnie trochę zdziwiło? – spytał Kermit, gdy już ruszyli. Strugi deszczu znacząco ograniczały widoczność. Prowadził bardzo wolno, a Agata i tak miała wrażenie, że zaraz zza jakiegoś zaparkowanego z boku samochodu wprost pod ich koła wyskoczy radośnie hasające po kałużach dziecko. Z niepokojem obserwowała pobocza.

– Jedź powoli – poprosiła. – Co cię zdziwiło?

– Że się nie popłakała. Czy to nie dziwne? Nawet jeśli nie przyjaźniły się tak mocno, jak myślała ciocia Zosia, to jednak znały się od dawna. Nie masz wrażenia, że śmierć Lidki powinna wyrzucić na niej nieco większe wrażenie?

– No nie wiem – Agata odparła z powątpiewaniem.

Zapałała do Katarzyny trudno wytłumaczalną sympatią. Oczywiście wiedziała, że kobieta mogła kłamać o braku przywiązania do Lidki lub o tym, że nie ma pojęcia, komu mogłoby zależeć na jej śmierci. A może to właśnie jej na tym zależało – w końcu znały się od lat i przez tak długi czas mogło zdarzyć się coś, co sprawiło, że w mniemaniu Katarzyny Lidka zasłużyła na śmierć. Wszystko to prawda, a jednak Agata miała wrażenie, że tej kobiecie po prostu dobrze patrzy z oczu. Czuła, że mogłyby się zaprzyjaźnić. Jej dom był przyjemny, ciepły,

kolorowy, w tej kuchni aż chciało się przesiadywać. Przecież to, jak człowiek organizuje przestrzeń wokół siebie, wiele o nim mówi. A fakt, że nie okazywała przesadnych uczuć, zdaniem Agaty tylko przemawiał na jej korzyść. Zdecydowanie bardziej podejrzane byłoby, gdyby uderzyła w niekontrolowany płacz. Jej powściągliwość ją uwiarygadniała. I ten moment, gdy utkwiała spojrzenie za oknem i bawiła się koralami. Agata wyraźnie dostrzegła w tym spojrzeniu narastający smutek, jakby Katarzyna dopiero wtedy zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, co naprawdę się stało, że Lidka nie żyje, że nie będzie kolejnej bezsensownej rozmowy, w której braknie tematów. Nie jest tak łatwo zrozumieć, że ktoś odszedł na zawsze, zwłaszcza, gdy mówi ci o tym obca osoba, tonem dość neutralnym, nie podbudowując emocji. Zanim informacje dotrą z mózgu do serca, może minąć parę chwil.

Agata poczuła i usłyszała, jak burczy jej w brzuchu. Kawa kawą, ale jeść też trzeba.

– Kermit, nie jesteś głodny?

– Trochę jestem. Chcesz się gdzieś zatrzymać?

– No nie wiem, nie chce mi się wysiadać w taki deszcz.

Wystarczająco już zmokłam...

– To może McDrive?

– No i teraz mówisz z sensem! – ucieszyła się. Nie miała ochoty na tłuste, fastfoodowe jedzenie, ale lepsze to niż najpierw zmoknąć, a potem czekać na realizację zamówienia tak długo, aż i tak umrze z głodu, albo zdąży zapomnieć, że chciało jej się jeść. Poza tym nie mieli wiele czasu. Minęła już

piąta, a mieli jeszcze jedną osobę do odwiedzenia – numizmatyka o poetyckim nazwisku.

Deszcz nieco zelżał, więc były szanse, że na drogach nie potworzyły się jeszcze popołudniowe korki. Nadrabiając trochę drogi, podjechali do McDonalda na rogu Łopuszańskiej i Alei Krakowskiej. Zamówili dwie duże porcje frytek i dwa cheeseburgery. Na szczęście było jeszcze kilka wolnych miejsc na parkingu. Zatrzymali się tam i zabrali za jedzenie.

Gdy kończyli, Agata stwierdziła, że nie ma sensu dłużej odwlekać tej rozmowy.

– Kermit?

– No?

– Myślałeś o tym, żeby skontaktować się z Grzegorzem? Może chciałby wiedzieć, że jego przyjaciółka z dzieciństwa nie żyje.

Kermit, nie odrywając wzroku od spływających po przedniej szybie kropli deszczu, w milczeniu przeżuwał duży kęs kanapki. Milczał tak długo, że Agacie zrobiło się głupio. Nie chciała stawiać go w niezręcznej sytuacji, zadawać pytań, na które on nie chciał odpowiadać. Ale nie chciała też, by między nimi wyrósł mur nieprzegadanych spraw. Takie rzeczy lubią się nawarstwiać, a ich nagromadzenie nigdy nie prowadzi do niczego dobrego. Jeśli ten związek ma trwać, to musi być budowany na bazie szczerości.

– Kermit – ponagliła go. – Jak nie chcesz o tym mówić, to chociaż tyle mi powiedz. Nie milcz w ten sposób.

Przełknął kęs, zwinął papierek po cheeseburgerze w kulkę i wrzucił ją do szarej torby, w której dostali zamówienie.

– Nie, nie o to chodzi – powiedział, biorąc ją za rękę. – Możemy o tym gadać, jeśli chcesz, tylko nie wiem, co mam ci powiedzieć. Pewnie, że o tym myślałem, ale nic konkretnego nie wymyśliłem.

– A z rodzicami o tym rozmawiałeś?

– Nie, też nie, ale wiem, że ten temat prędzej czy później wypłynie. I zapewne stanie na tym, że ktoś będzie musiał do niego zadzwonić. Mam nadzieję, że na mnie tego nie zrzucą.

– A numer telefonu macie?

– Ja nie mam, ale mama pewnie ma. A jak nie, to wystarczy, że poprosi. Ja już znajdę sposób, by się z nim skontaktować.

– I myślisz, że przyjedzie?

– Jejku, Agata, a skąd ja mam to wiedzieć? Nie widziałem gościa od ponad dwudziestu lat, a ty mnie pytasz o takie rzeczy! Agatę zaskoczył jego wybuch.

– OK, sorki... – mruknęła.

Kermit przetarł twarz dłońmi.

– Nie, to ja przepraszam. Nie powinienem tak reagować. Tylko tobie wydaje się, że rodzeństwo to taka super fajna sprawa, bo z siostrą masz świetny kontakt. I dobrze, naprawdę cieszę się, że masz takie wsparcie, bo to nie do przecenienia. Ale zrozum, że nie zawsze tak jest. Dla mnie Grzesiek to zupełnie obca osoba. Nie wiem, po co mi taki brat. Gdyby go nie było, to nic bym nie stracił. Nic, absolutnie nic. Rodzice nie mieliby z nim kłopotu, mama by się nie martwiła. O! Więc nawet byłby zysk! Wiem, że to niezbyt miłe, co mówię, ale jeśli stawiamy na szczerość, to taka właśnie jest prawda. Przynajmniej ja to tak

widzę. I to, że przez tyle lat nie było go w moim życiu, zupełnie mi nie przeszkadzało. Serio, nie miałem z tym problemu. A teraz być może się pojawi, więc jasne, że cały czas o tym myślę. Jaki będzie? Jak mam się wobec niego zachować? Traktować go jak brata czy jak obcą osobę, którą przecież jest i którą stał się na własne życzenie? Jak mama zareaguje na jego widok? O nią boję się najbardziej. Boję się, że uwierzy, że znów będzie miała drugiego syna, a potem on po raz kolejny zniknie i mama będzie musiała na nowo się z tym pogodzić. Boję się, że do jej spojrzenia znów powróci ten ból, który tak dobrze pamiętam i który nie tak dawno dopiero z niego zniknął. Więc gdyby to ode mnie zależało, to bym do niego nie dzwonił. Ale jeśli rodzice będą chcieli go poinformować, to nie będę się sprzeciwiał. Pomogę, jak będę umiał. I wiesz co?

– Co?

– Dobrze, że mnie o to spytałaś.

– Tak? Czemu?

– Bo żeby ci odpowiedzieć, musiałem sam sobie to poukładać w głowie.

– Czyli jednak, jak mawiał klasyk, warto rozmawiać? – Złożyła dłonie w piramidkę i spróbowała przybrać pełną głębokiej zadumy minę Jana Pospieszalskiego.

– Oj tam, oj tam, nie generalizujmy tak od razu. – Trącił ją łokciem i parsknął śmiechem. – To co, jedziemy do kolesia od monet?

– Jedźmy!

Po wyjściu Agaty i Kermita Katarzyna wstawiła brudne kubki do zlewu i usiadła przy stole. Zerknęła na wiszący na ścianie zegar. Jeszcze pięć minut grania. Musi tego pilnować. Doświadczenie nauczyło ją, że podstawą wychowania dzieci jest konsekwencja. Jeśli popuści i pozwoli pograć dłużej, na pewno później to wykorzystają. Ale teraz ma jeszcze chwilę dla siebie.

Do kuchni zajrzała Funia. Stała w drzwiach i się trzęsła. Katarzyna pokręciła głową. Zawsze chciała mieć psa i mąż, starając się spełnić jej marzenia, trzy lata temu przyniósł do domu Funię. Mają małe mieszkanie, tłumaczył, więc na dużego psa nie mogą sobie pozwolić. Tylko by się męczył. Ale ratlerek to przecież też pies. Katarzyna z uśmiechem podziękowała, ale już wtedy czuła, że słowo „pies” to w tym wypadku spore nadużycie. Przewidywała, że ten zwierzak będzie głównie utrapieniem. I nie pomyliła się. Nigdy go nie polubiła. Nie potrafiła go szanować, ale nauczyła się go tolerować. Klepnęła się w kolana i zachęcająco szepnęła: – No chodź.

Psiak podbiegł na drżących nóżkach i wskoczył jej na kolana. Przeciągnęła ręką po jego sierści.

– No i co tak drzysz? Pies jesteś, czy galareta?

Funia spojrzała na nią wybałuszonymi oczami, z których

trudno było cokolwiek wyczytać. Katarzyna westchnęła, postawiła psa na podłodze i wstała do lodówki. Wyciągnęła plasterki szynki i wrzuciła psu do miski. Niech tym się zajmie, zamiast trząść się przy niej. Sama była wystarczająco roztrzęsiona.

Jej dłoń znów powędrowała do wiszących na szyi filcowych koralików, które sama zrobiła. W pudełku na parapecie leżał zestaw: wełna czesankowa w kilku kolorach i kilkanaście ukreconych kulek. Ukreconych dla Lidki. Powoli zbliżały się jej urodziny i z okazji tego, że Lidka po tylu latach wróciła do kraju, Katarzyna chciała podarować jej coś wyjątkowego, coś wykonanego własnoręcznie. Poczowała napływające do oczu łzy.

Jak to możliwe, że Lidka nie żyje? Kto mógł chcieć jej śmierci? Zawsze wydawała się taka nieszkodliwa, taka wycofana. Właśnie – wycofana. Może powierzchowność ich kontaktów można było wytłumaczyć inaczej niż tym, że tak niewiele je łączyło? Może Lidka wcale nie była z natury samotniczką, której najlepiej jest we własnym towarzystwie? Przecież to ona zwykle dzwoniła do Katarzyny, to jej bardziej zależało na podtrzymaniu tego kontaktu. Pytanie: czemu? Może Katarzyna była dla niej bliższa, niż jej się wydawało? Może Lidka coś ukrywała, coś, co w rezultacie doprowadziło do jej śmierci, i ta niewypowiedziana tajemnica sprawiała, że ich kontakty wydawały się tak powierzchowne? Przez lata znajomości Katarzyna przyzwyczała się już do tego, że rozmawiając z Lidką, raczej ślizgały się po powierzchni poruszanych tematów, niż rzeczywiście je zgłębiały. Może działało się tak dlatego, że pod tą powierzchnią coś się

kryło, coś, co zdaniem Lidki nie powinno ujrzeć światła dziennego? A Katarzyna niedostatecznie mocno starała się tę skorupę przebić.

Szczerze mówiąc, wcale się nie starała. Lidka nie była jej najbliższą przyjaciółką i prawdą było to, co powiedziała Agacie i Kermitowi – kontaktowała się z nią głównie z poczucia obowiązku, kierowana zwykłą regułą wzajemności. Jeśli okaże się, że Lidka skrywała jakąś tajemnicę, jak to będzie świadczyło o Katarzynie, że nie zrobiła absolutnie nic, by spróbować ją z niej wydobyć? Prawda, że dorośli sami za siebie odpowiadają i jeśli chcą coś zachować dla siebie, to mają do tego prawo. Ale przyjaciele są po to, by czasem nacisnąć, zrobić wszystko, by dowiedzieć się, co się kryje za fasadą milczenia. Może pośrednio to jej zaniechanie doprowadziło do tej tragedii. Ale może zbyt wiele sobie wyobraża. Zawsze miała skłonność do szukania winy w sobie, często niesłusznie. Nie była aż tak ważna, by przyczyniać się do wszelkich nieszczęść na tej planecie. Spojrzała na zegarek.

– Chłopaki, kończcie już granie! – krzyknęła.

Wieloletnia konsekwencja popłaciła po raz kolejny. Synowie nawet nie próbowali dyskutować. Dźwięki strzelanki ucichły.

Po chwili do kuchni wszedł młodszy syn, niosąc pusty karton po soku. Od razu zauważył, że mama zachowuje się inaczej niż zwykle. Zazwyczaj pełna energii, ciągle przy czymś dłubiąca, teraz siedziała nieruchomo, zapatrzona w szalejący za oknem deszcz. Gdy wszedł, spojrzała na niego i uśmiechnęła się smutno. Wtedy ujrzał łzy spływające po jej policzkach i

zaniepokoił się jeszcze bardziej.

– Mamo, co się stało?

– Nic, Franek – zaprzeczyła odruchowo. Drugą żelazną zasadą wychowania, jaką się kierowała, było nieobarczanie synów swoimi problemami. Nie było jednak sensu zaprzeczać oczywistościom, więc zaraz się poprawiła. – Choć w sumie to coś. Pamiętasz ciocię Lidkę?

– Jasna sprawa! Przecież co roku przesyłała mi prezent na urodziny! No i była u nas w zeszłym tygodniu. Co z nią?

– Nie żyje. Potrafił ją samochód. Ci państwo, co tu byli, właśnie mi o tym powiedzieli.

– Co ty mówisz?!

Pusty karton rzucił na blat, podszedł do matki i ją przytulił. Katarzyna z wdzięcznością wtuliła twarz w chude ramię syna.

– Kurde, mama, nie wiem, co mam powiedzieć – odezwał się, gdy już się puścili.

– Nie mów kurde – poprawiła go automatycznie.

– Alek! – Franek zawołał starszego brata.

– Co jest?

– Chodź!

Gdy Alek przyszedł, Katarzyna jemu również opowiedziała, co się stało.

– O cholera – skwitował. – Mamo, aż trudno w to uwierzyć. Przecież niedawno tu była.

Wtedy Katarzynie coś się przypomniało.

– No właśnie. Jak ciocia przyjechała w zeszłą sobotę, ja i Franek trochę się spóźniliśmy, pamiętasz?

– No i co?

– No i ty byłeś z ciocią Lidką przez jakieś dwadzieścia minut, zgadza się?

– No tak, pogadaliśmy trochę.

– Alek, zastanów się, czy coś ci się wydało dziwne? Może coś powiedziała?

Katarzynie głupio było tak wypytywać syna, ale być może on wykazał się nieco większą wrażliwością i coś zauważył, cokolwiek, co mogłoby świadczyć o tym, że Lidkę coś gnębiło.

Zresztą Lidka zawsze lubiła dzieci, przynajmniej jej synów. Pamiętała o każdym urodzinach, przy każdej wizycie przywoziła prezenty, zawsze starała się zamienić z nimi przynajmniej kilka słów, choć wiadomo, że nastoletni chłopcy bywają trudnymi rozmówcami. A jednak ona miała cierpliwość, by drobnymi kroczkami i żarcikami nawiązać z nimi dialog. Aż dziwne, że sama nie miała dzieci. Choć może... W sumie to co ona o Lidce tak naprawdę wiedziała? Lidka wyjechała tak nagle, miała wtedy nie więcej niż osiemnaście lat. Przecież mogła być w ciąży! Katarzyna nigdy wcześniej o tym nie myślała, ale to chyba całkiem prawdopodobne. Dziecko miałoby teraz – szybko przeliczyła w myślach – ponad dwadzieścia lat. Byłoby dorosłe. O ile w ogóle się urodziło, przecież mogła ciążę usunąć. Jeśli w ogóle w niej była.

– Nie, mamó – odparł Alek po namyśle. – Tak ogólnie gadaliśmy, o filmach i takich tam pierdołach. Zrobić ci herbaty?

– Nie, synek, dziękuję. – Uśmiechnęła się blado i pogładziła go po dłoni. Wyjrzała za okno. Deszcz prawie już nie padał. – Ale

śmieci możesz wynieść.

Wskazała szafkę, w której stał przepelniony kosz. Chciała jeszcze na chwilę zostać sama. Syn trafnie odgadł jej myśli, bo bez szemrania zabrał torbę z odpadkami, zgarniając po drodze zostawiony przez brata na blacie karton po soku.

– Idę z tobą – powiedział Franek. – Skoczę do kiosku po gumy.

– W taką pogodę? Tam się idzie z dziesięć minut! Zmokniesz! – Katarzyna nie kryła zdziwienia.

– Lubię powietrze po deszczu. A po tym graniu przyda mi się krótki spacer.

Na dźwięk słowa „spacer” Funia porzuciła resztki szynki w misce i ślizgając się na kuchennych kaflach podłogowych, popędziła znów pod fotel. Co to za pies, który nie lubi spacerów? Katarzyna pokręciła głową z dezaprobatą.

– No dobra – zgodziła się.

Synowie naciągnęli kaptury kurtek na głowy i już ich nie było.

Katarzyna sięgnęła po leżącą na stole kartkę z numerami telefonów do Agaty i Kermita. Może powinna im powiedzieć o swoich podejrzeniach? Choć przecież to tylko podejrzenia, w zasadzie luźne myśli, które przyszły jej do głowy pod wpływem szoku. Pewnie lepiej będzie się z tym przespać, zanim zacznie siać niepotrzebny zamęt. Przegada to jeszcze z mężem, on zawsze tak trzeźwo na wszystko patrzy. Tylko że on wróci do domu dopiero jutro późnym popołudniem. Że też akurat dzisiaj musiał jechać na Radę Budowy autostrady! Ale może to i lepiej. Do tego czasu sama na spokojnie zastanowi się, czy to ma sens i czy warto zawracać mu tym głowę. Jemu lub komukolwiek

innemu.

– Jeszcze trochę, a poczuję się jak świadek Jehowy – powiedziała Agata, stojąc przed domofonem Wiesława Kochanowskiego.

– Nie przesadzaj, nie jest tak źle. Nas przynajmniej wpuszczają.

– No to dzwoń, jak jesteś taki mądry.

– Rozkaz, księżniczko.

Puścił do niej oko i nacisnął guzik domofonu. Po chwili odezwał się cichy, niewyraźny głos: – Halo?

– Dzień dobry, tu Agata Brok i Piotr Janach. Jesteśmy znajomymi Lidii Kani i chcielibyśmy chwilę z panem porozmawiać – wyjaśnił Kermit.

– A można wiedzieć, w jakiej sprawie?

– To wolelibyśmy powiedzieć już osobiście, jeśli pan pozwoli.

Chwila milczenia.

– Proszę.

Bzyk otwieranych drzwi.

Gdy pojawili się na schodach, mieszkający na półpiętrze mężczyzna stał już w uchylonych drzwiach. Rzadkie, nieco za długie, przylizane włosy, bury, bezkształtny sweterek i skulone ramiona idealnie wpisywały go w stereotyp introwertycznego

zbieracza monet.

Podobnie jak Katarzyna, najpierw wpuścił ich tylko na korytarz, a dopiero gdy wyjaśnili mu dokładnie, co ich sprowadza, zaprosił ich do salonu.

Salon, podobnie jak ta część mieszkania, na którą Agata zdążyła rzucić okiem, od wieków nie widział remontu. Ciekawe, czy to wynik braku funduszy, czy może zaniedbania? Raczej to pierwsze, bo choć ściany były wyraźnie poszarzałe, meble stanowiły pomnik epoki PRL, a wzory na dywanie mogłyby odszyfrować chyba tylko konserwator zabytków, to jednak pewną dbałość o detale było tutaj widać. Na półkach pod wazonami ze sztucznymi (a jakże!) kwiatami podłożono kiedyś białe, teraz widocznie wpadające w szarości, koronkowe serwetki. Na ścianach wisiały dwa obrazy w ciemnej tonacji z jakimiś widoczkami – zapewne odziedziczone po jakichś krewnych. Trudno uwierzyć, że komuś mogłyby spodobać się na tyle, by wybrał je sam z siebie.

– Sam pan mieszka? – rzuciła Agata niewinnym tonem.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Mama niedawno zmarła.

– Przykro mi.

Wiesław machnął ręką.

– Nie ma o czym mówić. Powiedziałem, że niedawno, ale tak naprawdę to już ponad rok, jak nie żyje. Długo wydawało mi się, że mama wciąż tu jest. Pewnie dlatego mam wrażenie, że nie minęło tak wiele czasu.

Łypnął spod opadającej na oczy grzywki. Agata poczuła się

dziwnie nieswojo.

– Siadajcie państwo na kanapie. Herbatę zrobię.

Bezszelestnie ulotnił się za drzwiami.

Na wskazanej przez niego kanapie widoczne były dwa wysiedziane dołki, w których Agata i Kermit grzecznie spoczęli. Z zainteresowaniem rozglądali się po pokoju – gdy gospodarz wróci, będzie to nietaktem, ale póki co, hulaj detektywistyczna dusza!

Naprzeciw nich, pod oknem, stała szafka z telewizorem. Model był tak przedpotopowy, że Agata nie zdziwiłaby się, gdyby obraz okazał się czarno-biały. Na ścianie, której nie widziała wcześniej, wisiało monidło przedstawiające parę młodą, zapewne rodziców Wiesława. Z sufitu sterczał hak, na którym wisiała plastikowa doniczka z liściastą rośliną o długich, zwisających pędach. Jedynym podmuchem nowych czasów był stojący na stoliku kawowym włączony laptop. Niestety, ekran był przymknięty, tak że nie udało im się dojrzeć nic poza błękitną poświatą na klawiaturze.

Oboje podskoczyli na dźwięk świstu czajnika. Wymienili zdziwione spojrzenia, mówiące: „To ktoś jeszcze używa takich sprzętów?”.

Po chwili do pokoju wszedł Wiesław, niosąc na tacy trzy szklanki z duralexu. Chciał postawić je na stoliku, ale tam leżał laptop. Agata rzuciła się, żeby mu pomóc. Zgarnęła komputer, by zrobić miejsce na tacę. Wiesław szybko postawił napoje i odebrał laptopa z rąk Agaty. Gdy się do niej nachylał, zwróciła uwagę na jego rzęsy – ciemne i długie, dziwnie kobiece.

Komputer odłożył na półkę pod telewizorem, po czym podszedł do barku w regale i wyciągnął z niego cukiernicę i trzy posrebrzane łyżeczki. Położył je na stoliku i usiadł w fotelu. Nasypał sobie łyżeczkę cukru i zaczął mieszać. Łyżeczka ani razu nie uderzyła o ściankę szklanki. Wiesław nie odrywał wzroku od wirujących, coraz mniejszych kryształków. Agatę zdziwiło to, jak blade miał dłonie. Cały był blady, ale z jakiegoś powodu na dłoniach i nadgarstkach było to szczególnie uderzające.

Odłożył łyżeczkę i nieco się wyprostował – tylko odrobinę. Wciąż był skulony, jakby się bał, że zaraz spadnie na niego jakiś cios. Agata podniosła wzrok na wiszący nad Wiesławem wizerunek domniemanych rodziców. Mężczyzna na malowidle był antytezą Wiesława – potężny, z wyraźnie zarysowaną szczęką i okazałymi wąsami. „Biłeś syna, panie Wąsaczu?” – pomyślała. Przedłużająca się cisza z każdą chwilą stawała się coraz bardziej niekomfortowa. Postanowiła ją przerwać.

– Dobrze pan znał Lidkę?

Wiesław wzruszył ramionami.

– Tak, dość dobrze. Choć wie pani, znaliśmy się głównie przez Internet. Połączyło nas nasze hobby.

– Monety? – Kermit elokwentnie wtrącił się do rozmowy.

– Tak, numizmatyka – potwierdził Wiesław. – Od tego w każdym razie się zaczęło. Poznaliśmy się na forum numizmatycznym i z czasem zaczęliśmy rozmawiać też na inne tematy.

– Jakie tematy? – spytał Kermit.

Wiesław znów rzucił to swoje podejrzliwe spojrzenie spod grzywki.

– No wie pan, takie tam różne... o życiu i tak dalej – bąknął.

Utkwił wzrok w splecionych dłoniach i na chwilę zamilkł. Agata i Kermit postanowili go nie pospieszać. Wiadomo, że niezręczna cisza często skuteczniej wyciąga informacje niż najtrafniejsze pytanie. Instynkt ich nie zawiódł, bo mężczyzna po kilku minutach podjął: – Wiele nas łączyło. Oboje byliśmy samotni. A ona była taka wrażliwa, taka delikatna... Nigdy nie szydziła, nigdy nie wyśmiewała. Była pełna zrozumienia. – Wiesław starł palcami łzy, które zawisły na jego długich rzęsach. – I choć mieszkała tak daleko, to była najbliższą mi osobą. Zwłaszcza po śmierci mamy bardzo mi pomogła.

– Czyli kiedy to było dokładnie? – nieśmiało spytała Agata.

– Prawie półtora roku temu. Musicie państwo wiedzieć, że nie jestem zbyt towarzyską osobą. Nie mam wielu przyjaciół, nigdy nie miałem. Być może po prostu trudno mnie lubić. Naprawdę nie wiem, z czego to wynika, bo przecież krzywdy nikomu nie robię. Ale nie walczę już z tym. Nie walczę o cudzą uwagę. Mam swoją pracę...

– A można wiedzieć, czym się pan zajmuje? – wtrącił Kermit.

– Pracuję w szkole, w gimnazjum, tu niedaleko. Na piechotę mam.

– Jest pan nauczycielem?

– O nie, nie... – W jego oczach dostrzegli lekkie wahanie. – Jestem woźnym, taką trochę złotą rączką od wszystkiego. Wiem, że pewnie myślicie państwo, że to mało prestiżowe

zajęcie, ale mi bardzo odpowiada. Stała praca, za pieniądze idzie przeżyć, dzieciaki są dobre, nie dokuczają mi specjalnie. Czasem tylko jakiś wygłup, ale wiadomo, jak to dzieci... No więc mam tę pracę, mam swoje zainteresowania i naprawdę wiele więcej mi nie potrzeba. Ale kiedy zmarła mama, poczułem straszliwą pustkę. Brakowało mi jej, ale brakowało mi też kogoś, do kogo mógłbym otworzyć usta, powiedzieć cokolwiek, o pogodzie, o tym, co dzieje się na świecie, o tym, jak się czuję. Takie zwykłe sprawy. Dalsza rodzina szybko wróciła do swoich spraw, a ja zostałem sam. W pracy nie mam towarzystwa do rozmów, z sąsiadami blisko się nie trzymam. I wtedy chyba, gnany tą wewnętrzną potrzebą porozmawiania z kimkolwiek, zagadnąłem Lidię, którą znałem z forum, na temat niezwiązany z monetami.

– Pamięta pan, o co spytał?

Na ustach Wiesława, wyjątkowo pełnych i czerwonych jak na mężczyznę, pojawił się delikatny uśmiech.

– Oczywiście, że pamiętam. Nie należę do osób, które mają dar spontanicznego nawiązywania kontaktu. Przez wiele dni zastanawiałem się, co by tu napisać, aby nie wzięła mnie za natręta albo za głupka. I w końcu spytałem, jak się mieszka w Anglii. Co jest lepsze, a co gorsze niż w Polsce.

– I co odpisała? – zaciekała się Agata.

– Odpisała, że mieszka tam od wielu lat, a do Polski przyjeżdża rzadko i na krótko, więc trudno jej zrobić zasadne porównanie. Ale od słowa do słowa zaczęliśmy pisać do siebie coraz częściej. Być może jej też brakowało kogoś, z kim mogłaby

normalnie porozmawiać. Nie jest łatwo znaleźć kogoś takiego...

– Mówi pan, że wasza znajomość zacieśniła się jakieś półtora roku temu. Przez ten czas Lidka na pewno kilkakrotnie odwiedziła Polskę, zgadza się? – spytała Agata.

– Tak, jakieś cztery, pięć razy.

– Spotykaliście się wtedy?

Znów to podejrzliwe spojrzenie.

– A czemu pani mnie o to pyta? Jesteście państwo z policji? Myślałem, że przedstawiliście się jako znajomi Lidii.

– Bo nimi jesteśmy. Nie mamy z policją nic wspólnego – zapewniła Agata. – Nie musi pan odpowiadać na nasze pytania, jeśli pan nie chce. My po prostu... po prostu chcemy dowiedzieć się o niej jak najwięcej, jaka była tak naprawdę, a pan, jako jej przyjaciel, na pewno może nam w tym pomóc. Był pan dla niej kimś ważnym.

– Mówiła o mnie? – W jego oczach zamigotał niewidoczny wcześniej blask.

Agata w odpowiedzi uśmiechnęła się delikatnie i pokiwała głową w bardzo niejednoznaczny sposób. Z tego ruchu można było wyczytać dosłownie wszystko. Wiesław wyczytał to, co chciał, bo też się uśmiechnął i bez dalszych oporów odpowiedział na zadane wcześniej pytanie.

– Nie, podczas jej poprzednich wizyt się nie widywaliśmy. Chciała jak najwięcej czasu spędzić z matką, miała też przyjaciółkę, Katarzynę, i czuła się zobowiązana odwiedzić ją przy okazji każdej wizyty. Nie przyjeżdżała zresztą na długo. Ja też nie naciskałem, bo wie pani, ja dosyć nieśmiały jestem...

Więc tak twarzą w twarz spotkaliśmy się dopiero teraz, gdy na stałe wróciła do Polski. Widzieliśmy się trzy razy. – Do jego oczu znów napłynęły łzy. – Tylko trzy razy...

Wiesław ukrył twarz w dłoniach. Płakał.

Agata sięgnęła po herbatę, ale po pierwszym łyku odstawiła ją na tacę. Była niedobra: słaba i zimna, miała posmak papieru i siana. Podchwyciła wzrok Kermita i gestem wskazała drzwi. On kiwnął głową i odezwał się: – Dziękujemy, że poświęcił nam pan czas. Późno się zrobiło. Będziemy się już zbierać.

– Gdy będzie coś wiadomo na temat pogrzebu, na pewno pana powiadomimy – dodała Agata i wyciągnęła z torebki zawczasu przygotowaną karteczkę z numerem telefonu. – Gdyby coś się panu przypomniało albo chciałby pan porozmawiać, proszę dzwonić na ten numer. Odbiorę na pewno.

Wiesław oderwał ręce od twarzy i wziął karteczkę, mocząc ją na rogu wilgotnymi od łez palcami.

– A jej klaser z monetami... – rzekł, nie odrywając wzroku od karteczki.

– Co z nim? – spytała Agata.

– Może mógłbym go jakoś... no, nie wiem, odkupić? Oczywiście, jeśli matka Lidii nie będzie miała nic przeciwko temu. Szkoda, żeby to się marnowało, a ja miałbym piękną pamiątkę.

Agatę zdziwiło, że Wiesław w takiej chwili myśli o kolekcji monet.

– Nie wiem, nie do nas należy decyzja w tej sprawie – odparła oschle.

– Tak, tak, oczywiście. Ale gdyby mogli państwo przekazać moją sugestię matce Lidii, byłbym zobowiązany.

– Dobrze, przy okazji przekazemy.

– Dziękuję. Odprowadzę państwa.

Gdy wyszli, Agata nie mogła się powstrzymać przed wyjęciem z torebki chusteczki i wytarciem dłoni, którą przy pożegnaniu ścisnął mężczyzna.

– Daj i mnie jedną – poprosił Kermit i poszedł w jej ślady. – I co myślisz? – spytał, gdy wsiadali do zaparkowanego przy osiedlowych garażach samochodu.

– Dziwny.

– Dziwny, ale bycie dziwnym to jeszcze nie zbrodnia.

– Prawda, ale wiesz, co sobie myślę?

– Co?

– Że może on się w Lidce zakochał. Pomyśl tylko: samotny mężczyzna, któremu niczego sobie kobieta okazuje zainteresowanie i sympatię.

– Możliwe. Przez całą rozmowę nie powiedział na jej temat ani jednego złego słowa.

– Właśnie. Więc może on się w niej zakochał, zrobił sobie nadzieje, może nawet pomyślał, że wraca do Polski dla niego, a matka to tylko wymówka. No więc przyjechała, on, pełen nadziei, do niej wystartował, a ona dała mu kosza. Wiem, że niby każda potwora znajdzie swego amatora, ale przyznaj, trudno byłoby się w nim zakochać.

– Oj, nie tacy już znajdowali sobie parę! Ale masz rację, w tym wypadku nie byłoby to łatwe. Myślisz, że powinniśmy

powiedzieć o tym Zawadzie?

– Nie wiem. Trochę głupio rzucać oskarżenia na człowieka, póki nie ma się konkretnych dowodów jego winy. A my co mamy? Tylko nasze gdybanie.

– Racja – zgodził się Kermit. – Nawet jeśli to on, to nie wyglądał na kogoś, kto ma zamiar uciekać. Dajmy sobie czas, zanim nagadamy coś, czego później będziemy żałować. Ale to, jak zaproponował, że odkupi jej monety, to też było trochę dziwne. Chyba nie powiemy o tym na razie cioci Zosi, prawda?

– No pewnie, że nie! Jeszcze nie upadłam na głowę! Powiedziałam mu tak na odczepnego. Nie wiem, co on sobie myślał, wyskakując z czymś takim.

– Racja. A swoją drogą trzeba się będzie przyjrzeć tym jej monetom. Przy okazji poproszę ciocię, żeby pożyczyła mi ten klaser na trochę i sprawdzę, czy nie ma tam jakichś wyjątkowo cennych okazów. Wprawdzie koleś wygląda jak ofiara losu, ale może będzie chciał ją orznać.

– Słusznie.

– To co robimy? Jedziesz ze mną do cioci Tereski czy odwiedzić cię do domu?

– No chyba ustaliliśmy, że jadę.

– Tak tylko się upewniam, czy nie zmieniłaś zdania. – Kermit nachylił się i ją pocałował. – Cieszę się, że będziesz przy mnie.

– Ja też – odparła Agata, w myślach dodając: „Szkoda, że nie będziemy sami”.

18 lipca 1992 roku, godzina 14:25

Anka westchnęła. Leżała na łóżku, w rękach trzymając magnetofon. Piosenka, której w kółko słuchała, znów się skończyła. Dzikość serca T. Love – ostatnia piosenka na stronie A, katowana tak długo, że Anka chwilami bała się, że taśma w końcu pęknie albo się przetrze. A, co tam! Nastawiła przewijanie. Przecież kasety są od tego, żeby ich słuchać. Po chwili znów ją włączyła.

Prawa stopa podrygiwała w rytm muzyki. Gdy Muniek zaczął śpiewać, po jej policzkach potoczyły się łzy. Ach, jak strasznie chciało jej się palić. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie zapalić teraz, tutaj, w pokoju. Rodzice na pewno by wyczuli, ale co z tego? I tak w końcu się dowiedzą, że pali, a to przecież jej pokój. Ale nie, w tej chwili miała wystarczająco dużo kłopotów. Nie potrzebowała kolejnych dramatów. Tym bardziej, że chciała, by dziś pożyczyli jej samochód. Na Boga, po co robią z tego takie ceregiele? Przecież nigdzie się nie wybierają. To co, grat ma stać w garażu i rdzewieć? Przecież ma prawo jazdy, no to o co chodzi?

Myślała o Lidce i czuła zazdrość. Ta to ma dobrze. I jeszcze

teraz z tym angielskim. Lidce zawsze wszystko przychodziło łatwo. Wprawdzie nie była jakimś orłem w szkole, ale akurat do angielskiego miała jakiś taki talent czy coś, a na tym przecież można zbudować całą przyszłość. Bo komu w życiu potrzebne trzecie prawo Newtona? No komu? Albo budowa pantofelka? A angielski zawsze się przyda. Już jej się przydaje. Tylko patrzeć, jak znajdzie sobie jakichś uczniów. Może nie teraz, nie w wakacje, ale od września pewnie jej się uda. I zacznie zarabiać kasę, podczas gdy to Anka tak naprawdę jej potrzebowała. Oj tak, pieniądze były jej sto razy bardziej potrzebne niż Lidce. Na co ona będzie to wydawać? Na lakiery? Na bluzki? Kasety? Anka prychnęła. Świat jest niesprawiedliwy.

– Anka, obiad na stole! – krzyknęła mama z dołu, korzystając z tego, że piosenka znów się skończyła.

– Nie jestem głodna!

– Zejdź, Ania, przynajmniej z nami posiedzisz! – włączył się ojciec.

Anka przewróciła oczami. Najchętniej by im powiedziała, żeby spadali. Obraziliby się, a ona miałaby spokój. Ale samochód! Chciała przecież pożyczyć samochód. Odstawiła magnetofon na podłogę i wstała.

– Zaraz przyjdę! – odkrzyknęła, żeby już się nie pieklili.

Przetarła rękami twarz i podeszła do stojącego na komodzie lusterka, by sprawdzić, czy widać, że płakała. Niestety, widać to było jak na dłoni. Jej szare oczy miały tę wadę, że przy płaczu szybko robiły się przekrwione i opuchnięte. Na twarzy wystąpiły jej czerwone plamy. Wzięła głęboki wdech i zaczęła

wachlować się dłońmi. Jak trochę się schłodzi, od razu będzie lepiej wyglądała.

– Anka, wystygnie! – popędzała ją mama.

– No już, sekundę!

Znow zerknęła do lusterka. Trochę lepiej, ale musieliby być ślepi, żeby niczego nie zauważyć. No, ale trudno, kolejne kilka chwil nie poprawi sytuacji, a im dłużej będzie zwlekać, tym uważniej będą się jej przyglądać, gdy w końcu się pojawi.

Zeszła na dół.

– Siadaj – powiedziała mama. – Dziś taki upał, że zjemy tylko gotowane ziemniaki z kefirem. Jak chcesz, to w lodówce jest kotlet z wczoraj, możesz sobie odgrzać.

– Nie, nie chcę. – Anka usiadła przy stole. Mama nachyliła się w jej stronę.

– A co takie dziwne oczy masz?

– A, zdrzemnęłam się chwilkę.

– W takim huku? – Matka nie kryła zdziwienia.

Teraz ojciec podniósł wzrok znad talerza i uważnie się jej przyjrzał. Anka od razu wiedziała, że wyczuł kłamstwo. Pewnie słyszał, że z magnetofonu leci wciąż ta sama piosenka. To nie byłoby możliwe, gdyby spała. Zawsze zwracał uwagę na detale. Matka taka nie była. Na detale to zwracała uwagę, ale tylko we własnym wyglądzie. Cudze szczegóły już jej tak nie zajmowały.

– Najwidoczniej – mruknęła Anka. Nie zamierzała się wycofywać z raz rzuconego kłamstwa.

Rozgarnęła widelcem parujące ziemniaki. Nienawidziła zapachu gotowanych warzyw. Skrzywiła się i wzięła do ręki

szklankę z kefirem. Zimny i kwaskowaty naprawdę jej smakował. Sięgnęła po leżący na talerzyku na środku stołu posiekany koperek i posypała nim ziemniaki.

– Tato, to jak z tym samochodem? Będę go mogła dzisiaj wziąć?

Ojciec przełknął jedzenie, które miał ustach.

– No nie wiem, Aniu, chyba możesz. Ja tam nie mam nic przeciwko, jeśli obiecasz, że będziesz zachowywać się odpowiedzialnie.

– Będę.

– Żadnego alkoholu, nic z tych rzeczy.

– No pewnie, tato! – Spojrzała na niego z oburzeniem.

– Ale mama jeszcze musi się zgodzić. Teresko, co ty na to?

Matka zmierzyła ją surowym spojrzeniem.

– Dobrze – odparła po chwili. – Ale o pierwszej masz być z powrotem, zrozumiano?

– Może chociaż o drugiej?

– O pierwszej! – Ton matki jasno wskazywał, że nie ma tu pola do negocjacji. – Po raz pierwszy jedziesz w nocy poza miasto. Chyba rozumiesz, że będziemy się z ojcem martwić i że nie zmrużymy oka do czasu, gdy wrócisz.

– To nie idziecie do rodziców Lidki? Myślałam, że was zaprosili!

– Idziemy. I jeśli do pierwszej nie wrócimy, to weźmiesz ten telefon – wskazała wiszącą na ścianie czerwoną słuchawkę – i do nas zadzwonisz. Ale nie sądzę, by nam się tak to przeciągnęło.

– Skoro sami będziecie na imprezie, to co dla was za różnica, czy będę o pierwszej, czy o drugiej? – Anka nie mogła powstrzymać wzburzenia.

– Ania, chcesz ten samochód czy nie? – ostro spytała matka.

– Chcę. Dobrze, będę o pierwszej.

– No. – Matka zawsze musiała mieć ostatnie słowo.

Anka zmusiła się, by zjeść choć połowę porcji ziemniaków, jaką miała na talerzu. Kefir wypita do dna.

– Mogę już nie jeść? – spytała.

– Możesz. Gorąco dziś, sama nie mam apetytu. – Matka odsunęła od siebie talerz z resztką dania.

– To w takim razie dziękuję.

Anka wstała i zaniosała talerz do kuchni, po czym popędziła po schodach na górę, do swojego pokoju. Przewinęła kasetę tak, by znów nastawić na Dzikość serca. Włączyła piosenkę i sięgnęła pod materac.

Wyciągnęła pamiętnik. Nikt nie wiedział o tym, że go pisze, nawet Lidka. Wstydziłaby się do tego przyznać. Wszyscy myśleli, że skończyła z pamiętnikami już parę lat temu, ale nie potrafiła z tego zrezygnować.

Był okropnie kiczowaty – zamykany na złotą kłódeczkę, z kartkami w kolorze sepii. Ale jej to nie przeszkadzało. Nie wyobrażała sobie, by pisać w zwykłym zeszycie. Jednak pamiętnik to przecież pamiętnik i powinien odpowiednio wyglądać. W szufladzie na pościel w łóżku miała ich całe stosy – ostatnie sześć lat jej życia spisywane niemal dzień w dzień.

Teraz znów czuła potrzebę, by popisać. Pewnie wspomni o tym, że rodzice pozwolili jej wziąć samochód. Przed nimi zgrywała, że to nic takiego i że czuje się całkowicie pewnie z tym pomysłem, ale tak naprawdę była trochę podniecona perspektywą nocnej jazdy poza miasto. Ale to nie będzie główny temat. Boże, czy w obliczu całej reszty to ma w ogóle jakieś znaczenie?

W domu Teresy i Jacka Polko piątka przyjaciół siedziała przy stole, otwierając drugą butelkę nalewki.

– Też malinowa? – spytała Maria.

Rzadko piła alkohol. Po tym, jak Grzegorz się od nich odsunął, zbyt łatwo przychodziło jej topienie smutków w procentach. Na szczęście w porę spostrzegła, że pije za dużo i z dnia na dzień postanowiła z tym skończyć. Nie mogła stoczyć się na dno, choć tak byłoby może łatwiej. Łatwiej dla niej. A przecież miała jeszcze drugiego syna, miała męża. Nie każdy ma tyle rozumu, tyle silnej woli, by stać go było na ten krok w tył, na powiedzenie sobie, że od dziś koniec z tą drogą na skróty. Ona ją w sobie znalazła, lecz od tamtej pory w każdym pijaku widziała siebie – kogoś, kim mogła się stać. Wiedziała, że wcale tak bardzo się od nich nie różni. To dawało jej siłę, by nie pić. Nie została całkowitą abstynentką. Przy większych okazjach piła, jak wszyscy, i dziś też nie zamierzała sobie odmawiać. Spotkanie z przyjaciółmi po latach było dobrą okazją, by się napić. Nie bez znaczenia był też fakt, że Jacula robił naprawdę wspaniałe nalewki. Zajmował się tym już w czasach, gdy ich przyjaźń była w pełnym rozkwicie. Niejeden wieczór spędzili, uszczuplając zapasy z jego piwniczki, które sumiennie, każdego

roku, uzupełniał. Przez lata, jakie minęły od tamtego czasu, musiał dopracowywać przepisy, bo teraz jego wytwory były jeszcze lepsze. Ta malinówka to była czysta poezja! Maria podsunęła mu pusty kieliszek i zmrużyła oczy, próbując dojrzeć kolor płynu przez ciemnozielone szkło butelki.

– Nie, Marysiu. Tym razem przyniosłem pigwową – odparł Jacula. – Ręczę za smak, sam robiłem.

– Musicie kiedyś do nas przyjechać, w Bieszczady. Tam nazbieracie zdrowych, czystych owoców.

Gdy Jacek skończył nalewać, pięć kieliszków uniosło się w górę i stuknęło nad stołem.

– Za spotkania – powiedział Stanisław.

– Za spotkania po latach – uzupełnił Jacula, po czym wychylili do dna. Uzupełnił kieliszki swoje i Stanisława, kobietom, które wypily po połowie, też dolał, by miały pełno.

– Pyszna – powiedziała Maria, oblizując usta. Nalewka rzeczywiście była wyśmienita. Nic a nic nie ustępowała malinówce.

– Oj, kiedyś to było... – westchnęła Teresa. – Pamiętacie, jak potrafiliśmy imprezować? A przecież nie byliśmy już tacy młodzi, dzieci były praktycznie dorosłe!

„Chyba za dużo wypiałam!” – pomyślała, słysząc, jak wybrzmiewają jej ostatnie słowa. Z lękiem spojrzała na Zofię, która siedziała osowiała w rogu stołu.

Maria pogładziła ją po plecach i podsunęła jej kieliszek:

– Pij, Zosiu. Nikt nie będzie ci miał za złe. Nie dziś.

– Wszystkim nam się należy – poparł żonę Stanisław. –

Wszyscy straciliśmy dzieci.

Odpowiedziała mu głucha cisza. Dostrzegł łzy płynące po twarzy Zofii.

– Wiesz, Staszek, w waszym przypadku to nie do końca prawda – powiedział Jacek. – Wasi synowie żyją. To *my* straciliśmy dzieci. Ja, Tereska i Zosia. Ty i Marysia nie możecie wiedzieć, jak to jest. Możecie sobie to wyobrazić, możecie nam współczuć, ale zrozumieć nas, nie zrozumiecie.

Stanisław w pojedynczym geście położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Wiem, Jacula, niezręcznie to zabrzmiało, ale my z Grzegorzem też od lat nie mamy kontaktu. Nie widzieliśmy się z nim od... ilu to już lat, Marysiu?

– Dwudziestu czterech – bąknęła Maria i sięgnęła po kieliszek. Jednym haustem wypła całą zawartość. – Od dwudziestu czterech lat – powtórzyła, gdy przełknęła alkohol.

Palił w gardle. Zakasłała. Teresa podała jej chusteczkę.

– Nie mogę tego pojąć – powiedział Jacek. – Jak można tak stracić kontakt z własnym dzieckiem? Nie zrozumcie mnie źle, nie twierdzę, że to wasza wina, że zrobiliście coś nie tak, ale po prostu nie pojmuję tego. Myślę, że gdyby Ania żyła, nigdy bym do tego nie dopuścił. Za nic w świecie bym na to nie pozwolił.

Maria spuściła wzrok. Alkohol szumiał jej w głowie. Czuła, że zaraz się rozpłacze. Słowa Jacka były szczerze, ale i bezlitosne. Nie miała do niego pretensji. Na jego miejscu zapewne myślałaby tak samo. Takich sytuacji człowiek nie rozumie,

dopóki sam się w nich nie znajdzie. A nawet i wtedy nie znajduje wytłumaczenia – pozostaje je zaakceptować. Ze zdziwieniem spostrzegła, że ktoś bierze ją za rękę. To była Zofia. Maria z wdzięcznością ścisnęła podsuniętą dłoń. Jak mogła myśleć, że po latach rozłąki ich przyjaźń osłabła? Zosia była taka jak zawsze: ciepła i zawsze gotowa pomóc w potrzebie, wesprzeć. Nawet wtedy, gdy to jej przede wszystkim należało się współczucie.

– Nie wiesz, o czym mówisz, Jacula – rzekł Stanisław. – To nie jest takie proste, bo dziecko w pewnym momencie przestaje być dzieckiem i gdy się od ciebie odwraca, niewielkie masz pole manewru. Choćbyś wyłaził ze skóry, niewiele możesz zrobić. Twoje pytania pozostają bez odpowiedzi, telefony nie są odbierane i w pewnym momencie przestajesz nawet wiedzieć, gdzie ono mieszka. Kiedyś postanowiliśmy odwiedzić Grzeška i rozmówić się z nim. Spytać wprost, czemu nas nie odwiedza, w czym mu zawiniliśmy, jak możemy to naprawić. Wytłumaczyć, że taka izolacja to nie jest rozwiązanie. Za pomocą telefonu nie dało się z nim skontaktować, więc pojechaliśmy do Łodzi. Wydawało nam się, że to jedyny sposób: wziąć go z zaskoczenia i po prostu nie wyjść, dopóki nie wyjawi nam prawdy, choćby nie wiem jak bolesna miała się okazać.

– I co? – spytała Zofia. – Powiedział wam?

– Nie, Zosiu, nie powiedział – podjęła Maria. – Gdy przyjechaliśmy pod adres, który kiedyś nam podał, otworzyła jakaś dziewczyna. Spytała, kim jesteśmy. Powiedzieliśmy, że rodzicami Grzegorza, a ona na to, że on od pół roku tu nie

mieszka. Nie miała jego nowego adresu.

– Może was oszukała? – podsunęła Teresa. – Może tam mieszkał, tylko poprosił ją, by go kryła.

Maria pokręciła głową.

– Ta dziewczyna była bardzo miła. Spytała nas, czy z daleka jechaliśmy. Wyjaśniliśmy, że z Warszawy, bo wtedy jeszcze mieszkaliśmy tutaj. Musieliśmy wyglądać naprawdę żałośnie, jak staliśmy na tym korytarzu bliscy płaczu, bo zaprosiła nas na herbatę i kanapki. To było maleńkie mieszkanko, kawalerka, i widać było, że mieszka tam tylko jedna osoba, tylko ta dziewczyna. Nie było żadnych przedmiotów należących do mężczyzny. Jedna szczoteczka do zębów w łazience. Różowa. Nie mogło być mowy o pomyłce.

– Widzę, że dobrze się rozejrzałaś – uznała Teresa.

– Oczywiście. Mnie też przyszło do głowy, że ona może jedynie kryć Grzegorza, ale już po pięciu minutach spędzonych w tym mieszkaniu wiedziałam, że nie kłamie.

– I od tamtego czasu nie mieliście z nim kontaktu?

– Nie – uciął Stanisław. – Gdy nie odebrał od nas kilku następnym telefonów, przestaliśmy dzwonić. Jeśli kiedyś będzie chciał nas znaleźć, znajdzie. Nie będziemy mu się już narzucać.

Maria mocniej ścisnęła dłoń Zofii. To, co powiedział Staszek, to nie była do końca prawda, choć mąż też nie skłamał. Powiedział tyle, ile wiedział. Bo nie miał pojęcia, że w tajemnicy jeszcze wielokrotnie próbowała kontaktować się z synem. Zachowała to dla siebie, bo miała już dość rozmów na temat

Grzegorza. Te rozmowy nie przynosiły nic poza bólem. Ale nie zamierzała rezygnować z tego, co mogło przynieść konkretne rezultaty, czyli z próby dodzwonienia się do syna.

Raz odebrał. W wigilię pięć lat temu. Powiedział tylko, że jest zdrowy, żeby się nie martwiła. Spytał, jak ich zdrowie. Tłumiąc wzruszenie, powiedziała mu, że u nich też w porządku, że mieszkają teraz w Bieszczadach, podała mu adres. Nie miała pewności, czy go zapisał, więc po rozmowie wysłała mu jeszcze SMS-em. Lecz gdy spytała, czemu do nich nie przyjedzie, powiedział tylko: „Nie mogę, mamó” i się rozłączył. Raz za razem wybierała jego numer, ale bez skutku. Więcej nie odebrał. Nie wspomniała Staszкови o tej rozmowie. Nie powiedziała też nic Piotrkowi. To była jej mała tajemnica. Może potem, gdy będą same, opowie o niej Zosi. Zapomniała już, jak to jest mieć przyjaciółkę. Podobno to dobrze robi, gdy można się komuś wygadać.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

Przyjaciele spojrzeli po sobie nieprzytomnym wzrokiem.

– Kto to może być? – spytał Jacula, którego zdolność kojarzenia została już nieco zamroczone alkoholem.

– To chyba Piotruś i ta jego dziewczyna.... – powiedziała Teresa. Wstając, lekko się zachwiała i musiała przytrzymać się krzesła, by nie upaść. Kierując się w stronę drzwi, mruknęła jakby do siebie – Jak ona się nazywała?

– Agata – podsunął Jacula.

– Właśnie! Agata! Przecież mieli wieczorem wpaść, prawda, Marysiu?

– Tak, tak, to pewnie oni.
I nie myliła się.

Słyszając chrobot otwieranego zamka, Agata przywołała na twarz najmiłszy uśmiech, na jaki było ją stać. Głupio się czuła, stojąc tak i szczerząc się do drzwi, ale już dawno na niczym jej tak nie zależało jak teraz na zdobyciu sympatii rodziców Kermita. Wczoraj, mimo niesprzyjających okoliczności, było chyba całkiem miło. Dziś po prostu nie chciała tego popsuć, a w jej przypadku nie było to wcale takie oczywiste. Wieloletni związek z Maksem wiele ją nauczył – między innymi tego, że relacje z potencjalnymi teściowymi nie należą do jej mocnych stron. Mama Maksa musiała brać ją za kompletnego imbecyla, bo ilekroć się widziały, strzelała jakąś gafę.

Zaczęło się już od ich pierwszego spotkania. Jakoś tak się złożyło, że zanim Maks się do niej wprowadził, nie miała okazji poznać jego rodziców. Jednak gdy zamieszkali razem, nie dało się już dłużej tego odwlekać. Ona i Maks zaprosili ich na obiad – obiad, który w mniemaniu Agaty miał być wstępem do ciepłych, życzliwych relacji. Bardzo jej zależało, by wszystko dobrze wypadło.

Za radą Aśki postanowiła przyrządzić zwykłe, tradycyjne danie: pieczeń ze śliwką, kremowe puree i buraczki. Obiad zapowiadał się pysznie, a zarazem bezpiecznie – chyba wszyscy

w wieku pięćdziesiąt lat plus lubią tego rodzaju kuchnię. Jednak przygotowania nie zakończyły się na dobraniu odpowiedniego menu. Agata kupiła też nową sukienkę, specjalnie na tę okazję. Klasyczną, beżową, sięgającą kolan, na grubych ramiączkach – elegancka, dość zachowawcza, a przy tym nie kryjąca jej, jak by nie było, nienajgorszej figury.

Wszystko było na dobrej drodze. Parujące ziemniaki czekały na dodanie masła i mleka i zmiksowanie, pieczeń powoli dochodziła w piekarniku, Agata podsmażała starte buraczki na patelni. Wcześniej zdążyła się umyć, uczesać, umalować. Pozostało jedynie włożyć sukienkę.

Beżową.

Beżowa sukienka plus buraczki na patelni to murowana katastrofa, zwłaszcza dla kogoś, kto ma dwie lewe ręce. Dlatego zapobiegliwa Agata zostawiła sukienkę na wieszaku w łazience, a buraczki mieszała ubrana jedynie w bieliznę. Maks leżał przed komputerem, oglądając jakiś serial, więc Agata włączyła w kuchni swoją płytę z piosenkami z lat osiemdziesiątych i aby dodać sobie animuszu, podśpiewywała je, radośnie pląsając.

Podśpiewywała bynajmniej nie pod nosem – Maks oglądał serial na słuchawkach, była dopiero piętnasta, więc nieskrępowana ani narzekającym na jej nędzny gust muzyczny chłopakiem, ani potencjalnie zbulwersowanymi sąsiadami, nastawiła głośnik niemal na cały regulator i darła się na całe gardło. Oczywiście co chwilę zerkała na zegarek na mikrofalówce, by upewnić się, że ma wystarczająco dużo czasu, by się ubrać. Bo przecież wszyscy wiedzą, że przyjść za

wcześnie to gorsze *faux pas* niż się spóźnić. To znaczy... prawie wszyscy.

Rodzicom Maksa najwyraźniej ta zasada gdzieś umknęła, bo zjawili się w przedpokoju Agaty równo dwadzieścia minut przed czasem, gdy właśnie wyłączyła buraczki (gotowe i naprawdę pyszne – była tego pewna, bo żeby potem nie objadać się publicznie, podczas mieszania opędzlowała ćwierć patelni) i właśnie miała zabrać się za miksowanie puree.

Gdy zobaczyła dwójkę obcych ludzi we własnym mieszkaniu, z jej ust wydobyło się niekontrolowane: „Aaaaa!”. Kobieta i mężczyzna nie zareagowali na jej widok z równym entuzjazmem. Stali jak dwa słupy soli, ściskając w rękach kwiaty (kobieta) i butelkę wina (mężczyzna). Agata sięgnęła do magnetofonu i przyciszyła.

– Dzwoniliśmy, ale nikt nie otwierał, więc postanowiliśmy wejść – poinformowała kobieta z fioletowymi włosami ułożonymi w kształt brokuła, makijażem świecącym jak sygnalizacja świetlna i brwiami narysowanymi czarnym ołówkiem, chyba bez jednego oryginalnego włoska.

– Nie słyszałam... – bąknęła Agata.

– To taka moda jest teraz... taka kusa? – spytał mężczyzna o niezliczonej ilości podbródków i zachichotał rubasznie.

Agata zaprezentowała drzemiący w niej odsetek genów wspólny z kameleonem, bo zrobiła się czerwona jak burak i gdyby była nieco mniejsza, zapewne udałoby jej się wtopić w zawartość patelni. Odłożyła mikser na blat i biegiem rzuciła się

w kierunku łazienki.

Jej pędząca przez korytarz postać odwróciła uwagę Maksa od monitora. Zdjął słuchawki i znikając za drzwiami łazienki, Agata usłyszała jego: – Yyy... Ale co się stało?

Przekręciła skobelek i spojrzała w lustro. Zobaczyła, że od podjadania buraczków cała okolica ust zabarwiła jej się na czerwono. Chwilę jej zajęło, zanim znów zaczęła wyglądać jak człowiek, a nie zbiegły z cyrku szalony klaun. Włożyła sukienkę i wzięwszy głęboki wdech, wyszła z łazienki.

Oczywiście reszta wieczoru była katastrofą. A potem poszło już za ciosem. Przy każdym kolejnym spotkaniu denerwowała się coraz bardziej i przez to zamiast zachowywać się normalnie, znów robiła z siebie pajaca. W sumie ciężko wytłumaczyć, z czego to wynikało. Nawet gdy na Maksie przestawało jej już tak bardzo zależeć, stres przed spotkaniami z jego rodzicami pozostał. Była pewna, że gdyby dziś spotkała ich przypadkiem na ulicy, jej nogi znów zamieniłyby się w rozgotowane spaghetti.

Dlatego teraz stała z ustami wykrzywionymi w nerwowym szczękościsku, starając się, by jak najbardziej przypominał on uśmiech. Lecz gdy tylko drzwi się uchyliły i zobaczyła uśmiechniętą twarz Teresy, zdecydowana większość stresu ją opuściła. Już na pierwszy rzut oka było widać, że sporo wypła, a odgłosy stukającego szkła dobiegające z głębi domu świadczyły o tym, że bynajmniej nie piła sama. Agacie ulżyło – skoro była trzeźwa jak szczygiełek, a oni już trochę zrobieni, miała szansę nie wypaść tak totalnie źle.

– O! Piotruś! Pani Agatka! Wchodźcie, wchodźcie, bo zimno leci! – Teresa nagoniła ich do środka.

– Proszę mi mówić po imieniu – zaproponowała Agata, zastanawiając się, czy wedle zasad savoir-vivre’u wypada jej to proponować. Czy z taką propozycją nie powinna wystąpić osoba starsza? Tyle razy planowała kupić jakiś podręcznik w stylu „Dobre wychowanie dla idiotów” i w końcu wyuczyć się tych wszystkich zasad, ale jakoś nigdy się do tego nie zebrała. Jutro! Jutro z samego rana skoczy do sklepu i zasiądzie do lektury! Skoro i tak nie ma nic do roboty, to czemu nie? Teresa wyglądała na kogoś, kto nawet w stanie wskazującym mógłby podjąć angielską królową, nie uchybiając przy tym żadnej zasadzie grzeczności.

– To bardzo miło z pani strony – powiedziała z uprzejmym uśmiechem i delikatnie ucisnęła jej dłoń. – To znaczy z twojej strony, Agatko. Mów mi Teresa.

Agata skinęła głową i odpowiedziała uśmiechem.

– Napijcie się z nami? – spytała Teresa i odwróciła się w stronę pomieszczenia, które zapewne było kuchnią. – Przyniosę kieliszki...

– Ja dziękuję, prowadzę – zaprotestował Kermit.

– Och, daj spokój, Piotruś! Przecież możesz zostawić samochód na noc u nas. Wróćcie taksówką, a jutro przyjedziesz go odebrać. Będziecie mieli pretekst, żeby wpaść.

Na korytarz wyjrzał ojciec Kermita. Twarz miał zaczerwienioną, a wzrok nieco błędny.

– Tereska dobrze mówi, Piotrek. Dla mnie i matki to naprawdę

żaden problem wrócić taksówką. A poza tym kiedy będziesz miał okazję napić się z ojcem? No kiedy, ja się pytam? – Rozłożył ręce w pytającym geście.

Kermit spojrzał na Agatę, jakby szukając u niej przyzwolenia.

– Na mnie nie patrz – powiedziała. – Ja mieszkam na tyle blisko, że mogę wrócić nawet na piechotę!

– Oooo! I to mi się podoba! – ucieszył się ojciec Kermita. – Ta twoja Agatka dobrze gada! Ale z tym lataniem na piechotę trochę pani przesadziła. Odwieziemy panią po drodze. Chodźcie, siadajcie z nami. Teresko, przyniesiesz dla nich kieliszki?

– Jasne! – odkrzyknęła Teresa z kuchni. – Już niosę.

Agata i Kermit weszli do salonu, w którym siedzieli pozostali. Przywitali się grzecznym „dobry wieczór”. Mama Kermita pomachała po nich i spróbowała się uśmiechnąć, ale niezbyt jej to wyszło. Z jej spojrzenia wycierał smutek. „Ciekawe, o czym rozmawiali przed naszym przyjściem?” – zastanowiła się Agata.

– I jak tam, Piotrusiu? Udało wam się skontaktować z Katarzyną? – spytała Zofia.

Wyglądała dużo lepiej niż wczoraj. Wtedy zachowywała się jak manekin, którego gdzie poprowadzą, tam pójdzie. Wydawała się zupełnie bezwolna. Dziś, choć lekko wstawiona, jak pozostali, wyglądała na dużo przytomniejszą. Mierzyła Kermita bystrym wzrokiem.

– Tak, ciociu. Byliśmy u niej i chwilę porozmawialiśmy. Obiecaliśmy, że poinformujemy ją, gdy będzie znana data pogrzebu.

– Mam nadzieję, że nie będą z tym zwlekać nie wiadomo ile – powiedziała Teresa, wchodząc do pokoju z kieliszkami. – Przecież przyczyna śmierci jest znana. Chyba więc nie ma sensu tego przeciągać.

Zofia wzruszyła ramionami i spojrzała w zasnute ciemnością okno.

Jacula wstał i sięgnął po butelkę, by napełnić kieliszki.

– Ty robiłeś nalewkę, wujku? – spytał Kermit, by rozluźnić atmosferę.

– A jakże, kochany! A jakże! – Usta pod rudą brodą rozciągnęły się w uśmiechu.

– Pamiętam jak byłem mały i jak wam wtedy zazdrościłem, że pijecie coś tak dobrego. Mama i tata nie pozwalali mi nawet tknąć...

– I słusznie! – wtrąciła Teresa.

– ...pewnie, że słusznie! Ale wtedy wy tak się tym zachwycaliście, że ja miałem wrażenie, że to musi smakować jak rozpuszczona czekolada, najpyszniejszy sok, sam już nie wiem co! No i do tej pory nie miałem okazji spróbować.

– No, to nie ma co dłużej zwlekać – odezwał się Stanisław. – Synu, niniejszym udzielam ci ojcowskiego pozwolenia na skosztowanie wytworów tego tu oto wirtuoza napojów wysokowych! – Stanisław kurtuazyjnie skłonił się w kierunku Jaculi.

Kieliszki po raz kolejny uniosły się w górę, po czym ich zawartość spłynęła do gardeł zgromadzonych, wywołując na ich obliczach wyraz szczerego zachwyty.

– Pyszne! – wykrzyknęła Agata. Naprawdę, nigdy nie piła tak dobrej nalewki. Do tej pory próbowała tylko tych kupnych.

– Lata praktyki, moja droga. – Jacula uśmiechnął się do niej, po czym, wstając, dodał: – No, ja was przeproszę na chwilkę. Nałóg wzywa – dodał, klepiąc się znacząco po kieszonce na piersi, na której odznaczała się paczka papierosów.

Agata poczuła, że zaczynają piec ją policzki i koniuszki palców. Dawno nie piła niczego mocniejszego niż wino i po tym jednym kieliszku miała wrażenie, jakby jakiś ogień zaczął ją palić od środka. Myśl o powiewie świeżego, chłodnego powietrza była bardzo kusząca.

– Pójdę z panem – powiedziała i ruszyła do przedpokoju po płaszcz.

Lekko uniesione brwi Marii nie uszły jej uwadze.

– Tylko się przewietrzę – wyjaśniła i natychmiast poczuła się głupio. Po co w ogóle się tłumaczy? Po pierwszym spotkaniu z rodzicami Maksa wielokrotnie wyrzucała sobie, że nie wykazała większej pewności siebie. W końcu to oni przyszli za wcześnie, w dodatku weszli do jej mieszkania, nie czekając, aż otworzy im drzwi. Miała prawo paradować po swoim mieszkaniu choćby i nago, a im nic do tego. No cóż – było, minęło. Teraz musi tylko pilnować, by nie powielać złych wzorców z przeszłości.

Zarzuciła na ramiona płaszcz, szyję otuliła szalikiem i śladem Jaculi wymasknęła się przez szparę w drzwiach balkonowych, po drodze omal nie zahaczając płaszczem o równo ułożony na taborecie stos krzyżówek. Przymknęła drzwi na tyle, na ile było to możliwe, i wystawiła twarz w stronę, z której wiał wiatr. O

tak, tego było jej trzeba! Od razu poczuła się lepiej.

Ogródek był tak niewielki, że dająca lekko przytłumione światło lampa zewnętrzna oświetlała go niemal w całości. Było tu bardzo przytulnie. Agata takie właśnie ogrody lubiła najbardziej – nie przesadnie zadbane, naszpikowane wymyślnymi roślinami, tylko „wyluzowane”. Po murku wspinało się jakieś pnącze, w kącie rosła spora wierzba, z drugiej strony cztery niewielkie iglaki. Do tego tuż obok tarasu był fragment ziemi nieporośnięty trawą. Agata mogłaby się założyć, że za miesiąc, dwa Teresa posadzi tu rząd pomidorów, zapewne koktajlowych, które będą pięknie pachnieć. Własny ogródek to naprawdę świetna sprawa.

– Pani nie pali? – zagaił Jacula.

– Nie, nie palę. Kiedyś, w liceum, trochę popalałam, ale bardziej dla towarzystwa niż z rzeczywistej potrzeby. Jak poszłam na studia, to z tym skończyłam, muszę przyznać, że bez większych trudności, więc chyba nie mam po prostu serca do tego nałogu.

– To bardzo dobrze, naprawdę, niech się pani cieszy – powiedział z papierosem w ustach. Skulił ramiona i osłaniając dłonią płomień, zaciągnął się mocno. Błysnął żar. – Póki człowiek młody, to nie myśli, co będzie potem, a gdy przychodzi starość, to zaczynają się problemy. Ja wiem, że nie powinienem palić. Lekarz przy każdej wizycie mi o tym przypomina, ale co ja poradzę. Staram się ograniczać, ale tak zupełnie rzucić to już sobie nie wyobrażam. Powiem pani, że gdybym mógł cofnąć czas, to bym wcale po papierosy nie sięgnął. Ale teraz mogę

albo popalać od czasu do czasu, albo przeżyć tę resztkę życia, jaka mi została, walcząc z nałogiem. A powiem pani, że nie mam na to ochoty. Tereska wylicza mi, ile dziennie wypalam, i pilnuje, żeby bilans tygodniowy się zgadzał. Trzy papierosy na dzień – tyle mi wolno.

– Dobrze, że ma pan kogoś, kto o pana dba. Skoro tak pana podlicza, to znaczy, że zależy jej na tym, by żył pan jak najdłużej.

– Oj tak, tak, wiem o tym dobrze. – Strzepnął popiół do stojącej na parapecie poobijanej popielniczki wypełnionej wodą.

– Miałem wielkie szczęście, że ją spotkałem. Taka kobieta jak ona to skarb! Nie to, żebym pani chciał ująć – poprawił się, kładąc jej rękę na ramieniu i patrząc spod nieco krzaczastych brwi. – Jestem pewien, że u pani boku nasz Piotruś może odnaleźć szczęście. Ale dla mnie to Tereska była najlepszym wyborem. Móc przejść przez życie u jej boku to prawdziwy zaszczyt.

Odchylił głowę do tyłu i wydmuchnął dym wąskim strumieniem. Patrząc, jak biały obłok rozplywa się w mroku nocy, Agata zastanawiała się, czy Jacula zawsze ma skłonności do używania takich podniosłych sformułowań, czy tylko po alkoholu. Poczwała do niego ogromny przypływ sympatii. To naprawdę urocze, gdy mężczyzna po tylu latach wyraża się o żonie w samych superlatywach. Nie chciała być wścibska, ale skoro tak otwarcie z nią rozmawiał, to postanowiła spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co wydarzyło się ponad dwadzieścia lat temu.

– No tak, a z tego co wiem, życie państwa nie oszczędzało. – Subtelnie zarzuciła haczyk. Jacula może podjąć temat albo nie. Jeśli tego nie zrobi, nie będzie dalej cisnąć, ale ku jej zaskoczeniu mężczyzna walnął prosto z mostu: – Ma pani na myśli śmierć naszej Ani, prawda? Tak, tu akurat życie rzeczywiście dało nam popalić.

Zdusił niedopałek w popielniczce i sięgnął do kieszeni po paczkę.

– Jeśli wypalę jeszcze jednego, nie powie pani Teresce?

Agata wykonała gest przekręcania zamka w drzwiach buzi i wyrzucania klucza za siebie. Jacula uśmiechnął się i odpalił kolejnego papierosa.

– Jak piję, to chce mi się palić bardziej niż zwykle. Ciekawe, czemu tak jest? Bo nie tylko ja tak mam. Tak... Ania też popalała. Nie mówiłem o tym Teresce, ale raz znalazłem w kieszeni jej kurtki paczkę papierosów. Nie to, żebym ją jakoś przeszukiwał, tylko normalnie szukałem swojego swetra na wieszaku z kurtkami i tak na to trafiłem. Nic nie powiedziałem ani jej, ani matce. Jak pani była w liceum, to pani rodzice wiedzieli, że pani popala? Jak pani sądzi?

Agata odwróciła wzrok.

– Nie miałam wtedy rodziców. Oboje zginęli, gdy byłam młodsza. Potem zajęli się mną starsza siostra i wujek.

– Przepraszam, nie wiedziałem.

– Nie ma za co przepraszać. Sporo czasu minęło. Nie mam problemu, by o tym mówić.

Wypowiadając ostatnie zdanie, czuła, jak bardzo było

nieszczere. Owszem, miała z tym problem. Choćby minęło nie wiadomo ile czasu, nie będzie w stanie mówić o śmierci swoich rodziców tak, jakby niewiele znaczyła.

– Tak, od śmierci naszej Ani też minęło już wiele lat i jakoś nauczyliśmy się z tym żyć. Zosia też się nauczy. Naprawdę, da się to zrobić, choć nie jest to proste.

– Myślę, że będzie jej łatwiej, gdy będzie wiedziała, kto Lidkę potrafił. Będzie mogła po prostu przeżyć swoją żałobę, a potem żyć dalej. A jeśli to śledztwo będzie wlokło się w nieskończoność, a ona wciąż będzie zastanawiała się, kto i dlaczego zabił jej córkę, to na pewno utrudni sprawę.

– Tak, zapewne ma pani rację. Miejmy nadzieję, że policja szybko się z tym upora. A nawet jeśli nie, to ja i Tereska zrobimy wszystko, żeby jej pomóc. Może tu mieszkać tak długo, jak będzie chciała. Albo powiem inaczej. My jej po prostu nie wypuścimy, dopóki nie będziemy pewni, że nie zrobi sobie krzywdy, że sobie poradzi.

– To szczęście mieć takich przyjaciół jak państwo.

Jacula machnął ręką. Z końca papierosa posypał się popiół.

– Bez przesady. Gdy Ania umarła, my znaleźliśmy oparcie w naszych przyjaciółach. W pewnym sensie jesteśmy im to winni.

– Ale państwo od razu wiedzieliście, jak umarła Ania. Nie było żadnego śledztwa. – Agata po raz drugi spróbowała subtelnie naprowadzić rozmowę na bardziej interesujący ją temat.

– Racja. Tu sprawa była oczywista. Ania sama się zabiła. To był wypadek. Straciła panowanie nad kierownicą, wjechała w drzewo i to wystarczyło. W tamtych czasach nikt nie słyszał o

poduszkach powietrznych.

– Pasów też nie miała zapiętych?

– Nie no, pasy miała, ale to jej nie uratowało. Gdy to zobaczyłem, to była... Ech, szkoda gadać...

– Był pan na miejscu wypadku?

– Nie, skąd! Na zdjęciach widziałem. Ubłagałem policjanta prowadzącego sprawę, by mi je pokazał. Nie chciał tego zrobić, ale powiedziałem mu, że mam moralne prawo wiedzieć dokładnie, jak zginęła moja córka. On odparł, że nie będę mógł potem spać, a ja na to, że teraz też nie śpię i że niech mnie pozostawi decyzję, z jakiego powodu mam być pozbawiony snu: buzującej wyobraźni czy prawdy. „Rodzic, który powołał dziecko na świat, ma prawo wiedzieć, jak ono z tego świata zeszło”, tak mu powiedziałem. I wtedy pokazał mi te zdjęcia. Tylko niech pani tego nikomu nie powtarza. Facet pewnie jest już na emeryturze, ale jeśli nie, to nie chciałbym, żeby miał z tego powodu jakieś nieprzyjemności. Prawda, że ten obraz do dziś mnie prześladowuje. Choć widziałem to zdjęcie ledwie przez moment, wryło mi się w pamięć jak nic innego na świecie. Wciąż mam je przed oczami. Ale to była moja decyzja. Sam jestem za to odpowiedzialny. Więc, odpowiadając na pani pytanie, śledztwa po śmierci Ani nie było. Był świadek wypadku, który jechał za nią i zeznał, że po prostu w pewnym momencie jej samochód skręcił w bok i wbił się w drzewo.

– Ale nie wiadomo, czemu?

– Nie, no skąd. Samochód był sprawny, tyle wiadomo. Opona nie pękła, hamulce były w porządku, policyjni eksperci nie

wykryli żadnych usterek. Była noc, więc może przysnęła. Może zobaczyła jakieś zwierzę i chciała je ominąć, a może tylko jej się wydawało, że coś widziała. Mogła sięgać do torebki po szminkę, chusteczkę, cokolwiek. Tego już nigdy się nie dowiemy.

– Musiała być wspaniałą osobą. Widać to choćby po tym, jak jej śmierć wpłynęła na jej przyjaciół. Lidka na wiele lat wyjechała z kraju, Grzegorz w zasadzie zniknął...

Jacula zgasił drugiego papierosa.

– No, jednak trochę chłodno. Chyba czas, żebyśmy już wracali, bo Tereska zaraz się domyśli, że wypaliłem więcej niż jednego papierosa.

Posłał jej konspiracyjny uśmiezek i odwrócił się w stronę drzwi tarasowych.

* * *

Gdy usiedli przy stole, Agata poczuła, jak bardzo jest głodna. Na szczęście Teresa przygotowała mnóstwo różnych przekąsek. Nałożyła sobie dwa ogórki kiszzone, dwie kromki chleba i kilka plasterków wędliny.

– Podać ci masło? – spytała Teresa.

– Nie, dziękuję. – Agata uśmiechnęła się i pokręciła głową. Po wizycie w McDonalddie stężenie tłuszczów w jej organizmie jeszcze nie wróciło do normy.

– No, jak tam chcesz, ale dobrze ci radzę, jedz póki możesz! W naszym wieku to już człowiek powoli zaczyna sobie odmawiać różnych rzeczy. Taki majonez na przykład. Kiedyś zawsze smarowałam wędlinę majonezem, a teraz to już muszę uważać.

– Ale to chyba nie ze względu na figurę, Teresko – powiedziała Maria, również sięgając po chleb i wędlinę. – Wyglądasz tak, że przy tobie naprawdę można popaść w kompleksy.

W tym komplementcie nie było ani odrobiny przesady. Teresa miała na tyle przyzwoitości, by głupio nie zaprzeczać. Kiwnęła więc głową i uśmiechnęła się w podziękowaniu za miłe słowa.

– Może i ty coś zjesz? – Maria podała Zofii gotową kanapkę.

Kobieta sięgnęła po nią bez przekonania i nadgryzła z brzeżku – ewidentnie tylko dla świętego spokoju.

Zadziwiające, jak łatwo ludziom, którym na nas zależy, przychodzi ograniczanie naszego prawa do samostanowienia. Umiera ci dziecko, przyjaciele otaczają cię opieką i nagle tracisz prawo do decydowania o tym, co i kiedy zjesz, a z braku apetytu musisz się gęsto tłumaczyć. I komu to pomaga? Tobie czy raczej osobie, która stara się pomóc? Bo ona też niewątpliwie na tym korzysta – czuje się ważna i potrzebna, niezbędna dla twojego przetrwania. Na ile nagradzające dla nas samych jest to, że zajmujemy się innymi? Nie ma czegoś takiego jak czysty altruizm. Matka Teresa też musiała czerpać satysfakcję z tego, że opiekuje się innymi. Matka karmiąca dziecko kaszką, albo wręcz własnym mlekiem, też cieszy się nie tylko dlatego, że dziecko przestaje być głodne. Samo zaspokajanie jego potrzeby sprawia, że czuje się ważna i jej samopoczucie też na tym zyskuje: dziecko wypełnia się jedzeniem, a matka satysfakcją. Ale czy jest w tym coś złego? Czy dobre uczynki mają wartość tylko wtedy, gdy my na nich nie korzystamy? Liczy się przecież efekt – nakarmiona Zofia,

nakarmione dziecko. „Boże, o czym ja w ogóle myślę!” – zganiała się w myślach Agata. – „Chyba jestem naprawdę zmęczona”.

Kermit musiał zauważyć, że jej myśli podryfowały w jakieś dziwne rejony, bo nachylił się do niej i spytał:

- Wszystko w porządku, kochanie?
- Taaak... Chyba jestem zmęczona.
- Chcesz jechać do domu? Wypiłem dopiero jeden kieliszek, więc mogę cię podwieźć. Co ty na to?
- Nie wiem, może to i dobry pomysł.

Podniosła wzrok znad talerza i zobaczyła, że wszyscy się w nią wpatrują. Chyba naprawdę musiała wyglądać na zmęczoną, skoro nikt nie próbował wyperswadować jej powrotu do domu. Poczowała parcie na pęcherz.

Dojadła ostatni kęs kanapki, zagryzła ogórkiem i wstała.

- Gdzie znajdę toaletę? – spytała.
- Drugie drzwi po lewej stronie – wyjaśniła Teresa. – Zaprowadzić cię?
- Nie, dziękuję, chyba trafię.

Wyszła na korytarz i ruszyła we wskazanym kierunku. Propozycja Teresy była chyba czysto kurtuazyjna, gdyż trudno byłoby nie znaleźć tych drzwi. Pomieszczenie było niewielkie. Główna łazienka zapewne znajdowała się na piętrze. Tu była tylko toaleta, mała kabina prysznicowa i umywalka.

Agata usiadła na sedesie. Zmęczenie uderzyło ją jeszcze bardziej. W końcu był to bardzo intensywny dzień: najpierw trzy godziny z dziećmi Aśki – już samo to mogło wykończyć największego twardziela – potem wizyta u Katarzyny, następnie

Wiesław, a teraz jeszcze ta kolacja. Musi pamiętać, by uważniej przyjrzeć się temu Wiesławowi. Było w nim coś dziwnego, niepokojącego. Może to te czerwone usta, tak bardzo niemęskie? Fakt, że nigdy nie wyprowadził się od matki? A może po prostu to, że był samotnym mężczyzną? Samotny mężczyzna niejako naturalnie staje się głównym podejrzanym, gdy ginie jakaś kobieta. Zapewne z wszystkich tych powodów, a pewnie i z paru innych, mniej uświadomionych, jakoś mu nie ufała i nie zdziwiłaby się, gdyby wyszło na jaw, że to on zabił Lidkę.

Myjąc ręce, spojrzała w lustro. Boże... naprawdę wyglądała okropnie. Nic dziwnego, że nikt jej nie zatrzymywał, gdy powiedziała, że może wróci do domu. Dziwne, że nie wezwali ratowników medycznych z jakąś kroplówką witaminową. Cera blada, oczy podkrążone, tusz do rzęs rozarty na dolnych powiekach... katastrofa. Jak nic pora zbierać się do domu, ale tymczasem trzeba jakoś wyglądać. Namydliła twarz, starannie omijając rzęsy pokryte resztkami tuszu, po czym spłukała wodą i wytarła.

Skóra natychmiast zaczęła ją szczypać. Tak już reagowała, że jeśli natychmiast po umyciu twarzy nie posmarowała jej kremem, to miała uczucie niezwykle napiętej skóry, jakby przy najmniejszym ruchu, choćby delikatnym zmarszczeniu brwi, miała popękać. Zazwyczaj nosiła w torebce jakiś krem, ale przypomniała sobie, że przecież dziś dała swój podręczny słoiczek Mai. Pewnie teraz wala się gdzieś w zabawkach dzieci Aśki, a ona tu stoi i schnie. Pomyśleć, że to było ledwie parę

godzin temu! Miała wrażenie, że od tamtego czasu minęły całe wieki.

Rozejrzała się wokół, ale nigdzie nie znalazła żadnego kremu, choćby do rąk.

Chociaż...

Lustro nad umywalką wyglądało na takie, które skrywa w sobie niewielką szafkę. Teresa na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, że Agata tam zajrzy i uszczknie odrobinę kremu, o ile jakiś znajdzie. Pewnie nawet się nie zorientuje.

Odchyliła lustro i bingo! Klasyczne, granatowe opakowanie kremu Nivea stało na dolnej półeczce. Znalezisko idealne! Gdyby miała podbierać jakiś drogi krem, czułaby się winna, a tak zgarnęła palcem hojną porcję białej mazi i wsmarowała ją w twarz. Od razu lepiej! Można zmarszczyć brwi bez ryzyka, że na czole pojawi się krwawy Rów Mariański.

Zanim zamknęła szafkę, odruchowo obleciała wzrokiem jej zawartość. Niewiele tam było rzeczy – płyn do płukania ust, plastry i nożyczki, paczka Apapu, jakaś maść w tubce, dwa nieodpakowane mydła, paczka chusteczek higienicznych i kilka fiolek z lekami. Agata sięgnęła po jedną z nich i przeczytała nazwę leku. Absolutnie nic jej nie mówiła.

Zamknęła szafkę i upewniwszy się, że na twarzy nie zostały jej białe smugi, wyszła z łazienki.

– No to jak? Jedziemy? – spytał Kermit, gdy tylko pojawiła się w drzwiach.

– Tak, chyba tak – odparła, po czym zwróciła się do zebranych przy stole: – Przykro mi, że nie mogę dłużej z państwem

posiedzieć, ale naprawdę padam z nóg.

– A... Agnieszko... – wydukała Teresa.

– Agato – poprawił ją Kermit.

– Och, Boże! – Teresa zaczerwieniła się ze wstydu. Agata po raz pierwszy w życiu widziała, żeby ktoś po pięćdziesiątce tak strasznie się zaczerwienił. Uznała, że to urocze. Choć pewnie alkohol też zrobił swoje. – Najmocniej przepraszam! Oczywiście, że masz na imię Agata! Ja chyba też już powinnam się kłaskać, skoro strzelam takie gafy!

– Nie ma sprawy. – Agata uśmiechnęła się uprzejmie. Naprawdę nie miała pretensji.

– No cóż, nie będę was zatrzymywać. Tym bardziej, że na pewno będzie jeszcze okazja. Teraz, gdy udało nam się odnowić przyjaźń z Marysią i Stasiem, nie wypuścimy ich tak łatwo! Ale wy się nie zbieracie, prawda?

– W sumie możemy jeszcze posiedzieć, prawda Marysiu? – odparł Stanisław.

– Pewnie! – potwierdziła Maria. – I wiesz co, Piotruś? Może nie ma sensu, żebyś na nas czekał. Skoro odwozisz Agatkę, to może wróc do domu, jeśli chcesz, a my potem weźmiemy taksówkę.

– Albo nawet możecie u nas spać! – zaproponowała Teresa. – Przecież łóżko jest, piżamy też się znajdują.

– No, zobaczymy. – Maria nie była przekonana. – W każdym razie nie ma sensu, żebyś ze względu na nas zarywał noc.

– Na pewno, mamó? – spytał Kermit. Nalewka była pyszna, wszyscy bardzo mili, ale był w zasadzie pewien, że jeśli teraz zadeklaruje, że po odwiezieniu Agaty do nich dołączy, będzie

tego potem żałował. Szczerze mówiąc, też był zmęczony, z tatą napije się przy innej okazji, a tu będzie się głównie nudził.

– Na pewno – odparła, a ojciec potwierdzająco skinął głową.

– Duzi jesteście. Poradzimy sobie – dodał ze śmiechem.

Dłuższe namowy nie były konieczne.

– No to cóż, w takim razie ja też pojedę do domu. Klucze macie?

– Mamy. – Stanisław poklepał się po kieszeni spodni.

– To do zobaczenia. Dobranoc – zwrócił się do pozostałych.

– Dobranoc. Jedźcie ostrożnie. – Jacula machnął im ręką ze swojego rogu stołu.

Teresa odprowadziła ich do drzwi i pomogła odszukać kurtki na wieszakach.

– Słuchajcie, tak sobie myślę, że może jutro bym przygotowała obiad. Przyszlibyście?

Agata porozumiała się z Kermitem wzrokiem i nie widząc znaków zaprzeczenia, powiedziała:

– Jasne! Bardzo chętnie! O której mamy się stawić?

– No nie wiem... o siedemnastej? Dobrze będzie?

– Pewnie, ciociu. To jesteście umówieni.

Kermit cmoknął Teresę w policzek, Agata ścisnęła jej rękę i wyszli na dwór.

– O Boże, co za dzień! – westchnęła, wsiadając do samochodu.

– Już za pięć minut będziesz w domu – odparł Kermit, zapalając silnik i ruszając.

– Wiem, wiem... szkoda, że nie z tobą.

Położyła mu rękę na kolanie. Nie marzyła o niczym innym, jak

tylko o tym, by wtulić się w niego i zasnąć.

– Też żałuję. – Nie odrywając wzroku od jezdni, pogładził ją po policzku. – Następny weekend spędzamy razem. Calusieńki. W piątek skoczmy na zakupy, a potem nie będziemy ruszać tyłków z łóżka przez całe dwa dni. Pasuje?

– I to jeszcze jak!

Zatrzymał się pod jej blokiem. Jak zwykle nie było wolnych miejsc parkingowych, więc stanął na środku ulicy. Z tyłu za nimi zamajaczyły światła nadjeżdżającego samochodu. Agata szybko dała mu buziaka, wyskoczyła na chodnik i zatrzasnęła za sobą drzwi. Patrząc, jak odjeżdża, poczuła, że chce jej się płakać. „Rany Julek, co za debilka” – podsumowała się w myślach, wzięła głęboki wdech i poszła do swojej klatki.

Jacula poczuł, że bardzo chce mu się palić. Jego organizm wręcz błagał o jeszcze jedną dawkę nikotyny. Jeśli nie zapali, będzie mu trudno zasnąć – myśli o niewypalonym papierosie nie dadzą mu spokoju.

Z kuchni dobiegały ciche postukiwania szkła. To Maria wkładała naczynia do zmywarki. On odstawiał stół pod ścianę – tam, gdzie było jego miejsce – i porządkował krzesła.

Wszyscy pozostali poszli już spać. Teresa, choć dosłownie padała z nóg, nie położyła się, dopóki nie była pewna, że Zofia głęboko zasnęła. Potem umyła twarz, włożyła koszulę nocną i zniknęła w sypialni. Gdy Jacula przechodził pod jej drzwiami, usłyszał cichutkie pochrapywanie. Uśmiechnął się pod nosem. To pochrapywanie Teresy to była jego mała tajemnica. Od zawsze pochrapywała i od zawsze uważała, że chrapanie to okropny nawyk i każdy, kto na niego cierpi, powinien niezwłocznie udać się do lekarza w trosce o komfort współmałżonka. Jemu to nie przeszkadzało. Lubił czuć, że Teresa jest obok. Nocne pochrapywanie tylko go rozczulało. Wydawała się wtedy taka bezbronna, taka bezwolna. Czuł dziwną satysfakcję, że nikt oprócz niego jej takiej nie widywał. Na co dzień zawsze zorganizowana, wszystko miała pod

kontrolą, przed nikim nie odsłaniała się tak jak przed nim. Uważał, że w tym właśnie tkwi istota miłości – że kochasz nie fasadę, którą ktoś tworzy na użytek świata, ale to, co się kryje pod powierzchnią, jak na przykład takie pochrapywanie.

Stanisław wypił zdecydowanie zbyt dużo nalewki, ale Maria nie miała mu tego za złe. U nich, w Bieszczadach, w zasadzie nigdy nie sięgali po alkohol. Co najwyżej grzane wino w szczególnie mroźne wieczory – wino tak przygotowane, że niemal cały alkohol odparowywał. Pół godziny temu wybełkotał przeprosiny i wciągnąwszy piżamę pożyczoną mu przez Jaculę, zasnął na kanapie. Maria troskliwie okryła go kocem. Sama nie była senna.

Przetarła blaty w kuchni i wróciła do salonu. Zobaczyła, że dłoń Jaculi wędruje w stronę paczki papierosów schowanej w kieszeni na piersi.

– Jak chcesz, to pal. Nie powiem Teresce – powiedziała z uśmiechem.

– Ona i tak się domyśli. – Jacula zaśmiał się cicho i dobrotliwie. – Ale masz rację, nie ma co sobie odmawiać. Masz ochotę wyjść ze mną?

– A pewnie! Co będę tu sama siedziała.

Poszedł do przedpokoju i przyniósł jej kurtkę.

– No to ubieraj się i chodź. Nie darowałbym sobie, gdybyś przeze mnie się przeziębila.

Sam narzucił na plecy ciepłą kamizelkę, która leżała na krześle obok wyjścia na taras.

– Zawsze lubiłam ten wasz ogród – westchnęła Maria.

– Ech. – Jacula machnął ręką. – Nigdy nie mieliśmy do niego serca. Jest bardziej dziki niż by wypadało. Jedyne, na co możemy się zdobyć, to koszenie trawy raz w tygodniu. No i Tereska hoduje pomidory latem, tu zaraz przy zejściu z tarasu, żeby nie trzeba było daleko chodzić.

– Pamiętam. Zawsze mieliście pomidory.

– Tak, ale czasy się zmieniły. Kiedyś były malinowe, teraz mamy koktajlowe, te malutkie.

– Tak, wszystko się zmienia, nawet pomidory – zaśmiała się Maria i przeniosła wzrok wyżej, ponad płot.

Noc była niemal bezchmurna. Księżyc w pełni świecił jasno. Srebrzył brzegi nielicznych chmur wokół niego i liście u szczytów drzew. Wiatr ustał, a chłodne powietrze pachniało wilgocią. Z oddali dobiegało szczekanie psa i cichy poszum mknących z rzadka samochodów.

Jacek odpalił papierosa.

– Jacuś? – nieśmiało zagadnęła Maria.

– Słucham, Marysiu?

– Dałbyś mi papierosa?

– Tobie? – Oczy Jaculi zrobiły się niemal okrągłe. – Przecież ty nigdy nie paliłaś!

Maria wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się szelmowsko.

– Oj tam, oj tam. Dasz czy nie?

– No pewnie, że dam, skoro prosisz.

Podsunał jej paczkę i podał ogień.

Maria zaciągnęła się głęboko. Już po pierwszym wdechu zaczęło jej się kręcić w głowie, ale nie zgasiła papierosa. Było jej

dziwnie przyjemnie. Poczwała mrowienie w koniuszkach palców. Ostatni raz paliła... kiedy? Sięgnęła pamięcią wstecz, ale nie potrafiła sobie tego przypomnieć. Na pewno przynajmniej piętnaście lat temu. Teraz czwała się jak nastolatka paląca pierwszego papierosa w życiu. Było to bardzo odświeżające. Dziwne, jak niewiele trzeba, by poczuć się młodziej. Czasem wystarczy po prostu zrobić coś głupiego.

– Marysiu?

– Hmm?

– Mogę cię o coś spytać? Jak nie chcesz, to nie odpowiadaj.

– Pytaj, Jacuś.

– Naprawdę nie wiecie, dlaczego Grzesiek uciekł? Przecież takie rzeczy nie dzieją się bez powodu.

Chwilowe uczucie bycia nastolatką zniknęło w mgnieniu oka. Jedno zdanie Jaculi sprawiło, że znów poczuła na ramionach ciężar lat.

– Przecież mówiłam, Stasio też mówił. Naprawdę nie mamy pojęcia, co się stało.

– No dobrze, rozumiem, że nic nie wiecie na pewno, ale może macie jakieś podejrzenia? Bo ciężko mi uwierzyć w to, że powodem była tylko i wyłącznie śmierć Anki. Owszem, wszyscy wiemy, że się przyjaźnili, ale skoro my, jako rodzice, jakoś to przetrwaliśmy, to on, jako przyjaciel, tym bardziej powinien, nie sądzisz?

– Nie wiem, Jacek. Jasne, że rodzice to zawsze rodzice, ale przecież zwłaszcza w tym wieku przyjaźń potrafi być bardzo silna. Może po prostu był wyjątkowo wrażliwy. A może

wydarzyło się coś jeszcze.

– Właśnie. Do tego zmierzam, że może nie tylko o śmierć Anki chodziło. Przecież jest waszym synem. Racja, był w zasadzie dorosły, ale przecież mieszkał z wami pod jednym dachem. Naprawdę niczego nie zauważyliście?

Maria zmarszczyła brwi i znów mocno zaciągnęła się papierosem. Już nie tylko kręciło jej się w głowie. Powoli zaczynało jej się zbierać na wymioty.

– Jacek, a co niby mieliśmy zauważyć? – W jej tonie bez trudu można było wyczuć irytację. – Pytasz, czy brał narkotyki? Nie wiem. Rodzic, który z całą pewnością zaprzecza, że jego dziecko ma coś wspólnego z narkotykami, jest po prostu głupi. Dzieci są mądre, mądrzejsze, niż nam się wydaje, i potrafią ukrywać różne rzeczy. Nie zauważyłam, by miał ślady po wkłuciach na rękach, nie znalazłam nigdy żadnych podejrzanych substancji, choć też specjalnie go nie przeszukiwałam. Nie zniżyłam się do tego. Może to był błąd, nie wiem, ale nie wydaje mi się, by tak było. Zawsze szanowaliśmy naszych synów. Respektowaliśmy ich prawo do niemówienia nam wszystkiego. Jasne, że czasem przychodził ewidentnie po piwku, może sięgał po coś mocniejszego. Pewnie tak było. Kilka razy wyczułam od niego zapach papierosów. Papierosów, nie marihuany. Nie reagowałam na to, bo i co miałam powiedzieć? Przecież był praktycznie dorosły. Który nastolatek nie popala i nie sięga po alkohol od czasu do czasu? Byłam jego matką. Albo by mnie wyśmiał, albo się obraził. Czułam, że i tak się oddala i nie chciałam jeszcze bardziej go dystansować. Poza tym co ja ci

będę tłumaczyć. Przecież trzymał się razem z Anką i Lidką. Jeśli on popijał i popalał, one zapewne też to robiły. Równie dobrze ja mogę zapytać ciebie, czy nie zauważyliście niczego podejrzanego u Anki.

Jacula w milczeniu potarł czoło. Po chwili odparł:

– Tyle co ty, Marysiu. Tyle co ty. Też kiedyś znalazłem u niej papierosy, nieraz widziałem, że coś tam popiła.

– A narkotyki?

– Nigdy. – Pokręcił głową. – I nic innego nie zauważyliście? Nie wyglądał, jakby miał jakieś problemy?

Maria z impetem cisnęła papierosa do popielniczki. Zasyczał i zgasł.

– Nie, Jacek. Nic takiego nie zauważyliśmy. A w ogóle to czemu tak drażysz ten temat? Myślisz... – urwała w pół zdania.

– No co? – ponaglił ją Jacek.

Spojrzała mu w oczy. Alkoholowa niewyraźność gdzieś się rozplynęła. Teraz patrzył na nią bardzo bystro. Ona też już nie czuła się ani trochę wstawiona. Pozostały tylko lekkie mdłości po papierosie.

– Myślisz, że coś przed nami ukrywali? Cała trójka? Że coś zdarzyło się wcześniej, przed tym wypadkiem? Coś, co doprowadziło do wypadku Anki, wyjazdu Lidki i zniknięcia Grzegorza? Że to nie sam wypadek był przyczyną tego wszystkiego?

– Nie wiem, Marysiu. A tobie nigdy nie przyszło to do głowy?

Maria schowała ręce w kieszeniach kurtki i skuliła ramiona.

– No nie. Jakoś w ten sposób o tym nie myślałam. Przyjęłam,

że śmierć Anki to był wypadek, po prostu nieszczęśliwy wypadek. A to, co się stało z Grześkiem i fakt, że Lidka wyjechała, to po prostu jego następstwa. Nigdy nie doszukiwałam się w tym niczego więcej. Nie było mi to potrzebne. Znałam swojego syna. Wiedziałam, jaki był wrażliwy, wyjątkowo wrażliwy jak na chłopca. To, że na śmierć Anki zareagował tak gwałtownie, pasowało do jego charakteru. Zawsze był trochę osobny, zawsze nieco z boku. Bardzo mocno wszystko przeżywał, ale się z tym nie afiszował. Z zewnątrz mógł wręcz sprawiać wrażenie nieczułego, ale ja wiem, że często wszystko w nim się aż gotowało od nadmiaru emocji. Matki wiedzą takie rzeczy. Wystarczy, że spojrzą. I ja widziałam to w nim po tym wypadku. Widziałam, jak mocno to przeżył. Jacek – spojrzała mu w oczy – ja nocami słyszałam jego płacz. On łkał jak dzieciak, gdy dowiedział się, co się stało z Anką. Próbowałam go pocieszać, ale on tego nie chciał. Gdy go przytulałam, nie odpychał mnie, ale też nie oparł głowy na moim ramieniu, nie rozluźnił się ani na chwilę. A potem zniknął.

– I do tej pory nie macie kontaktu...

– Nie mamy.

Jacula pogładził Marię po ramieniu.

– To musiało być straszne, wtedy, w Łodzi, gdy nie zastaliście go w miejscu, w którym myśleliście, że mieszka.

Maria wzięła głęboki wdech.

– Dasz jeszcze papierosa? – spytała.

Tym razem Jacek w milczeniu podał jej paczkę i ogień. Dużą

dłonią osłonił płomień od wiatru, by mogła spokojnie odpalić.

Maria zaciągnęła się, po czym powiedziała:

– Rozmawiałam z nim jeszcze później.

Wypowiedziawszy te słowa, poczuła ulgę, jakby kamień spadł jej z serca.

Jacula uniósł wysoko brwi.

– Tak, udało mi się jeszcze z nim porozmawiać. Rzecz jasna przez telefon.

– Dawno?

– Pięć lat temu. Niewiele udało mi się wtedy dowiedzieć. W zasadzie tylko tyle, że żyje, nie jest chory i ma dach nad głową. Nic więcej. Tylko ten jeden raz odebrał i od tamtej pory znów cisza. Czasem dzwonię, ale nie odbiera.

– Staszek o tym wie?

– Nie. Nie wie i niech tak zostanie. Tylko by się denerwował. Tak jest lepiej. Odkąd nie rozmawiamy o tym, jesteśmy spokojniejsi. Zresztą mam nadzieję, że on powoli o tym zapomina.

– Zapomina? – ożywił się Jacek. – O własnym synu? Chyba żartujesz...

– Może źle się wyraziłam. Nie tyle zapomina, ile spycha na dalszy plan. Nie myśli o tym tak często jak kiedyś. I dobrze. Nie chcę, by cierpiał. Dlatego zachowałam to dla siebie. Jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię.

Jacek objął ją ramieniem i przytulił.

– Nie martw się. Twój sekret jest u mnie bezpieczny.

– Wiem, przecież wiem. – Uśmiechnęła się do niego smutno.

– Będziesz to jeszcze paliła? – Wskazał na niedopałek w jej palcach.

– Nie. – Zgasiła go w popielniczce. – I tak za dużo wypaliłam. Jutro głowa będzie mi dosłownie pękała. O ile dobrze pamiętam, to tak reaguję na nikotyne.

– Na nikotyne albo na inne świństwa, które do tego ładują.

– Kto wie! Zresztą to nieważne. Ważne, że jutro będę umierać.

– Nie martw się. Poratujemy cię jakimś paracetamolem.

Wracamy?

– No chyba! Choć po tej naszej rozmowie nie wiem, czy tak łatwo zasnę.

– Oj, ja też. Ale położyć się trzeba.

– Trzeba.

– A Piotrek? Nie będzie się martwił, że was nie ma?

– Nie. Wysłałam mu SMS-a, że zdecydowaliśmy się u was nocować. Miałeś rację, nie ma sensu tłuc się po nocy taksówkami.

– No pewnie! Tym bardziej, że mamy przecież wolny tapczan. No to siup, do środka.

Gdy weszli do pokoju, nie zapalali już światła. Jacula cicho ściągnął kamizelkę i ostrożnie położył na fotelu. Maria na palcach poszła do łazienki, by umyć twarz i zęby. Koniecznie musiała umyć zęby. Zapach papierosów ulatniający się z ust, włosów i palców coraz bardziej jej przeszkadzał.

Nie zwrócili uwagi na to, że charakterystyczne poświstywanie, jakie wydawał z siebie Stanisław podczas snu, ucichło. Leżał plecami do ściany, więc żadne z obojga, skupionych na tym, by

go nie obudzić, nie miało szansy zauważyć, że oczy ma szeroko otwarte. A szpara, którą Maria i Jacula zostawili w drzwiach tarasowych, nie była tak mała, jak mogłoby się wydawać z zewnątrz.

– No żeż w mordę, no! – parsknęła pod nosem Agata, zerknąwszy do pustej puszki po kawie. Jak to możliwe, że zapomniała ją kupić? Przecież dałaby sobie rękę uciąć, że wpisywała kawę na zeszlotygodniową listę zakupów. Pewna swego sięgnęła po telefon, otworzyła rzeczoną listę i... no cóż, ręka zostałaby stracona bezpowrotnie. Kawy na liście nie było. A przecież zawsze pamiętała o kawie!

Jej problem mógłby się wydać wydumany – przecież tuż pod blokiem ma sklep spożywczy, w zasięgu dwustu metrów jest parę kolejnych. Gdyby mieszkała w środku lasu, to jasne, brak kawy mógłby być poważnym zmartwieniem, ale na litość boską, przecież mieszka w Warszawie, na Służewiu! Sklepów tu nie brakuje! Jednak ci, którzy by tak pomyśleli, nie wiedzieliby o dwóch rzeczach. Po pierwsze, Agacie smakowała wyłącznie jedna kawa – Idee Kaffee – która była dostępna tylko w jednej sieci handlowej. Nie to, żeby była jakimś smakoszem, ale akurat w wypadku kawy jej kubki smakowe miały dość konkretne wymagania. Po drugie, poranek bez kawy był z góry skazany na porażkę. Nie było szans na działanie na pełnych obrotach. I to w sumie nie byłoby takie złe – myśl o przeleżeniu połowy dnia w łóżku była całkiem zachęcająca. Ale, niestety,

mieszkanie wręcz błagało o sprzątanie. Kiedyś trzeba było to zrobić, a przed kolejnym weekendem lepszej okazji nie będzie. No nic, trzeba ruszyć tyłek po kwasie dostępnej w spożywczości pod blokiem i brać się do roboty.

Zacisnęła zęby i wróciła do sypialni. Wciągając dres i skarpety, pomyślała o Kermicie. On na pewno miał u siebie Idee Kaffee. Widziała ją oczyma wyobraźni – górna szafka po prawej stronie, środkowa półka, złota puszka w srebrne gwiazdki, typowo Bożonarodzeniowa, kupiona w grudniu, niedługo po tym, jak się poznali. Od tamtej pory Kermit dbał, by zawsze był w niej zapas ulubionej kawy Agaty. To ją rozczulało. Nie była przyzwyczajona do tego, by ktoś tak dbał o jej dobrostan. W poprzednim związku jakoś nie było jej dane tego zaznać. Maks po kilku latach razem nadal potrafił spytać, czy słodzi herbatę. Wtedy nie widziała w tym nic dziwnego. Teraz na to wspomnienie strzelała ją cholera. Jak mogła zmarnować tyle lat z kimś takim? Z kimś, kto nie pamięta, czy ona słodzi herbatę (słodzi!) i czy do kawy dodaje mleka (dodaje!). Czy to naprawdę takie trudne? Jeśli nawet, to najwyraźniej nie dla wszystkich. Po kilku miesiącach z Kermitem miała wrażenie, że mogliby z marszu startować w jednym z tych konkursów dla par, w których prowadzący sprawdza, jak dobrze się znają, zadając pytania w stylu „Jakiego koloru pięty mają ulubione skarpetki twojej dziewczyny?” (hmm... no dobra, to pytanie byłoby z deka nieuczciwe – Agata wszystkie skarpety bez wyjątku miała czarne...) czy „Płytę jakiego wykonawcy twoja dziewczyna

zabrałaby ze sobą na bezludną wyspę?” (No jasne, że Queen! Co to by było za życie bez Freddiego?). Cóż, gdy teraz o tym myślała, to miała wrażenie, że być może Kermit zna ją tak dobrze, bo jest taka nieskomplikowana. Jednak z drugiej strony Maks najwyraźniej nawet jej nie był w stanie ogarnąć.

Włożyła puchową kamizelkę, adidas i chwyciwszy w locie portfel, zbiegła na dół. Szybko kupiła kawę i zanim minęło dziesięć minut, była z powrotem.

Zerknęła na telefon. Cisza. Ciekawe, czy rodzice Kermita wrócili na noc do domu? Intuicja podpowiadała jej, że pewnie w końcu zostali u Teresy i Jaculi. Tak czy inaczej, postanowiła na razie nie dzwonić do Kermita. Najpierw obowiązki, czyli sprzątanie, a dopiero potem przyjdzie czas na przyjemności.

Zrobiła kawę, dołała sporo mleka i pochłonęła zawartość filiżanki dwoma wielkimi łykami – byle szybciej napój znalazł się w żołądku, a kofeina dostała się do krwiobiegu – włączyła ulubioną playlistę Queen i zabrała się do roboty. Sprzątanie szło jej sprawnie – wielki plus posiadania niewielkiego mieszkanca. Gdy playlista dobiegła końca, kuchnia była umyta (choć określenie „lśniła czystością” byłoby lekką przesadą), czyste ciuchy poskładane w szafie, dywan odkurzony, podłogi umyte, a miliony przedmiotów codziennego użytku wróciły na swoje miejsca. Z łazienki dobiegał szum pracującej pralki.

Nastawiła wodę na herbatę i zrobiła sobie kanapki. Nie chciała się objadać, bo przecież na piątą Teresa zaprosiła ich na obiad. Agata zupełnie ostatnio nie miała apetytu, a głupio tak pójść do kogoś i prawie nic nie zjeść – pomyślała, że jej nie

smakuje. Choć objadać się też głupio... W Teresie było coś, co sprawiało, że Agata czuła się na cenzurowanym. Dziwne, bo kobieta była przecież miła, wręcz przyjacielska. Agata polubiła ją. Polubiła ich wszystkich – Teresę, Jacka, rodziców Kermita. O Zofii trudno było powiedzieć to samo. Pograżona w żałobie, nie dała się na razie poznać.

Agata zalała herbatę wrzątkiem, usiadła przy stoliku i znów spojrzała na telefon. Dalej cisza.

„Żyjesz? Kocham :*” – wystukała na klawiaturze i wysłała do Kermita.

Zjadła wszystko i wypła, a on nie odpisał. Nie martwiła się tym szczególnie. Przypuszczała, że zapewne pracuje, to znaczy siedzi w stacji dowodzenia i śmiga po sieci w poszukiwaniu informacji, które pomogłyby im odkryć, kto zabił Lidkę. Wiedziała, że Kermit często na czas pracy wyłącza telefon, by nic go nie rozpraszało. Jak skończy, oddzwoni. Zawsze oddzwania.

Do piątej pozostało jeszcze pięć godzin. Wyjrzała przez okno. Bezbarwne chmury powoli przetaczały się po szarym niebie. Rozproszony blask słońca raził w oczy. Nie miała ochoty nigdzie wychodzić. Boże, co się dzieje, że ostatnio jest taka rozlazła? Trzeba koniecznie coś z tym zrobić, bo wiosna za pasem, a nastrój iście zimowy.

Poczuła, że nadszedł moment, by wytoczyć najcięższy oręż do walki z rozlazłością. Sięgała po niego rzadko, bo nie leżał w jej naturze, ale niemal zawsze okazywał się skuteczny – ćwiczenia fizyczne. Nalała dużą szklankę wody, wyszukała niedługi

program z żywiolową Mel B, wzięła głęboki wdech i przystąpiła do dzieła.

Tygodnie, jakie upłynęły od ostatniego wysiłku fizycznego, szybko dały o sobie znać. Czowała się ciężka jak słoń, wolna jak żółw i słaba jak trzcina. Nie minęło dziesięć minut, a serce waliło jej jak u spanikowanej myszy, przed chwilą zjedzone kanapki podchodziły do gardła, a ona spływała hektolitrami potu. Motywujące pokrzykiwania super zgrabnej i w ogóle niezdyszanej prowadzącej jakoś na nią nie działały. Skapitulowała.

Na drżących nogach powlokła się pod prysznic. Najchętniej walnęłaby się na kanapę, ale była tak skąpana w sosie własnym, że byłoby to po prostu obrzydliwe. Gdy wychodziła z łazienki, usłyszała dzwonek telefonu.

„Kermit!” – pomyślała i zapominając o zmęczeniu, w trzech długich susach dobiegła do aparatu.

To nie był Kermit.

– No cześć – powiedziała zmęczonym głosem.

– O Boże, co się stało? – przestraszyła się Aśka. – Brzmisz jak przybysz z zaświatów.

– Nic się nie stało. – Agata położyła się na kanapie, a wciąż pulsujące od wysiłku nogi wyciągnęła do góry. – Ćwiczyłam.

– Ćwiczyłaś?! Ty?!

– No tak, trochę. Chciałam się jakoś rozruszać, bo coś mnie ostatnio *élan vital* opuściło .

– Jak to?

Agata pokrótce opowiedziała, jak to ostatnimi czasy chodzi ledwo żywa.

– Może to kwestia przedwiośnia? Może brakuje mi witamin czy innych mikroelementów, jak sądzisz?

– Może, może. – Aśka na chwilę zamilkła. – Choć ja zwykle się tak czułam... – urwała.

– Kiedy? No kiedy?

– Mmmm... No, jak w ciąży byłam, na początku.

– W ciąży?! – Agata aż usiadła z wrażenia.

– No w ciąży, w ciąży.

– Niemożliwe!

– Kochana, rozmawiasz z ekspertem. Po urodzeniu trójki dzieci to ja ciążę wężem samym wyczuwam. I to przez pół miasta!

– Ale... to niemożliwe! – Agata, jak zwykle w chwilach szczególnego stresu, wspinała się na wyżyny sztuki inteligentnej konwersacji.

– Na pewno takie niemożliwe? – Aśka nie odpuszczała.

Agata sięgnęła pamięcią dwa, trzy tygodnie wstecz i musiała przyznać, że w sumie nie jest to aż takie niemożliwe, jak przed chwilą zapewniała. Był taki jeden wieczór... szanse na ciążę były wtedy niskie, ona miała zawsze cykl jak w zegarku, więc postanowili zaryzykować. Ale „niskie” nie znaczy „zerowe”, a przy odpowiednim splocie różnych fizjologicznych możliwości mogło się otrzeć o „całkiem prawdopodobne”. Poczowała, jak krew odpływa jej z twarzy.

– O w mordę... – wydusiła.

Aśka też na chwilę zamilkła.

– Słuchaj, jeszcze nic nie jest przesądzone. Może to rzeczywiście wiosenne przesilenie, czy jak to się tam nazywa.

– Taaa... Przesilenie to będzie na Boże Narodzenie, jeśli się nie mylisz.

– Nie panikuj na zapas, tylko idź do apteki i kup test. Wtedy będziemy myśleć, co dalej.

– Co dalej, co dalej... Jak to „co dalej”? Dotychczasowe doświadczenia ludzkości wskazują, że dalej to będzie dziecko!

– Agata, daj spokój! Może przyjadę do ciebie, po drodze kupię test i za pół godziny będziemy miały jasność. Co ty na to? Paweł jest w domu, zostanie z dziećmiakami.

– Nie no, przestań, nie jestem już dzieckiem. Kocham cię, siostra, ale załatwię to sama.

– Na pewno?

– Na pewno!

– No dobra, jak chcesz, ale jak tylko będziesz coś wiedziała, natychmiast do mnie zadzwoń! – W głosie Aśki wręcz dudniła ekscytacja.

– A co ty tak piejesz?

– Bo może będę ciooocia! – zapiąła już całkiem jawnie Aśka.

– Jesteś matką trójki dzieci! Jeszcze ci mało?!

– Ale nie jestem ciooocia! To zupełnie co innego! Do własnych dzieci musisz podchodzić praktycznie. Kupujesz bodziaki, rampersy...

– Rampersy? Co to są rampersy?

– Eeee... Yyyy... No cóż, niedługo się dowiesz. W każdym razie

tylko cudzym dzieciom kupuje się piękne, ale mega niepraktyczne ubranka, albo zasypuje się je tonami słodyczy! Łuuuhuuu! Nareszcie!

– Boże, Aśka, ty jesteś porąbana!

– No i co z tego? Może i porąbana, ale za to szczęśliwa!

Łuuuhuuu!

– Dobra, kończę tę głupią rozmowę.

– Idź kup test!

– Pójdę.

– I natychmiast do mnie dzwoń!

– Zadzwoń.

– Łuuuhuuu!

– Spadaj!

Agata rozłączyła się i rzuciła telefon na kanapę obok siebie. Po chwili znów po niego sięgnęła i włączyła aplikację z kalendarzykiem. Faktycznie, okres spóźniał jej się już trzy dni. Niby niewiele, ale to nie było normalne, nie u niej. Aplikacja uprzejmie dopytywała: „Czy nie zapomniałaś zaznaczyć początku okresu?”. Agata prychnęła i wyłączyła wyświetlacz. Położyła telefon obok i w tym momencie usłyszała dźwięk nadchodzącego SMS-a. Może to Kermit?

Zerknęła na wyświetlacz. Aśka.

„Łuuuhuuu!”

– Wariatka – mruknęła Agata i odpisała:

„SPADAJ!”

Wcisnęła telefon pod poduszkę. Leżąc, położyła rękę na brzuchu.

„Dziecko?” – pomyślała. – „A może to wcale nie byłoby takie złe?”

Miała przecież pracę, mieszkanie, miała Aśkę. Poradzi sobie. Miała też trzydzieści lat. TRZYDZIEŚCI LAT! Jak nie teraz, to kiedy? No i Kermit. Był cudowny, ale jak zareagowałby na taką wiadomość? Nie wątpiła ani przez moment w to, że jej nie zostawi. Na pewno zostanie, ale czy będzie szczęśliwy? Czy nie poczuje się przyparty do muru? Postawiony w sytuacji, w której wcale nie chciałby się znaleźć? Od tego już tylko krok do frustracji, a z frustracji na pewno nic dobrego nie wyniknie. Jasne, że do powstania tego wciąż jeszcze przecież hipotetycznego dziecka przyczynił się w równym stopniu co ona, ale jeśli nie będzie go chciał, to nie ma co go przymuszać. A Agata z każdą sekundą była coraz bardziej pewna tego, że jeśli test da wynik pozytywny, razem z Aśką wykrzyknie „Łuuuhuuu!”. Tak, naprawdę to nie byłoby takie złe.

Oczywiście, jej życie wywróci się do góry nogami. Jeśli Kermit nie zdecyduje się zostać, to jej mieszkanko za jakieś trzy lata trzeba będzie wymienić na większe, smart też pewnie przestanie wkrótce wystarczać i trzeba się będzie z nim rozstać. Koniec z pracowaniem po godzinach. Tak, zmian będzie sporo, ale chyba przychodzi w życiu taki czas, kiedy trzeba po prostu dać się im ponieść i bez żalu zrezygnować z tego, co zostaje za tobą. Agata poczuła, że jest na to gotowa. Dałaby radę, z pewnością, i chyba byłaby szczęśliwa.

Największym zmartwieniem był Kermit. Przecież byli razem dopiero pół roku. To naprawdę niedługo. Wprawdzie od

dłuższego czasu to on ją namawiał, by zamieszkali razem, ale to zupełnie co innego niż zakładać rodzinę. Z mieszkania zawsze można się wyprowadzić, a rodzina jest nieodwracalna.

Ale nie ma co gdybać bez sensu. Test. Trzeba kupić test. Albo najlepiej od razu dwa. Albo trzy. W końcu pewności nigdy za dużo.

18 lipca 1992 roku, godzina 17:24

Lidka przesunęła dłoń po włosach. „Cholera, jeszcze nie wyschły?” – pomyślała. Odsunęła się od parapetu i mocno machnęła kilka razy głową. Znow dotknęła włosów. „No, już lepiej”.

Podeszła do lustra, by jeszcze raz sprawdzić, czy dobrze wygląda. Niebieska sukienka leżała idealnie. Nasmarowane kremem ramiona, mimo dzisiejszego spaceru po słońcu, wcale się nie spiekły, nawet piegi nie wylazły tak strasznie, jak się tego obawiała. Sięgnęła po puderniczkę i przypudrowała czoło. Po namyśle schowała ją do płóciennej torebki, którą zamierzała ze sobą zabrać. Pewnie się nie przyda, ale w sumie nic nie waży, więc co jej szkodzi. Jeszcze błyszczczyk. Przejechała nim po wąskich ustach. Zapachniało owocami. Wcisnęła plastikową buteleczkę do torebki.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę!

Do środka zajrzała mama.

– Ładnie wyglądasz – powiedziała.

– Dzięki!

– Ale chyba weźmiesz jakąś bluzę?

Lidka jęknęła.

– Mamo, przecież jest gorąco!

– Teraz tak, ale w nocy może być chłodniej. Zresztą co ci szkodzi. Przecież Ania zawozi was samochodem. Najwyżej zostawisz w aucie i już. A jak będzie potrzeba, to będziesz ją miała pod ręką.

– No dobra.

Lidka niechętnie sięgnęła do szafy i wyciągnęła cienki, biały, rozpinany sweterek. Mama obrzuciła go niechętnym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała.

– Pokaż no mi ten lakier.

Lidka uśmiechnęła się i z dumą zaprezentowała dłoń z paznokciami w kolorze głębokiego, migoczącego drobinkami brokatu granatu.

– Jak gwiazdzista noc, prawda?

– Nooo... – Mama była mniej entuzjastyczna. – Za moich czasów takich nie było. Czerwony, perłowy, różowy, to tak, ale żeby niebieskie paznokcie nosić, to by mi do głowy nie przyszło. Ale muszę przyznać, że do sukienki ci pasują.

– Dzięki! – pisnęła Lidka. – To może i ściany byśmy na niebiesko machnęli, co ty na to?

Zofia zmarszczyła brwi.

– Lidka, już o tym rozmawialiśmy. Po moim trupie!

– Dobra, dobra, tylko żartowałam. Ale jak już będę miała swoje mieszkanie, to na pewno pomaluję ściany na niebiesko. Będę się czuła jak w niebie.

– A w swoim domu to możesz sobie i w krowie łaty pomalować!
– Zofia się roześmiała, ale zaraz spoważniała. – Liduś, zaraz po ciebie przyjadą, a ja chciałam ci tylko powiedzieć, żeby tam grzecznie było, dobrze?

– Maamooo...

– Nie mówię, że masz pić tylko herbatę. Wiem, jesteś młoda, musisz poszaleć, rozumiem to. Ale proszę, żeby to było, no wiesz, bez przesady, dobrze? Tak z głową szalej, kochanie.

– Mamo, przecież to nie pierwsza impreza, na którą idę. – Wiem, Liduś, wiem, ale czuję jakiś taki dziwny niepokój. Może to dlatego, że to tak daleko...

– Jak daleko? Przecież to pod Warszawą!

– A może dlatego, że Ania was wiezie. Nie myśl, że jej nie ufam, ale jakoś tak bezpieczniej bym się czuła, jakbyś poszła choćby i na całą noc, ale gdzieś tu, na osiedlu.

Lidka podeszła do matki i ją przytuliła.

– Oj, mamo, ty to lubisz sobie popanikować, co?

– Ja bym raczej powiedziała, że to ty lubisz starą matkę postraszyć.

– Ty?! Stara?! – Lidka zrobiła wielkie oczy. – Tatooo! Słyszalesz?! Mama mówi, że jest stara!

– Cooo?! – krzyknął ojciec z dołu. – Powiedz jej, że spiorę każdego, kto nazwie moją żonę starą babą!

Ta wymiana zdań krążyła w ich rodzinie już od lat. Matka i córka uśmiechnęły się do siebie.

Z dołu dobiegł odgłos dzwonka do drzwi, a po chwili radosne

wołanie ciotki Teresy: – Jesteście?! Bo tu jakiś facet z nalewkami stoi i nie wiem, czy go wpuszczać, czy nie?

– Wpuszczaj, wpuszczaj! – odkrzyknęła Zofia. – Już schodzę! No – zwróciła się do córki – to jedź, Liduś. Tylko pamiętaj, o co cię prosiłam.

– Będę pamiętać.

Lidka cmoknęła mamę w policzek, chwyciła sweter, płócienną torebkę i zbiegła po schodach.

– Dzień dobry, ciociu! Witaj, wujku! Pa, tato! – krzyknęła w locie i wybiegła przed dom.

Anka siedziała za kierownicą szarego volvo. Na tylnym siedzeniu szczerzył się Grzesiek. Lidka podbiegła i usiadła na siedzeniu obok kierowcy.

– No hej. – Uśmiechnęła się do nich, podekscytowana. – To jak? Jedziemy?

– Jedziemy! – odparł Grzesiek.

– A twoi rodzice nie przychodzą do nas? – zwróciła się do Grześka.

– Przychodzą, przychodzą, tylko młody jakiś program chciał skończyć oglądać, więc się spóźnił z pół godzinki.

– Biedny ten Piotruś. Siedzieć z nimi cały wieczór...

– E, daj spokój. Młody jest dzielny i nie narzeka. Siedzi w kącie i czyta sobie jakieś komiksy. W domu robiłby dokładnie to samo.

– Sięgnął do walkmana i wyjął kasetę. – Włączysz Metallicę? – zwrócił się do Anki.

– Nie znasz zasady, że to kierowca wybiera muzykę? –

odpowiedziała, nie odwracając głowy. Nacisnęła guzik i po chwili w samochodzie rozbrzmiało T. Love.

Lidka odwróciła się do Grzeška i wymieniła z nim porozumiewawcze spojrzenie. Taka opryskliwość zupełnie nie była w stylu Anki. O cokolwiek rano jej chodziło, najwyraźniej nie przeszło. Potem ją przycisnę, na imprezie. Teraz, przy Grzešku, Anka może nie chcieć gadać.

Lidka odkręciła szybę i wystawiła dłoń na zewnątrz. Gdy powietrze wpadało z impetem do środka, upał był bardziej znośny. Brokatowe drobinki w lakierze łąpały promienie słońca i rzucały wokół srebrne odblaski.

– Nie za bardzo ci wieje? – spytała siedzącego z tyłu Grzeška.

– No co ty, kobieto! – Sięgnął do kieszeni i wyjął papierosy. – Skoro tu taki przeciąg, to może sobie zapalę? I tak zaraz wszystko wywieje.

– Dupa, a nie wywieje! – prychnęła Anka. – Ani mi się waży palić w tym aucie!

– Dobra, dobra! – Grzesiek wsadził papierosa za ucho i podniósł ręce w obronnym geście. – Ale zatrzymalibyśmy się gdzieś po drodze po jakieś piwko, wino, dla ciebie soczek, co? Anulka? Zatrzymasz się?

– Zatrzymam. Jak będzie sklep, to się zatrzymam. Masz. – Rzuciła Lidce na kolana mapę drogową. – Jesteśmy na stronie 96, jedziemy na 98. Pilnuj, to mnie naprowadzisz, jakbyśmy się zgubili.

– Spoko.

Lidka zaczęła kartkować atlas i po chwili odnalazła właściwą

stronę. Położyła na niej dłoń, by się przypadkiem nie zamknęła. Śliski papier był miły w dotyku. Spojrzała na swoje paznokcie. Naprawdę wyglądały jak gwiazdzista noc. Przez chwilę pomyślała, czy nie pokazać ich Ance, ale zrezygnowała. Anka miała minę jak osa, która tylko czeka, by kogoś użądlić.

W mijanym po drodze sklepie spożywczym zrobili zakupy – chipsy, sok pomarańczowy, woda gazowana, dwa tanie wina i cztery piwa. Powinno wystarczyć.

Ulice były niemal puste. Upał wytopił z ludzi całą energię. Jeśli już kogoś widzieli, to były to sunące niespiesznie rodziny, każdy z rozpuszczającym się lodem w ręku. Zlizywali z palców białą, słodką maź i śmiali się głośno. Tylko dzieciom nie brakowało sił. Biegały albo jeździły na rowerkach, niewrażliwe na lejący się z nieba żar. Lidka przyglądała się im z uśmiechem. Teraz jedzie na imprezę, ale kiedyś, za parę lat, też będzie tak spacerować, z przystojnym mężem u boku i z płaczącymi się między nogami szkrabami. Bez trudu widziała siebie w roli żony i matki. Tylko jeszcze nie teraz. Zresztą o czym tu mówić, nie ma przecież nawet chłopaka. Ale ma za to piękny lakier, sześć tygodni wakacji przed sobą i perspektywę zarobienia fortuny na udzielaniu korepetycji. Chłopak prędzej czy później sam się znajdzie.

Nagle zauważyła kątem oka jakiś ruch.

Poderwała się i chwyciła Ankę za nadgarstek.

– Hamuj! – krzyknęła.

Rozległ się pisk hamulców i odgłos ciała Grześka uderzającego o fotel kierowcy.

– Kurwa! – zaklął.

Lidka wyskoczyła z auta i zobaczyła zamartwego ze strachu białego teriera z ciągnącą się za nim czerwoną smyczą. Jakaś kobieta doskoczyła do niego i wzięła go na ręce.

– Ja... ja przepraszam – wyjąkała. – On mi się wyrwał... Ja nie zauważyłam...

Lidka, zamiast wnikać w to, jak to możliwe, żeby psiak niewiele większy od wiewiórki wyrwał się dorosłej kobiecie, powiedziała: – Nie szkodzi. Ważne, że nikomu nic się nie stało.

Kobieta spojrzała na nią lękliwie i wciąż tuląc psa w ramionach, odwróciła się na pięcie i pobiegła na chodnik. Lidka wróciła do samochodu.

– Uff... Niewiele brakowało – powiedziała.

Grzesiek na tylnym siedzeniu masował sobie głowę.

– Kurwa, mogłem zginąć – jęknął.

– To zapinaj pasy, jełopie – odparowała Anka. – Kurwa, żeby tylko to wasze wino mi się nie potłukło w bagażniku.

Lidka zacisnęła usta w wąską kreskę. Anka nigdy nie przeklinała. Nigdy.

Teraz wyskoczyła z samochodu i zajrzała do bagażnika.

– I co? – spytała ją Lidka, gdy wróciła do samochodu.

– Całe. Na szczęście – wysyczała.

Lidka zapięła pasy i dwa razy sprawdziła, czy na pewno dobrze trzymają. W sumie to już nie miała wcale ochoty jechać na to ognisko. Najchętniej wróciłaby do domu.

Anka odpaliła silnik, zamigła kierunkowskazem i włączyła się do ruchu.

Wiesław zamknął laptopa. W zasadzie bez sensu go włączał. Odkąd dowiedział się o śmierci Lidii, nie sprawdzał już co pół godziny, czy coś do niego napisała. Teraz pomyślał, że może ktoś miał do niego jakąś sprawę, ale nie – nikt nie miał. Jedyna wiadomość, jaką znalazł na skrzynce e-mailowej, to było zaproszenie na nowe forum zbieraczy monet. Z ciekawości kliknął, ale strona była nadal w budowie. Co za partactwo. Nie znosił partactwa. Ze złością odstawił komputer na stolik i odchylił głowę do tyłu. Zamknął oczy.

„Niedziela” – pomyślał. Poczul ulgę, że nie musi iść do pracy. Wszystkim, którzy chcieli słuchać, opowiadał, że jest z niej zadowolony, ale to nie była prawda. Nienawidził szkoły, nienawidził dzieciaków, nienawidził nauczycieli. Tak, nawet nauczycieli. Patrzyli na niego z góry, jakby był kimś gorszym. Mówili do niego „Panie Wiesiu”. Nikt nie zwracał się do niego „Panie Wiesławie”. Nie okazywali mu szacunku. Mieli się za inteligencję, a ledwo pokończyli te swoje studia. Takich, którzy przyszli uczyć z pasji, było raptem dwóch czy trzech. Na przykład dyrektor. Na niego Wiesław nigdy by nie powiedział złego słowa. Ale cała reszta, może z kilkoma wyjątkami, nie zasługiwała na szacunek, jakiego oczekiwała.

I do tego te dzieciaki – niewychowane przez rodziców, nie szanujące szkoły, durne małolaty. A nawet one patrzyły na niego jak na kogoś gorszego. Od lat podśmiewano się z niego za jego plecami, do tego się przyzwyczyił, ale w ostatnich latach coraz częściej spotykał się z drwinami prosto w twarz. „Panie Wiesiu, gdzie pan kupił ten gustowny sweterek?” Bezczelna gówniażeria. Nieraz wyobrażał sobie, jak chwyta jednego z drugim za kołnierz i daje im nauczkę, prawdziwą nauczkę, jaką prawdziwy mężczyzna powinien umieć zafundować takim kmiotkom jak oni. Ale jakoś nigdy się do tego nie zabrał i nieprzerwanie słyszał za sobą te złośliwe, głupkowate chichoty.

Miał pewne podejrzenia, z czego to się brało, ten brak szacunku dla personelu pomocniczego szkoły. Wszystkiemu winne były te głupie woźne. Banda bezmózgich owiec. Nie nadawały się do niczego innego niż wycieranie podłóg. Gdy tylko miały okazję, zaszywały się w swojej kanciapie, popijały „kawusie” i popalały „papieroski”, łudząc się, a może nawet naprawdę wierząc, że nikt potem nie wyczuwa ciągnącego się za nimi smrodu dymu papierosowego. Nigdy nie był częścią ich grupy. Nie zapraszano go na imieninowe kieliszeczki. Jedynie opłatek. Tak, na opłatek go zapraszały. Nawet te głupie gęsi czuły, że pominięcie go byłoby zbytym nietaktem.

Matka, gdy jeszcze żyła, co jakiś czas podpytywała nieśmiało, czy nie poznał kogoś interesującego. A jakim cudem miał kogoś poznać? Gdzie? Bo przecież nie w pracy, a nigdzie indziej nie chodził. Aż w końcu z pomocą przyszedł mu Internet.

Gdy poznał Lidię, od razu poczuł, że to wyjątkowa osoba.

Taka delikatna. Podobał mu się już sam dźwięk jej imienia: Lidia brzmiało prawie tak samo jak lilia – jego ulubiony kwiat. To nie mógł być przypadek.

Otworzył oczy i sięgnął po kubek z herbatą. Skrzywił się z niesmakiem. Była zimna. Jego wzrok padł na regał, na którym trzymał klasery. Wstał, wziął jeden z nich i znów usiadł na kanapie. Zaczął przeglądać monety. Każda z nich kojarzyła mu się z Lidia.

Widział jej smukłe palce odwracające strony. Obchodziła się z nimi bardzo delikatnie, tak, jak tego oczekiwał. Jego skarby w jej rękach były bezpieczne. On też czuł się przy niej dobrze. Tak dobrze, jak przy nikim innym.

Pamiętał jej uśmiech. Nie był to ordynarny, pusty śmiech, tylko delikatne wygięcie warg, jak u Mony Lizy. Nigdy, ani przez chwilę nie miał wrażenia, aby się z niego śmiała. Lidia się nie śmiała, ona się uśmiechała. Była dla niego miła, z uwagą słuchała tego, co miał do powiedzenia. Była ciekawa, kim jest, a on z przyjemnością jej o tym opowiadał.

No dobrze, może nie był do końca szczery. Nie powiedział jej, że jest w szkole woźnym. Przedstawił się jako nauczyciel historii, ale przecież znał się na historii, z powodzeniem mógłby jej uczyć, więc nie uważał, aby było to jakieś wielkie kłamstwo. Zresztą powiedział jej to, gdy jeszcze nie znali się osobiście, tylko pisali do siebie e-maile. Gdyby wiedział, jak mądrą jest osobą, na pewno by tego nie zrobił. Ale potem nie umiał znaleźć odpowiedniego sposobu, by sprostować sytuację, i tak już zostało. Ale to przecież nie miało żadnego znaczenia.

Włożył wiele trudu w to, by dobrze przed nią wypaść. Wiedział, że Lidia nie jest na tyle prymitywna, by zwracać uwagę na takie detale jak wygląd, ale zależało mu, by miała o nim jak najlepsze zdanie. Gdy powiedziała mu, że przyjeżdża na stałe do Polski, z początku wpadł w lekki popłoch. A co będzie, jeśli jej się nie spodoba? Taka znajomość na odległość całkiem mu odpowiadała, ale może rzeczywiście nadszedł czas, by nadać ich związkowi nową jakość – tłumaczył sobie.

Tydzień przed jej przyjazdem sięgnął do szkatułki, w której mama trzymała pieniądze na czarną godzinę. „W razie czego warto mieć przy sobie trochę grosza, synku” – powtarzała. – „Przy sobie, a nie w bankach, bo z bankami to nigdy nic nie wiadomo”. Wiesław uznał, że chwila, w której te pieniądze będą najbardziej użyteczne, właśnie nadeszła. Poszedł do fryzjera. Nie osiedlowego, ale drogiego, w galerii handlowej. Kupił nowe ubrania – spodnie, koszule, eleganckie buty. Zainwestował w perfumy. Wszak nie należy lekceważyć tego subtelnego zmysłu, jakim jest węch. Był zdziwiony, gdy dowiedział się, ile kosztują dobre perfumy, ale zapłacił tę kwotę bez żalu. Lidia z pewnością była tego warta.

Przed jej przyjazdem posprzątał też mieszkanie, dokładnie je wywietrzył, kupił dobrą kawę i ładne filiżanki.

I w końcu przyjechała. Była dokładnie taka, jak sobie wyobrażał. Delikatnie pachniała liliami, a jej skóra była biała jak śnieg i niemal przezroczysta.

Nie chciał jej spłoszyć. Była damą i należało ją jak damę traktować. Rozmawiali o wielu sprawach. Zaczęli oczywiście od

monet. W końcu mieli okazję na żywo obejrzeć swoje kolekcje, które do tej pory jedynie sobie opisywali. Był zachwycony jej klaserem – czyściutki, schludny, tak samo jak monety. Chciałby go mieć po to, by głaskać strony, które ona głaskała, patrzeć na to, na co ona patrzyła.

Ta dwójka, która wczoraj go odwiedziła, nie była zadowolona, gdy spytał o możliwość odkupienia klasera. Może myśleli, że są tam jakieś cenne okazy, które chce nabyć za bezcen. Uśmiechnął się na tę myśl. Przecież Lidia nie miała cennych monet. Nie miałyby ich za co kupić. Zresztą nawet gdyby miała, i tak by ich nie odsprzedał. Dla niego były cenniejsze niż wszystkie pieniądze świata, bo kiedyś należały do niej. Nikt inny by tego nie docenił. Ale widział, jak w ich oczach rozbłysła podejrzliwość. Nie sprzedadzą mu tego, a im bardziej będzie nalegał, tym większych podejrzeń nabiorą. Być może mógłby obmyślić jakąś strategię, jak wejść w ich posiadanie, przecież nie był głupi, ale tak trudno było mu zebrać myśli...

„Och, Lidia!” – westchnął i poczuł, że zaczyna płakać.

Zawsze był skory do płaczu. Po prostu wrażliwy. „Nie ma w tym nic złego” – tłumaczyła mu mama i on się z nią zgadzał. Gdy tego pierwszego dnia Lidia od niego wyszła, też płakał. Płakał ze wzruszenia. Była taka piękna, taka dobra i taka mądra, tak inna niż te głupie gęsi sprzątaczkę. Delikatna jak lilia. Tym razem pożegnał ją uściskiem dłoni, ale postanowił, mocno sobie postanowił, że następnym razem pocałuje ją w policzek. Na samą myśl o tym czuł, jak uginają się pod nim kolana. Nigdy nie całował nikogo oprócz matki. Ale wiedział, że

nie ma czasu do stracenia. Przecież ona też w oczywisty sposób była nim zainteresowana. Odwiedziła go i była chętna na następne spotkanie. Pieniądze mamy na czarną godzinę zostały mądrze wydane. Mama z pewnością by to pochwaliła.

Gdy Lidia przyszła do niego po raz drugi, znów zaserwował jej drogą kawę w nowych filiżankach. Kupił też szwajcarskie czekoladki i postawił na stole. Postąpiła dokładnie tak, jak oczekiwał – zjadła dwie i pochwaliła ich smak. Nie była gwałtowna, nie była łakoma. Była delikatna, jak lilia. Pomyślał, że w końcu dane mu jest zaznać prawdziwej miłości. Nie żałował, że przyszła dopiero teraz, bo warto było na nią czekać. Szkoda jedynie, że mama tego nie dożyła. Tak bardzo się martwiła, że na starość zostanie sam. „Ale nie, mamo, nie zostanę” – myślał, patrząc na Lidię. Gdy zakomunikowała, że czas na nią, odprowadził ją do drzwi i zgodnie z wcześniejszym postanowieniem, złożył na jej policzku pocałunek. Nieco ją to spłoszyło, ale to dobrze – pomyślał – kobieta właśnie tak powinna się zachować. Gdyby od razu rzuciła mu się na szyję, byłby zażenowany. I umówiła się z nim po raz trzeci. Umówiła się! Przecież to musiało coś znaczyć, prawda? Gdyby nie była zainteresowana, odmówiłaby spotkania – tak sobie to wtedy tłumaczył.

I rzeczywiście przyszła. Piękna i delikatna jak zawsze, a jednak w jakiś sposób zmieniona. Już od progu widział, że coś jest nie tak, wyczuł pewien dystans, którego wcześniej nie było. W pierwszej chwili pomyślał, że być może dowiedziała się o jego drobnym kłamstewku dotyczącym wykonywanego zawodu. Ale

przecież to tylko drobiazg, na pewno zdoła jej to wyjaśnić i znów wszystko będzie jak przedtem.

– Widzę, że coś cię dręczy, Lidio – powiedział, gdy po pół godzinie Lidia nadal nie była w pełni sobą.

– Och, tak? – Dotknęła policzka, jakby chciała ukryć przed nim swe oblicze, na którym wszystko widać było jak na dłoni.

Wiesław pomyślał, że to urocze i nieco go to ośmieliło. Nachylił się do niej i końcami palców dotknął jej dłoni.

– Tak, Lidio. Nie bój się. Możesz mi powiedzieć, o co chodzi.

Lidia spłonęła rumieńcem.

– Cóż, Wiesławie, rzeczywiście, jest coś takiego – przyznała.

– A więc słucham. Mów śmiało.

– Otóż mam wrażenie, że ty... że ty żywisz do mnie pewne romantyczne uczucia. – Spojrzała na niego spod opuszczonych rzęs.

Serce Wiesława zabiło żwawiej. A więc zauważyła. Ale przecież nie krył się z tym zbyt. Teraz i ona wyzna, że jest nim zainteresowana.

– Tak?

– Tak, takie odniosłam wrażenie. I nie chciałabym, abys poczuł się w jakikolwiek sposób zraniony. Jesteś wspaniałym przyjacielem, ale jednak przyjacielem. Chciałabym, żebyś przyjacielem pozostał.

Wiesław nie mógł uwierzyć w to, co wtedy usłyszał.

– Ale jak to? Zrobiłem coś nie tak?

– Nie, Wiesławie, skądże znowu! Ale ja... Chyba lepiej będzie, jak już pójdę. Żegnaj.

Lidia wstała, szybko się ubrała i nie czekając, aż odprowadzi ją do drzwi, wyszła z jego mieszkania.

Wiesław długo nie mógł się pozbierać. Nie dzwonił do niej, nie pisał, ale wciąż o niej myślał. O swojej delikatnej Lidii, swojej lilii. Co poszło nie tak? Czy był zbyt natarczywy? Czy jej się nie spodobał? Przecież był miły, wyglądał lepiej niż kiedykolwiek, dobrze im się rozmawiało, tak idealnie do siebie pasowali. Czy ona tego nie widziała? Jak mogła tego nie dostrzec? Przecież była taka mądra. Postanowił dać jej trochę czasu, żeby to zrozumiała. Ale czas mijał, a ona nadal się nie odzywała. Każdy dzień, każda godzina jej milczenia raniły go jak ciosy nożem prosto w serce. W końcu pomyślał, że lepiej by było, gdyby nigdy jej nie spotkał.

A teraz Lidii już nie ma. Cóż może zrobić? Przecież tylko jedno mu pozostało.

– To nie moja wina, mamó – powiedział do wiszącego na ścianie portretu. – Na pewno zrozumiałabyś, że tak trzeba.

Katarzyna siedziała przed komputerem i usiłowała się skupić. Miała pracę do wykonania i chciała wszystko pozamykać przed powrotem męża. Chłopcy gdzieś wyszli, więc miała cały dom dla siebie, a jednak jakoś jej nie szło. „Niedzielna praca w gównu się obraca” – kołatało jej z tyłu głowy hasło nagminnie powtarzane przez jej mamę. Projektowała właśnie okładkę do książki jakiejś debiutującej autorki. Miała wybrane dwa zdjęcia i teraz musiała stworzyć z nich jakieś sensowne propozycje – niby prosta sprawa, ale zupełnie jej nie szło. Kolory nie pasowały, nie potrafiła znaleźć odpowiednich czcionek, wszystkie te elementy nie chciały spać się w spójną całość. Tak samo, jak historia Lidki.

Nie dawała jej spokoju myśl, że Lidka mogła być w ciąży. Nie wierzyła w takie głupoty jak przecucia, ale mimo to trudno było się ich pozbyć. Były jak bzyczące muchy, które teoretycznie nie powinny przeszkadzać, a jednak potrafią zagarnąć całą uwagę.

Po raz pięćdziesiąty zmieniała kolor tytułu i westchnęła. Nadal coś nie grało. Za ciemny? Za jasny? Zbyt czerwony? Wiedziała, że metodą prób i błędów w końcu trafi na odpowiedni odcień, ale na Boga! Ile można próbować?! W tym momencie usłyszała

szczęk otwieranego zamka.

„Kto to może być?” – pomyślała. Chłopcy zapowiedzieli, że wrócą dopiero przed wieczorem, a mąż miał być nie wcześniej niż o szesnastej.

Ze zdziwieniem obróciła się i zaczęła nasłuchiwać. Z miejsca, w którym siedziała, nie widziała drzwi, ale, tak jak każdy, umiała bezbłędnie rozpoznać domowników po dźwięku ich kroków.

Już po chwili wiedziała, kto zrobił jej niespodziankę. Poderwała się z krzesła i wybiegła na korytarz, krzycząc:

– Michał!

Podbiegła do męża, rzuciła mu się na szyję i mocno ścisnęła. Nie było to łatwe, bo był potężnym mężczyzną. Powinien schudnąć, i to sporo, ale ona nigdy nie miała serca pilnować jego diety. Jego nadwaga jej nie przeszkadzała. Takiego go kochała.

– Cześć, Kasiu. Coś się stało? – spytał nieco zdezorientowany.

– A to musi od razu coś się stać, żeby żona przytuliła się do męża? – wybełkotała w jego kurtkę.

– Nie, oczywiście, że nie – zaśmiał się tubalnym głosem. – Ale zwykle tak mnie nie witasz. Czekaaj, zdejmę kurtkę, bo zaraz będę cały mokry.

Puściła go, a on się rozebrał i zdjął buty.

– Chcesz herbaty albo kawy? – spytała.

– Nie, Kasiu, może potem. Chodź, usiądziemy i opowiesz mi, co się stało.

Ruszył do salonu. Katarzyna spojrzała z miłością na jego

ciężką sylwetkę. Dobrze mieć kogoś takiego jak on. Jak trudno musiało być Lidce bez kogoś, kto zawsze jest gotów cię wysłuchać. A może ktoś taki był, tylko Lidka nic Katarzynie nie powiedziała? Katarzyna dopiero teraz dostrzegала, jak płytka była ich relacja. Miała wyrzuty sumienia, że do tego dopuściła, że pozwoliła, żeby ich znajomość tak się rozlazła. „Jeśli już ktoś jest obecny w naszym życiu, to trzeba starać się, by był obecny naprawdę, a nie tylko fasadowo” pomyślała i od razu dodała: „Mądry Polak po szkodzie...”.

Poszła za mężem i usiadła obok niego na kanapie. Nogi podkuliła pod siebie i wsunęła dłonie w jego wielką dłoń. Mimo że dopiero wrócił z dworu, była cieplejsza niż jej ręce.

– No, mów – zachęcił ją Michał, pocierając jej dłonie, by trochę je rozgrzać. To był ich rytuał – ze względu na kiepskie krążenie Katarzyna nawet w największy upał miała chłodne palce.

– Lidka...

– No, ta twoja przyjaciółka. – Kiwnął głową na znak, że wie, o kim mowa.

– Nie żyje.

– O Boże, Kasieńko, co ty mówisz? Co się stało?

Opowiedziała.

– I mówisz, że ci jej znajomi, czy kim tam oni byli, podejrzewają, że ktoś celowo ją przejechał?

– Tak. Zresztą jak się nad tym zastanowić, to rzeczywiście ma sens. I wiesz, co jeszcze mi przyszło do głowy?

– Hmm? – Uniósł pytająco brew.

– Czy ona nie była w ciąży.

– Teraz?

– Nie, oczywiście że nie. Zresztą, nawet jeśli teraz była, to policja szybko do tego dojdzie. Ale mi chodzi o moment, w którym wyjechała za granicę.

– Ponad dwadzieścia lat temu... – powiedział powoli. – A skąd ten pomysł?

– No nie wiem... Wtedy wyjechała tak nagle. Może chciała ją, no wiesz... usunąć. – Teraz, gdy Katarzyna na głos wypowiadała swoje domysły, z każdym słowem czuła, jak absurdalnie brzmią. Póki trzymała je w głowie, wyglądały bardziej racjonalnie.

Michał zmarszczył brwi i w zamyśleniu potarł brodę.

– A nawet jeśli by tak było, to czy twoim zdaniem ta ciąża miałaby jakiś związek z obecnym potrąceniem? – spytał.

– Nie wiem, nie myślałam nad tym, ale nie sądzę. Po tylu latach? Myślisz, że po tylu latach to mogłoby jeszcze mieć znaczenie? Może dla niej tak. Ja bym ciąży w życiu nie usunęła i myślę, że jeśli już kobieta podejmuje taką decyzję, to nigdy już o tym nie zapomina. Ale żeby ktoś inny? Nie wydaje mi się. A ty jak myślisz?

– Podobnie – zgodził się Michał. – Chyba że ojciec. Ojciec dziecka mógłby żywić do niej urazę. Ale i to wydaje mi się naciągane. Tyle lat by czekał, by zemścić się na niedoszłej matce swego dziecka? – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – A poza tym chyba w tamtym czasie byliście ze sobą dość blisko, prawda?

Katarzyna poznała Michała rok po wyjeździe Lidki, więc

tamten okres jej życia znał jedynie z opowiadań.

– Tak. Nie byłyśmy wprawdzie najlepszymi przyjaciółkami, ale można powiedzieć, że nasza znajomość mocno się o przyjaźń otarła. Potem kontakty, jak wiesz, trochę się rozluźniły, ale wtedy tak, byłyśmy dość blisko.

– I myślisz, że nie powiedziałyby ci o ciąży? A nawet jeśli by ci nie powiedziała, to czy ty byś niczego nie zauważyła?

– No nie wiem, ten jej wyjazd zdarzył się tak szybko...

– Zgoda, ale chyba zaraz po wyjeździe korespondowałyście, zgadza się?

– Tak.

– I sądzisz, że w tych listach nie zdradziłyby się przed tobą? Dziewczyny w tym wieku potrzebują się wygadać.

– Prawda. – Katarzyna pokiwała głową. – Tym bardziej, że niedługo przed tym wyjazdem jej najlepsza przyjaciółka zginęła w jakimś wypadku. Myślę, że rzeczywiście wygadałyby się mnie, gdyby już miała komuś o tym powiedzieć.

– A skoro nic takiego nie miało miejsca, to chyba troszkę nadinterpretujesz, kochanie. Tym bardziej, że przecież wcale nie trzeba było wyjeżdżać z kraju, by pozbyć się ciąży. Prawo prawem, ale możliwości zawsze przecież były. Wyjazd miałby większy sens, gdyby chciała to dziecko urodzić, ale z jakichś względów nie mogłaby zrobić tego tu, na miejscu. Jednak tego już by tak łatwo nie ukryła.

– Pewnie masz rację. – Katarzyna potoczyła wzrokiem po pokoju i nagle coś przyszło jej do głowy. – A wiesz, że ja te listy, które mi przysyłała, chyba gdzieś jeszcze mam? Wtedy listy z

Anglii to było coś! Nie wyrzucałam ich. A potem listy jako takie w ogóle się skończyły i tym bardziej szkoda mi było się ich pozbywać. Tylko w której szufladzie ich szukać? – W zamyśleniu postukała palcem w dolną wargę.

– Potem poszukamy. – Michał objął ją ramieniem. – Jak chcesz, to ci pomogę. Ale z tego, co widzę, to na razie ślęczysz nad pracą. – Skinął głową w kierunku biurka, na którym walało się mnóstwo papierów, a wyświetlacz pokazywał żenujący efekt niedzielnej pracy.

– Tak, wczoraj nie miałam do tego głowy. Zabrałam się za to, jak tylko chłopcy wyszli, i chciałam skończyć, zanim wrócisz. A w ogóle to czemu tak szybko przyjechałeś?

– Ach, tak mi się udało. Pokończyłem wszystko wcześniej, droga była pusta i oto jestem. – Usłyszeli dzwonek do drzwi. – A oto jest chińszczyzna!

– Chińszczyzna?

– Tak! Zamówiłem po drodze. Masz ochotę?

– Pewnie!

– Dla chłopców też wzięłem, ale to sobie potem odgrzeją.

Podniósł się z kanapy z ciężkim sapnięciem i ruszył do drzwi. W czasie, gdy odbierał zamówienie, Katarzyna podeszła do biurka i zgarnęła papiery w zgrabną kupkę. Postanowiła zrobić sobie przerwę w pracy. Czasem trzeba dać głowie odpocząć, by znów zaczęła pracować jak należy. Wyłączyła monitor. Wróci do tego później. Po jedzeniu zabierze męża na spacer. Po obiedzie przyda mu się trochę ruchu. Listy od Lidki też będą musiały poczekać, ale cóż. Spacer warto zaliczyć przed zachodem

słońca, na drugim miejscu była praca – jutro musiała oddać gotowe propozycje okładek. W listach i tak zapewne nie będzie nic ważnego. Michał na pewno ma rację – coś sobie uroiła i tyle. Całe szczęście, że się wstrzymała i nie zadzwoniła od razu do tej Agaty i jej przyjaciela – nie pamiętała imienia. Tylko narobiłaby bigosu.

Agata stała nad umywalką i w napięciu wpatrywała się w trzy testy, które dopiero po kilku minutach miały dać wynik. Kto by pomyślał, że kilka minut może trwać w nieskończoność? Ciągnęły się i ciągnęły, jak przydługie kluski w spaghetti. W dłoni gmiotła butelkę po wodzie mineralnej. Opiła się jak bąk, by mieć pewność, że natychmiast po powrocie do domu da radę zrobić siusiu. Butelka trzeszczała, a od zapachu odświeżacza do toalety zaczynała boleć ją głowa.

„No, ile jeszcze?” – jęknęła.

I wtedy, jeden po drugim, testy zaczęły dawać wyniki.

Dwie kreski. Dwie kreski. Dwie kreski.

W każdym przypadku kreski testowe były równie silnie zaznaczone jak kontrolne. Nie mogło być mowy o pomyłce.

Z całą pewnością była w ciąży.

Poczuła, jak jej ciało się spina, jakby miała zaraz wystartować do biegu. Spojrzała w lustro i uśmiechnęła się do siebie. Tak, teraz była już pewna, że to jest dobra wiadomość. Jak by nie było, cieszyła się z tego dziecka. Może nie było to do końca rozsądne, bo jeszcze dwa dni temu miała wątpliwości, czy w ogóle chce z Kermitem zamieszkać, ale być może tego właśnie potrzebowała – by los zdecydował za nią. Gdy człowiek tchórzy,

czasem dobrze, gdy palec Opatrzności popchnie go we właściwą stronę.

Położyła rękę na brzuchu. Myśl, że gdzieś tam w środku rośnie dziecko, prawdziwe dziecko, była absurdalna, ale i cudowna. Towarzyszyła Aśce przy trzech ciążach, więc dobrze wiedziała, z czym to się wiąże – przynajmniej teoretycznie. Najpierw przez trzy miesiące będzie chodziła jak zombie (ten etap już trwał), potem będzie się czuła jak królowa świata, a następnie upodobni się do słonia i będzie marzyła już tylko o tym, by ktoś to dziecko z niej wyjął, nawet kosztem nieprzespanych nocy i debatowania z pediatrą nad kolorem i konsystencją kup noworodka. Tak, to wszystko przed nią. A potem najważniejszy etap, czyli bycie mamą. Coś, co już nigdy się nie skończy. W zasadzie już teraz czuła się jak mama. W końcu już miała dziecko. Co z tego, że nikt go jeszcze nie widział, że nie miało imienia, że ważyło jakieś setne części grama? To nie czyniło go mniej realnym. Tak, była mamą. Czuła się mamą i było jej z tym dobrze.

Trzeba będzie zawiadomić Kermita. Jak i kiedy to zrobić? Teraz? Dzisiaj? Na pewno nie przez telefon. Obiad u Teresy i Jacka też wydawał się kiepskim momentem na ogłaszanie takich wiadomości. Chwila przed obiadem – też nie bardzo. Kermita mogłaby rozsadzać trudna do ukrycia ekscytacja, a Agata przynajmniej przez trzy pierwsze miesiące chciała zachować tę wiadomość dla siebie. To znaczy siebie, Kermita i oczywiście Aśki, bo ta nie da jej już spokoju. Zresztą nie miała w zwyczaju ukrywać czegokolwiek przed siostrą. Ale nie

chciała, by ktokolwiek więcej o tym wiedział, nawet wujek Antek. Gdyby nie daj Boże coś się stało, nie chciała, by ktoś się nad nią litował.

Lecz choć nie był to dobry moment na ogłaszanie nowych wiadomości, i tak zapragnęła usłyszeć głos Kermita. Bardzo tego w tym momencie potrzebowała. Chwyciła za telefon i zadzwoniła do niego.

Cisza. Nie odebrał.

Spróbowała jeszcze raz. Znów nic.

Poczuła delikatną irytację. Jasne, rozumie przecież, że on pracuje, ale odebrać by mógł, prawda? Przecież mogło coś się stać, mogła go potrzebować. Nie powinien tak zupełnie odcinać się od świata.

Pomyślała, że mogłaby wysłać mu maila. Maila na pewno by odebrał, ten zwierz internetowy! Ale nie, nie zrobi tego. Co by mu miała napisać? Że chce usłyszeć jego głos? Nawet na jej ciężowy rozum brzmiało to dość głupio. Da mu na razie spokój. Do obiadu u Teresy i Jacka zostały jeszcze trzy godziny, więc Kermit i tak niebawem się odezwie.

A tymczasem trzeba zadzwonić do Aśki. Ale chciała pobyc jeszcze chwilę ze sobą, oswoić się z nową sytuacją, zanim w rozmowie z siostrą rozłoży ją na czynniki pierwsze. Napisała więc SMS-a:

„ŁUUUUUU!!!”

Aśka trafnie odczytała jej potrzeby, bo odpisała tylko:

„GRATULACJE!!! ŁUUUUUUU! Zadzwon, jak będziesz gotowa gadać. CZEKAM!!!”

Agata uśmiechnęła się i włożyła telefon do kieszeni. Zgarnęła testy z umywalki. Nie miała najmniejszego zamiaru ich wyrzucać. Były pierwszym i jak na razie jedynym namacalnym dowodem istnienia jej dziecka. Ich dziecka. Ułożyła pudełeczka na parapecie, by mieć je cały czas na oku.

Zaparzyła sobie herbatę. Rumianek z karmelem. Przyda jej się trochę uspokojenia, teraz musi o siebie dbać. Pomyśleć, że jeszcze pół godziny temu fikała w rytm pokrzykiwań trenerki fitness, by tylko odzyskać swój zwyczajowy wigor! Na myśl o tym wybuchnęła dzikim śmiechem. Rzeczywiście, trzeba być asem, żeby zdiagnozować ciążę jako nieco przedwczesne przesilenie wiosenne. Całe szczęście, że Aśka naprowadziła ją na właściwy trop!

Na myśl o tym poczuła, że wesołość ją opuszcza, a ogarnia smutek. Aśka... To świetnie, że miała wsparcie w starszej siostrze, ale po raz pierwszy od dawna pomyślała, że brakuje jej matki. Gdy była nastolatką, jej rodzice zginęli w wypadku. To był ich pierwszy wyjazd bez córek. Wynajęli chatkę w górach. Okazało się, że instalacja gazowa była wadliwa i zabił ich czad – cichy zabójca. Na początku oczywiście było jej ciężko, ale z czasem nauczyła się żyć bez rodziców i, jeśli miałyby być szczerą, to musiałyby przyznać, że nie myśli o nich już tak często, jak kiedyś. Obiecała sobie, że w tygodniu postara się podjechać do nich na cmentarz, zapalić symboliczny znicz. Zwykle jeździła tam z Aśką albo z wujkiem Antkiem, ale tym razem czuła, że chce pobyć tam sama. Sama ze swoimi myślami i z rodzicami. Na pewno bardzo by się z nią cieszyli.

Otarła łzę, która cichaczem wymknęła się spod powieki.

Upiła łyk herbaty i pomyślała, że to nie jest dobry czas na rozmyślania, które wzbudzają melancholię. Miała dziś przed sobą jeszcze ten obiad u Teresy i Jacka i nie chciała wystąpić na nim pod postacią śniętej ryby. Skoro i tak ma wolne popołudnie, to mogłaby zająć się czymś produktywnym, czyli na przykład zastanowieniem się, kto mógłby stać za śmiercią Lidki. Kermit zapewne właśnie lustrował w sieci Wiesława. Ona nie miała wystarczających umiejętności, aby mu pomóc, ale może za pomocą kartki, ołówka i odrobiny skupienia też uda jej się do czegoś dojść.

Wzięła notatnik oraz ołówek i rozłożyła się na kanapie.

A więc co wiemy na pewno? Wiemy, że Lidka została potrącona i na rzecz obecnych rozważań zakładamy, że ktoś zrobił to celowo. Możliwość, że był to przypadek, wprawdzie istniała: sprawca potrącił ją niechcący, przestraszony cofnął się, a potem zdjęty lękiem postanowił jednak uciekać i z braku innej opcji (nie ma możliwości skrętu w bok ani cofnięcia się – za nim stał już samochód) przejechał po niej jeszcze raz, niefortunnie trafiając kołem prosto w głowę. Jednak to wytłumaczenie wydawało się mało prawdopodobne. Intuicja podpowiadała Agacie, że było to jednak celowe działanie.

Co wiemy o sprawcy? Wiemy, że ma, a raczej miał samochód. Ale to nie zawęży kręgu podejrzanych. Tym bardziej, że to opel astra, a nie jakiś lexus. Opla astrę może mieć każdy, nawet taki nieudaczny życiowy jak Wiesław Kochanowski. Poza tym ten ktoś umie auto prowadzić. Ale to też nikogo nie wyklucza.

Ponadto na pewno ta osoba wiedziała, gdzie Lidka pracuje. Z tym, że to nie była żadna tajemnica – wiedziała o tym jej matka i zapewne jej znajomi, wiedziała Katarzyna, zapewne wiedział również Wiesław. O kim jeszcze z jej otoczenia wiemy? O Grześku, bracie Kermita. Czy on mógł o tym wiedzieć? Od matki się nie dowiedział, bo z tego, co Agata wie, nie mają ze sobą kontaktu. Ale są przecież inne drogi dotarcia do tej informacji i wcale nie trzeba mieć do tego umiejętności takich jak Kermit.

Agata sięgnęła po laptopa i już po chwili wstukiwała w wyszukiwarkę nazwisko Lidii. Tak, dobrze jej się wydawało. Dziewczyna po przyjeździe do Polski założyła konta na GoldenLine i LinkedIn, żeby ułatwić sobie znalezienie pracy, a gdy już tę pracę znalazła, nie omieszkała umieścić w sieci informacji o nowo zdobytej posadzie.

Tak więc nawet jeśli Grzegorz nie kontaktował się z nikim z bezpośredniego otoczenia Lidii, to bez problemu mógł się dowiedzieć, że wróciła do Polski i gdzie pracuje. Pytanie, czy miał powód, by targnąć się na jej życie? Czy wtedy, ponad dwadzieścia lat temu, zdarzyło się coś takiego, co spowodowało, że przez te wszystkie lata tylko czekał na okazję, by Lidię zabić? Z jednej strony wydawało się to absurdalne, ale przecież po śmierci Anki on też zniknął. Agata nie mogła pozbyć się wrażenia, że to, co wtedy się stało – cokolwiek to było – miało jakiś związek z obecną tragedią. Ból po stracie przyjaciółki na pewno był dojmujący, ale czy sam w sobie był wystarczającym powodem, by zniknąć na tyle lat? Agacie wydawało się to nieco

naciągane. Czuła, że kryje się za tym coś więcej.

Jednak sposób działania mordercy nie pasował jej do młodego, ogarniętego żądzą mordy chłopaka. Taki ktoś raczej podążyłby za Lidką do Anglii i tam by ją dopadł, a nie czekałby całe lata w nadziei, że ona wróci. Przecież wcale nie było powiedziane, że Lidka zamierza wracać do kraju, a on o jej zamiarach, kiedykolwiek je powzięła, nie mógł wiedzieć. Chyba że... chyba że ta dwójka cały czas pozostawała w kontakcie. To, że Grzegorz nie kontaktował się z rodziną, nie znaczy, że nie utrzymywał kontaktu z dawną przyjaciółką. Choć gdyby tak było, to Kermit zapewne natrafiłby na jakiś ślad tej relacji w mailach Lidki, a o niczym takim nie wspominał. Jednak poprzednio przejrzał je tylko pobieżnie. Dziś miał pogrzebać głębiej. Może właśnie dlatego się nie odzywa, bo trafił na jakiś ślad relacji między Lidką i Grzegorzem? To przecież jego brat, więc zanim jej o tym powie, na pewno będzie chciał sam to przemyśleć, sprawdzić wszystko dwa razy. Poza tym mogli przecież pozostawać w kontakcie telefonicznym, nie tak łatwym do wyśledzenia. Gdy Lidka wyjeżdżała, nikt jeszcze o mailach nie słyszał, więc może nigdy się na nie nie przeczucili i do końca pozostali przy starych, dobrych telefonach? O ile w ogóle byli w kontakcie... Jeśli tak było, kto mógł o tym wiedzieć?

Z dostępnych źródeł najprędzej wiedziałyby o tym Katarzyna. Wprawdzie, jak sama powiedziała, nie była z Lidką w bardzo zażyłych stosunkach, ale skoro od czasu do czasu rozmawiały, to mogło zejść i na temat Grzegorza. Gdy brak wspólnych tematów, rozmowa łatwo wędruje w kierunku pytań typu „A co

słysząc u...?”. Może Katarzyna kiedyś o to spytała? Ta informacja mogłaby być bardzo cenna. Agata przy imieniu Katarzyny zanotowała, by ją o to koniecznie dopytać. Zadzwoiła do niej jakoś w tygodniu i spróbuje delikatnie się tego dowiedzieć. Przy pierwszym spotkaniu tak dobrze im się rozmawiało. Agata od razu zapalała do niej sympatią i choć przez chwilę zastanawiała się, czy Katarzyny nie należałoby włączyć do grona podejrzanych, szybko odrzuciła tę myśl. Nie była w stanie wymyślić żadnego punktu zaczepienia, na którym miałyby opierać się hipoteza o jej winie. Nie widziała powodu, dla którego kobieta miałaby czyhać na życie koleżanki. Oczywiście Katarzyna mogła kłamać, mówiąc o łączącej ich znajomości „z rozpędu”, ale Agata nie wychwyciła fałszu w jej słowach.

Co innego Wiesław Kochanowski. Dawno nie spotkała tak śliskiego, nieprzyjemnego człowieka. Nadal miała poczucie, że wrażenie, które odnieśli ona i Kermit, nie było mylne – Wiesław najprawdopodobniej był w Lidce zakochany, a gdy zakochuje się ktoś taki jak on, to rzadko jest to subtelne uczucie. Choć nie umiała tego jasno uzasadnić, Wiesław ją przerażał. Był wręcz książkowym przykładem psychopaty – żyjący pod skrzydłami matki, niedostosowany społecznie, zamknięty we własnym świecie. A gdy urywek normalności, jakim była Lidka, wkroczył do tego zamkniętego świata, Wiesław zapewne uchwycił się go i nie chciał wypuścić z rąk za żadne skarby. Musiał być zachwycony tym, że ktoś taki jak ona poświęcał mu czas i uwagę. Być może w Internecie kreował się na kogoś

innego. Niewykluczone, że pewnych rzeczy nie dopowiedział (na przykład tego, że wciąż mieszka z matką), inne podrasował (choćby swoją posadę woźnego w szkole). Lidka, rozmawiając z nim na forum, a potem przez e-mail, mogła wytworzyć sobie zupełnie mylne wyobrażenie na temat tego, jakim jest człowiekiem. Pełna dobrej wiary przyjechała do Polski, umówiła się z nim i zorientowała się, jak się sprawy mają. Głupio jej było od razu zerwać kontakt, więc spotkała się z nim kilka razy. Być może nie umiała odmówić. Ale żeby odwzajemnić jego uczucia? Tego Agata nie mogła sobie wyobrazić. Wprawdzie nie znała Lidki zbyt dobrze, ale na pierwszy rzut oka wyglądała na całkiem normalną, sympatyczną dziewczynę. A Wiesław... No cóż, o nim nie można było powiedzieć tego samego. Agacie było go żal, być może Lidii też, ale było w nim coś, co sprawiało, że wolała trzymać go na dystans. Kermit być może właśnie teraz prześwietla go w Internecie. Nie będzie zdziwiona, jeśli znajdzie coś podejrzanego.

Agata jednym haustem wypiła resztkę zimnej herbaty. Odstawiła kubek i przyjrzała się zapisanej kartce. Udało jej się dość dobrze podsumować to, co miała w głowie. Choć nie, czegoś tu brakowało. Agata miała wrażenie, jakby umykał jej jakiś istotny element całej tej układanki. Jasne, że nie mogli wiedzieć wszystkiego o sytuacji Lidii – ani ona, ani Kermit – ale czuła, że brakująca część jest tuż pod powierzchnią świadomości i wystarczy jeszcze dosłownie chwila skupienia i się wynurzy.

I nagle przyszło olśnienie. Jeszcze tylko jedną rzecz musiała

sprawdzić w Internecie – na szczęście informacja, której poszukiwała, była dostępna też dla takich komputerowych laików jak ona.

Bingo! Trafiła! Jak na razie wszystko zdawało się do siebie pasować! Trzeba tylko jeszcze jakoś sprawdzić, czy jej podejrzenia nie są tylko rojeniami ciężowego umysłu – nie wiedziała, na ile hormony zawładnęły jej zdrowym rozsądkiem – ale na pewno znajdzie jakiś sposób, by się upewnić. Sprawa była zbyt poważna, by otwarcie rzucać niepotwierdzone oskarżenia. Telefon do Zawady to ostateczność.

Była tak zanurzona w rozmyślaniach, że na dźwięk dzwoniącej komórki aż podskoczyła. A dzwonił nie byle kto – Kermit! Ojciec jej dziecka.

– No, hej – przywitała się.

– Agata, szykuj się. Będę u ciebie za piętnaście minut.

– Piętnaście minut?! – Szybko zerknęła na wiszący na ścianie zegar. – Przecież jest dopiero trzecia, a Teresa zapraszała nas na piątą!

– Tak, wiem, ale mamy przedtem sprawę do załatwienia.

– Jaką?

– Złożymy wizytę naszemu drogiemu przyjacielowi Wiesławowi. Od początku nam się nie podobał i chyba intuicja nas nie zawiodła.

– Znalazłeś coś na niego?

– Opowiem ci po drodze. Nie mamy czasu do stracenia, jeśli nie chcemy spóźnić się na ten obiad. Widzimy się za kwadrans.

– Dobra, pa!

Pierwszą rzeczą, jaką Agata spakowała do torebki, były trzy pozytywne testy ciążowe. Nie chciała rozstawać się z nimi nawet na chwilę.

– Słuchajcie, ja idę na spacer. Ma ktoś ochotę dołączyć? – spytała Maria, wstając od stołu.

Przed południem zadzwoniła do Piotra i gdy dowiedziała się, że ma dziś jakieś swoje sprawy do załatwienia, postanowili ze Stanisławem zostać u Polków. Chcieli spędzić jak najwięcej czasu z dawno niewidzianymi przyjaciółmi. Z synem, rzecz jasna, też, ale z nim zobaczą się przecież w Wielkanoc, a z Polkami nie wiadomo kiedy znów będą mieli okazję trochę pobyc. Oczywiście już kilkakrotnie zapraszali ich do siebie w Bieszczady, ale przez lata życia z daleka od Warszawy nauczyli się już, że deklaracje o odwiedzinach łatwo jest rzucać, a gdy przychodzi do ich realizacji, zaczynają piętrzyć się różne przeszkody. Czuli podskórnie, że Teresa i Jacek nie tak prędko ich odwiedzą. Co innego Zosia. Jej dobrze by zrobił wypad poza miasto. Może poza Warszawą łatwiej jej będzie się pozbierać? Maria postanowiła, że jeszcze z nią o tym porozmawia. Ale nie teraz. Teraz chciała pobyc chwilę sama. Rzucona przez nią propozycja spaceru była czysto kurtuazyjna. Wybrała moment, w którym szansa, że ktoś będzie chciał do niej dołączyć, była minimalna. Teresa i Zofia właśnie zaczęły oglądać kolejny odcinek serialu, który, jak wywnioskowała z wcześniejszej

rozmowy, śledziły regularnie. Jacek i Stanisław pośmiali się z nich chwilę, po czym włączyli komputer i zaczęli oglądać samochody terenowe. Ona i Stanisław już od kilku miesięcy planowali pozbyć się swojej wysłużonej toyoty na rzecz auta bardziej dopasowanego do pozamiejskich warunków. Mąż w końcu znalazł kogoś, kto mógł mu w tym trochę pomóc. Wprawdzie Jacek zupełnie nie znał się na samochodach, nawet nie miał prawa jazdy, ale był za to dużo bardziej biegły w obsłudze Internetu niż oboje Janachowie. Mieli zamiar poprosić o pomoc Piotra, ale jakoś się nie składało. Dlatego Stanisław chętnie przystał na propozycję pomocy ze strony Jacka.

W rezultacie nikt nie był zainteresowany spacerem. Chwyciła więc w dłoń komórkę i starając się ukryć zadowolenie z powodu braku towarzysza, odparła: – Jak chcecie. To ja wrócę za jakąś godzinę.

W korytarzu ubrała się, uważając, by nie zaciąć suwakiem bluzki, którą pożyczyła jej Teresa. We wczorajszej czułaby się nieświeżo. Naprawdę była pod wrażeniem gościnności Polków, gdy rano przy łóżku znalazła czyste komplety odzieży – jeden dla niej, drugi dla Stanisława.

Gdy była już ubrana, jeszcze raz odwróciła się, by sprawdzić, czy nikt nie zmienił zdania, ale nie – mężczyźni rozmawiali cicho, nachyleni nad ekranem laptopa, a kobiety w milczeniu śledziły losy serialowych postaci. Upewniwszy się jeszcze raz, że ma w kieszeni telefon, wyszła na dwór.

Naciągnęła czapkę głęboko na czoło, a szyję i policzki owinęła szalikiem. Nie dlatego, że było jej chłodno, choć powietrze

niosło jeszcze ze sobą wyczuwalny powiew zimy. Otuliła się tak dlatego, że nie chciała, by ktoś ją rozpoznał. Na ulicy na pewno mieszkało jeszcze wielu jej dawnych sąsiadów, a nie miała teraz ochoty na żadne rozmowy. Miała coś do załatwienia. Włożyła ręce do kieszeni i mocno ściskając w dłoni telefon, ruszyła przed siebie szybkim krokiem.

Denerwowała się przed rozmową, którą zamierzała odbyć. W myślach tworzyła różne scenariusze. Zastanawiała się, w jakie słowa ubrać to, co miała do powiedzenia. Z jednej strony chciała jak najszybciej mieć to za sobą, z drugiej zaś trudno było jej się zdobyć, by wyjąć telefon i wybrać numer. Niby prosta czynność, a czasem bywa taka trudna.

Po drodze mijala kawiarnię. Kiedyś jej tu nie było. Pamiętała, że w tym miejscu był fryzjer, z którego usług skorzystała tylko raz. Obciął ją tak, że potem sama w domu za pomocą nożyczek do papieru musiała doprowadzić fryzurę do w miarę akceptowalnego kształtu. Jednak zdjęcie kawy w witrynie wyglądało bardzo zachęcająco. Weszła do środka i zamówiła latte na wynos. Podany napój odrobinę dosłodziła i ściskając w dłoni ciepły, tekturowy kubek, wyszła na zewnątrz.

Nieopodal był plac zabaw, a obok niego kilka ławek. Teraz nikogo tu nie było. Maria zastanowiła się, czy to ze względu na chłód, czy może dzieci w ogóle teraz rzadko korzystają z placów zabaw. A może po prostu ten nie był tak atrakcyjny jak inne? Metalowe sprzęty z poodpryskiwaną farbą, stojące na ubitej, pozbawionej trawy ziemi, wyglądały dosyć archaicznie w porównaniu ze współczesnymi placami z milionem atestów i

podłożem z tartanu. A kiedyś wydawał się taki nowoczesny... Gdy Piotruś był mały, spędzała tu całe godziny. Tylko deszcz albo siarczasty mróz były w stanie zatrzymać ich w domu. Nawet zimą w cieplejsze dni dzieciaki zjeżdżały po zjeżdżali, huśtały się na huśtawkach i śmigały po drabinkach. Takie pustki jak teraz były nie do pomyślenia.

Grzesiek czasem przychodził z nimi. Gdy był już za duży, by się bawić, siadał z książką i czytał. Pamiętała, jak wpatrywała się w jego długie, chude kończyny, wpadające do oczu włosy i zgarbione plecy, i zastanawiała się, gdzie się podziało to dziecko, którym kiedyś był. Zawsze lubił tu z nimi przesiadywać. To miejsce miało w sobie coś takiego, że przyciągało ludzi. Gdy zapadał już wieczór i zaganiane prośbą i groźbą dzieciaki wracały do domów, na placu pojawiała się młodzież. Grzesiek, Anka i Lidka też tu bywali. Wsiadali na huśtawki, wspinali się na szczyt zjeżdżalni i potrafili przegadać tu całe godziny. Już nie dzieci, jeszcze nie całkiem dorośli, z jakiegoś powodu po prostu dobrze się tu czuli.

Wczorajsza nocna rozmowa z Jaculą sprawiła, że wspomnienia zaczęły powracać z nową siłą. Maria od rana myślała niemal tylko o Grześku. Sięgała pamięcią do dawnych lat, jeszcze raz dokładnie analizując wszystkie zapamiętane albo podsunięte przez podstępny umysł obrazy dawnych wydarzeń. Po tylu latach nie mogła być już pewna, co rzeczywiście się wydarzyło, a co sobie dopowiedziała. A jednak starała się posklejać z tych strzępków coś, co pomogłoby jej zrozumieć syna. Jakie problemy poza śmiercią przyjaciółki

mógł mieć Grzegorz? Co wydarzyło się między trójką przyjaciół? A może zniknięcie Grzegorza było spowodowane czymś zupełnie niezwiązanym z Lidką i Anią?

Upiła łyk gorącej kawy. Napój przyjemnie rozgrzał ją od środka. „Nie ma sensu dłużej zwlekać” – postanowiła.

Wyjęła telefon i wybrała numer.

Biiip, biiip, biiip – rozbrzmiał jednostajny sygnał oczekiwania na połączenie.

„Pewnie i tak nic z tego nie będzie” pomyślała Maria.

Już miała się rozłączyć, gdy nagle sygnał umilkł. W słuchawce usłyszała szum ulicy. Telefon został odebrany, a jednak nikt się nie odzywał. Ona też, choć przecież wiele razy w myślach odbywała tę rozmowę. Teraz jednak nie wiedziała, co powiedzieć. Głos uwiązał jej w gardle.

– Mama? – usłyszała w końcu.

– Grzesiu... – wydusiła i zakryła usta dłonią. „Żeby tylko się nie rozplakać”, przestrzegła się w myślach. Skupiła się na oddechu. Minęła chwila, zanim poczuła, że może się odezwać, że z jej ust wypłyną słowa, a nie niekontrolowany szloch. – Grzesiu, tu mama – powiedziała zupełnie bez sensu. Przecież wiedział, kto dzwoni.

Chwila ciszy.

– Cześć, mamó. – Głos Grzegorza drżał. – Jak tam u was? Wszystko w porządku?

– Tak, tak. Tata i ja jesteśmy zdrowi.

– A Piotrek?

– Piotrek też. Lepiej powiedz, jak ty się trzymasz.

– W porządku.

Maria westchnęła. Rozmawiali jak dwoje zupełnie obcych sobie ludzi. Gdy dłuższy czas nie mieli kontaktu, myśląc o Grześku, widziała chłopca, jakim kiedyś był. Ta wymiana zdań boleśnie uświadomiła jej, że był dorosłym, nieznanym jej mężczyzną. Ten głos... tak rzadko go słyszała, że wciąż ją zaskakiwał tym, jak dojrzałe i głęboko brzmi.

– Gdzie mieszkasz?

– Mamo...

– W porządku – wpadła mu słowo. Nie chciała go przestraszyć. Nie chciała, by teraz się rozłączył. – Nie musisz mi mówić.

– W Łodzi. Wróciłem do Łodzi.

Łódź... Tak blisko Warszawy. Gdyby wsiadła w samochód, mogłaby tam być w dwie godziny.

– Grzesiu, chciałam z tobą porozmawiać o Lidce Kani. Ona... – Przez chwilę szukała odpowiednich słów. Często najlepsze są słowa najprostsze. – Grzesiu, ona nie żyje.

– Lidka nie żyje... – powtórzył jak echo.

Maria, nie czekając na pytania, sama opowiedziała mu, co się zdarzyło.

– Pomyślałam, że może będziesz chciał przyjechać na jej pogrzeb. Kiedyś byliście tak blisko.

– A kiedy ten pogrzeb ma być?

– Nie wiem. Nikt tego jeszcze nie wie.

– Aha.

– Zadzwoń do ciebie, gdy będzie coś wiadomo.

– Tak, dobrze.

Znów cisza.

– Przyjedziesz? – spytała nieśmiało Maria. Cały czas bała się, że spłoszy syna jednym nieostrożnym słowem, ale postanowiła zaryzykować.

– Nie wiem. Ale... chciałbym.

Maria poczuła, że robi jej się gorąco.

– Och, Grzesiu!

– Niczego nie obiecuję, mamó – zastrzegł od razu.

– Tak, wiem.

– To nie byłoby... to nie byłoby dla mnie łatwe – wykrztusił, jakby wbrew sobie.

– Wiem, synku, wiem. To nie byłoby łatwe dla nikogo. Ale może byłoby potrzebne. Proszę cię, Grzesiu, przemyśl to. My z tatą złego słowa ci nie powiemy, przecież wiesz o tym. – Miała wrażenie, że po drugiej stronie linii usłyszała cichy, tłumiony śmiech. No tak, przecież Grzegorz był już dorosłym mężczyzną, a dorośli mężczyźni nie boją się rodziców. A może to był płacz? Spróbowała podejść go z innej strony. – Twój brat też byłby szczęśliwy.

– Piotrek...

– Tak! Będziesz zaskoczony, gdy go zobaczysz. To już dorosły facet.

– Mamó, muszę kończyć – uciął Grzegorz.

– Grzesiu, proszę cię, przemyśl to – poprosiła go raz jeszcze.

– Dobrze, mamó. Przemyślę. – Na chwilę zawiesił głos. – Kocham cię, mamó – rzucił szybko i zanim zdążyła odpowiedzieć, rozłączył się.

„Ja ciebie też, synku” – odpowiedziała do głuchej słuchawki.

Na chwilę zamknęła oczy i przycisnęła telefon do ust. Boże, jaka byłaby szczęśliwa, gdyby Grzegorz zdecydował się przyjechać. Jej syn. Tak bardzo za nim tęskniła. Westchnęła głęboko. Czas powoli wracać do domu Polków. Oby niczego nie zauważyli. Ostatnie, czego w tym momencie potrzebowała, to wypytywanie, czy coś się stało. Wtedy na pewno by się rozkleiła. Otworzyła oczy i wsunęła telefon do kieszeni. Wciąż trzęsącą się ręką sięgnęła po stojącą obok niej na ławce resztkę kawy, ale zamiast chwycić kubek, potrąciła go. Plastikowa nakładka odskoczyła i jasnobrązowy płyn rozlał się na chodniku. Maria schyliła się, by sprzątnąć. Gdy podniosła głowę, poczuła, jak wiatr chłodzi spływające po jej policzkach łzy.

– Opowiadaj – powiedziała Agata tuż po tym, jak opadła na siedzenie pasażera w samochodzie Kermita.

On cmoknął ją tylko w policzek i od razu przeszedł do rzeczy:

– Włamałem się na komputer Wiesława.

– Jak ci się to udało? – Nie była zaskoczona. Po prostu chciała wiedzieć.

– Najprostszym możliwym sposobem. Aż sam się zdziwiłem, że to wypaliło, ale nie wyglądał mi na geeka komputerowego, więc postanowiłem spróbować pójść po linii najmniejszego oporu, żeby nie tracić czasu na jakieś bardziej wyrafinowane metody. Wysłałem mu zaproszenie do nowej grupy dyskusyjnej dla numizmatyków. Trzeba było kliknąć, żeby zainstalować odpowiednią aplikację. On kliknął, zobaczył uprzejme zapewnienie, że strona na razie jest w budowie, a ja mogłem już swobodnie poruszać się po jego komputerze.

– Sprytne.

Kermit zerknął na nią z rozbawieniem.

– No, nie wiem, czy takie sprytne. Teraz raczej już większość ludzi wie, żeby nie otwierać załączników ani linków z takich maili nie wiadomo skąd, ale tu mi się poszczęściło.

– No dobra, i co odkryłeś? To jakiś zboczeniec?

Kermit pokręcił głową.

– Nie, zboczeniec nie. Od czasu do czasu odwiedzał jakieś strony pornograficzne, ale umówmy się, to jeszcze z nikogo nie czyni zboczeńca. Zdecydowanie bardziej niepokojące jest to, że on miał na punkcie Lidki jakąś obsesję.

– Co dokładnie masz na myśli?

– Choćby to, że jej profile na GoldenLine i LinkedIn odwiedzał kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt razy dziennie. Wyobrażasz sobie? Kto normalny robi coś takiego? I to dzień w dzień! Tym bardziej, że przecież nie ma pracy biurowej. Nie da się więc wytłumaczyć tego podglądactwa bezmyślnym zabijaniem czasu, który tak czy inaczej musiałby spędzić przed komputerem.

– Racja. A maile przejrzałeś dokładnie?

– Pewnie! Choć dużo do przejrzenia nie było... Okazuje się, że w zasadzie tylko ona do niego pisała. Nie miał innych znajomych, nie utrzymywał mailowego kontaktu z rodziną. Co więcej, maile od niej ma zapisane w specjalnym folderze. Wiem, że to jeszcze nic nielegalnego, ale sama przyznasz, że jest to trochę chore.

– I to wcale nie trochę! – Wiesław coraz bardziej ją przerażał. Pierwsze wrażenie nie było mylne. Zdecydowanie był osobą, której należało unikać. – Gdyby ktoś mnie tak sobie skatalogował i podglądał w Internecie, czułabym się co najmniej dziwnie.

– Gdyby ciebie ktoś tak podglądał w Internecie, znalazłbym go i... – zaperzył się Kermit – I co? – spytała rozbawiona.

Kermit był cudowny, mądry, zabawny, ale umówmy się –

żaden z niego bokser.

– I na pewno dałbym mu do zrozumienia, że w jego najlepszym interesie należy ukrócenie tego procederu.

– Aha. Ciekawe... – Zaśmiała się. – Ale wróćmy do Wiesława. Na tym forum numizmatyków też z nikim innym nie rozmawiał?

– Nie, raczej nie. Sporadycznie, jak ktoś go zagadnął, to coś tam odpisał, ale zdecydowanie to Lidka była główną osobą, z którą wchodził w jakiegokolwiek interakcje. Nie miałem jeszcze czasu, żeby sprawdzić, jak to wyglądało, zanim ona pojawiła się na forum: on był pierwszy? Ona? Kto kogo zagadnął? Możemy wrócić do tego później. W każdym razie odkąd ich kontakt przestał się ograniczać tylko do tego forum, on zaczął tam bywać zdecydowanie rzadziej.

– Tak, jakby to ona była głównym powodem, dla którego w ogóle tam wchodził – zauważyła Agata.

– Właśnie! Tym bardziej, że nadal regularnie sprawdzał portale aukcyjne pod kątem ofert kupna monet. Czyli numizmatyka jako taka nadal go interesowała, w przeciwieństwie do osób dzielących to hobby, oczywiście poza Lidką.

– Psychol...

– A to jeszcze nie wszystko. Wiem, że był na stronie waszej firmy w zakładce „Kontakt”, czyli sprawdzał adres, bo co innego mógł tam robić? Wiem też, że na Google Maps sprawdzał trasę od siebie pod jej dom i pod Test4U.

Strach, który Wiesław wzbudzał w Agacie, przybrał na sile.

– Trzeba powiedzieć o tym policji – powiedziała. – Powinniśmy zadzwonić do Zawady.

– Jeśli powiemy mu, skąd mamy te informacje, mogę mieć potem nieprzyjemności. Wiesław nie wygląda na kogoś, kto nagle wyjmie z kieszeni broń, żaden też z niego siłacz. To ktoś raczej właśnie taki, co to cię będzie śledził, a gdy coś mu nie podpasuje, potrąci samochodem. W walce wręcz nawet z taką Lidką mógłby nie dać sobie rady. Więc myślę, że dobrze będzie najpierw do niego pojechać i się z nim skonfrontować. Jak dobrze poprowadzimy tę rozmowę, to może się przyzna i nie będziemy musieli nic mówić policji o mojej ingerencji w jego komputer.

– Zawsze możemy powiedzieć, że Lidka mi się żaliła, że on za nią łązi i ją prześladowa – zaproponowała Agata.

– I przypomniałaś sobie o tym dopiero teraz? – spytał Kermit z powątpiewaniem.

– Masz rację, niezbyt to przekonujące. To może wyślemy jakiś anonim?

– No, to już lepiej brzmi. Ale Agata – spojrzał jej uważnie w oczy – jeśli się boisz, to zostań w aucie. Mogę załatwić to sam.

– No co ty?! – Agata wręcz zapałała z oburzenia. – Żartujesz sobie? Chyba kiepsko mnie znasz, skoro w ogóle coś takiego proponujesz.

Kermit się roześmiał.

– Bez obaw, znam cię całkiem dobrze, a to była tylko taka kurtuazyjna propozycja. Zresztą możesz być pewna, że gdybym choćby dopuszczał możliwość, że on może być groźny, nigdy

bym cię tam nie zabrał. Mówię ci, że to cienki Bolek. Jak go przyciśniemy, to raz dwa wszystko wygada. O! I już jesteśmy na miejscu.

Zaparkowali pod samym blokiem.

Kermit wysiadł z auta, a Agata jeszcze przez chwilę siedziała w bezruchu. Przemknęła jej przez głowę myśl, że może rzeczywiście nie powinna tam iść. Nie teraz, kiedy jest odpowiedzialna nie tylko za siebie, ale też za kiełkujące w jej wnętrzu nowe życie. Kermit miał rację – szanse, że Wiesław wprost ich zaatakuje, były nikłe. Ale jednak były. Jeśli naprawdę jest takim szaleńcem, za jakiego Agata go uważa, to może być zdolny do wszystkiego, nawet do czynów, które jej mogą wydawać się nieracjonalne. Ale przecież Kermit jest od niego wyższy, silniejszy. Nie wątpiła, że gdyby zaszła taka potrzeba, bez wahania stanąłby w jej obronie. Poza tym ich będzie dwoje. Nic nie może jej się stać. Chwyliła za klamkę i pociągnęła. Wysiadła z postanowieniem, że w trakcie całej wizyty będzie się trzymała nieco z tyłu, żeby w razie czego nie być na pierwszej linii rażenia.

– Coś się stało? – spytał Kermit, mierząc ją uważnym spojrzeniem.

– Nie – zaprzeczyła i aby uniknąć jego wzroku, ruszyła w kierunku klatki Wiesława. Bardzo chciała mu już powiedzieć o ciąży, ale zdecydowanie to nie była odpowiednia chwila. Jutro. Zrobi to jutro. – Czemu pytasz?

Kermit wzruszył ramionami.

– A tak. Po prostu miałem wrażenie, że może coś jest nie w

porządku. Nie wychodzisz od razu...

– A komu by się chciało wychodzić na taki ziąb? – ucięła Agata.

Z klatki akurat wychodziła jakaś starsza kobieta, więc Agata chwyciła zamykające się za nią drzwi. Kobieta zerknęła na nią podejrzliwie, ale Agata się tym nie przejęła.

„Dobrze się złożyło” pomyślała. „Weźmiemy go z zaskoczenia”.

Nie powiedziała nic na głos, bo czuła, że Kermit nie uwierzył w jej grubymi nićmi szyte wytłumaczenie. Był na to zbyt inteligentny i zbyt wrażliwy. Na szczęście był też dostatecznie empatyczny, by nie dopytywać.

Gdy dotarli pod drzwi Wiesława, nacisnęła dzwonek. Ostry dźwięk był słyszalny również na zewnątrz.

Poczekali chwilę, ale nikt im nie otworzył. Nie usłyszeli też żadnych dźwięków zdradzających obecność Wiesława w mieszkaniu.

Zadzwoniła jeszcze raz. Wciąż cisza.

– Może gdzieś wyszedł? – spytała.

Kermit wyjął z kieszeni komórkę i sprawdził godzinę.

– Mamy jeszcze chwilę, żeby na niego poczekać.

Perspektywa tkwienia na korytarzu była mało zachęcająca, więc Agata odruchowo, kierowana zniecierpliwieniem, sięgnęła do klamki, nacisnęła ją i pchnęła.

Ku ich zaskoczeniu, drzwi nie były zamknięte na klucz. Delikatnie się uchyliły.

– Hej, otwarte! – wykrzyknęła Agata i zabrała rękę od drzwi, jakby parzyły. Przedszkolne odruchy z katalogu „To nie ja”

bywają zaskakująco trwałe.

Kermit podbiegł do drzwi i uchylił je jeszcze odrobinę, by móc zajrzeć do środka.

– Może wychodząc, zapomniał zamknąć? – szepnął.

– A może nie chciał się z nikim widzieć i po prostu udaje, że go nie ma? – podsunęła Agata, której tłumaczenie zaproponowane przez Kermita zupełnie nie przekonywało. Wiesław wyglądał raczej na takiego, co trzy razy sprawdza, czy drzwi są zamknięte, zanim się oddali.

– No, to mu nie wyszło – odparł Kermit i odchyłając drzwi na pełną szerokość, zawołał: – Panie Wiesławie!

Cisza.

– Panie Wiesławie! Tu Agata i Piotr, znajomi Lidii. Chcieliśmy zamienić jeszcze kilka słów.

Nadal nic.

Agata i Kermit wymienili niepewne spojrzenia.

– Co robimy? – spytał Kermit. – Wchodzimy?

– Żał przepuścić taką okazję – odparła Agata. Mając na względzie rozważania z samochodu, dodała: – Idź pierwszy.

Kermit spojrzał na nią dziwnie. Tak, to też nie było jej standardowe zachowanie. Nigdy nie była załęczoną kobietką chowającą się za plecami swego mężczyzny. Ale nadzwyczajne sytuacje wymagają nadzwyczajnych środków. Szturchnęła go w ramię palcem, którym następnie wymownie wskazała na wewnątrz mieszkania.

– Dobra, dobra – powiedział Kermit i wszedł do środka, jeszcze raz rzucając już cichsze i bardziej niepewne: – Panie Wiesławie!

I tym razem nikt im nie odpowiedział.

Agata zwróciła uwagę na stojącą w przedpokoju parę butów zimowych. Wyszędłby bez nich? A może miał drugą parę? Jednak kapci nigdzie nie było widać. Na wieszaku wisiała kurtka. Wypchany rękaw zdradzał obecność czapki i szalika.

Cisza panująca w mieszkaniu zaczęła nabierać złowieszczego charakteru, jednak żadne z nich nawet nie pomyślało o tym, by w tym momencie się wycofać. Za daleko już zaszli, by zrobić krok w tył.

Zajrzeli do kuchni. Na stole samotny kubek. Zlew pusty. Ścierka równo wisząca na uchwycie od piekarnika.

Salon. Trzeba zajrzeć do salonu.

Gdy tylko dotarli do dużego pokoju, z piersi Agaty wydobył się niekontrolowany krzyk, a jej palce wbiły się w ramię Kermita – ciało Wiesława bezwładnie zwisało z haka, na którym poprzednio wisiała doniczka, teraz stojąca na podłodze. Liście na miękkich łodygach płożyły się po dywanie, na nich leżały bezładnie rzucone kapcie. Głowa Wiesława zwisała pod nienaturalnym kątem.

Kermit zdecydowanym ruchem wypchnął Agatę na korytarz.

– Zostań tu – powiedział, a sam wszedł do salonu.

Agata oparła się plecami o ścianę, odchyliła głowę do tyłu i wzięła kilka głębokich wdechów. Chciała się trochę uspokoić. Jej tętno szalało, a żołądek podchodził do gardła.

„Dobra. Teraz chyba dam radę” – pomyślała i zajrzała do salonu.

Ujrzała Kermita usiłującego uwolnić wciąż wiszącego na

pasku od spodni Wiesława.

– Nie dam rady – wysapał i puścił go. – Zresztą to i tak już na nic.

Puszczzone ciało obróciło się w kierunku Agaty. Zobaczyła napuchniętą, siną twarz, nabrzmiąły język wysunięty z ust i przekrwione, nie wyrażające absolutnie niczego oczy.

Odwróciła się i zasłaniając ręką usta, pobiegła do łazienki. Ledwo zdążyła odchylić klapę sedesu, a cała zawartość żołądka z impetem opuściła jej ciało, rozchlustując się na ściankach klozetu.

– W porządku? – krzyknął Kermit.

Otarła usta kawałkiem papieru toaletowego.

– Tak – odkrzyknęła. – Zostaw go.

– Co?

Podniosła się i odkręciła kran. Przepłukała usta i wyraźniej powtórzyła:

– Powiedziałam: zostaw go! Skoro nie żyje, to i tak mu nie pomożesz. Tylko zatrzysz ślady, które mogą się okazać kluczowe dla policji – dodała, wychodząc z toalety. Teraz, gdy wiedziała, czego się spodziewać, widok Wiesława nie powodował mdłości. – Trzeba zadzwonić na policję.

– Do Zawady? – spytał Kermit.

Agata pokręciła głową.

– Lepiej nie. Zacznie nas wypytywać, co tu robimy.

– Tego pytania tak czy inaczej nie unikniemy. Ale masz rację, lepiej dzwonić pod 112, a rozkoszną rozmowę z komisarzem Zawadą zostawić sobie na później – powiedział Kermit. Wyjął

telefon z kieszeni i zadzwonił. – Będą tu za dziesięć minut – rzekł, gdy się rozłączył. – To jaka jest nasza oficjalna wersja?

Agata nie mogła oderwać wzroku od dyndającego na pasku ciała i od nabrzmiałej twarzy Wiesława. Zwłaszcza ta twarz była w dziwny sposób hipnotyzująca. Mimo to postarała się zebrać myśli.

– Powiemy prawdę – zaproponowała. – Powiemy, że wczoraj zawiadomiliśmy go o śmierci jego znajomej, a dziś przyszliśmy sprawdzić, jak się czuje, czy wszystko z nim w porządku.

– OK, brzmi rozsądnie – zgodził się Kermit.

Przez chwilę w ciszy wpatrywali się w Wiesława.

– Myślisz, że sam się zabił? – spytała Agata.

– Nie wiem, kochanie. – Kermit rozejrzał się bezradnie po salonie. – Na oko wygląda, że nikt mu w tym nie pomógł.

– Ale drzwi były otwarte...

– To jeszcze żaden dowód. Łatwo mogę sobie wyobrazić, że samobójca zostawia drzwi otwarte, by ktoś go znalazł. Zwłaszcza samobójca mieszkający samotnie. Inaczej mogłyby minąć tygodnie, jeśli nie miesiące, zanim podjęto by decyzję o tym, by siłą wejść do tego mieszkania.

– Racja.

Agata, coraz mniej zmrożona widokiem ciała, zaczęła rozglądać się po mieszkaniu.

– Czego szukasz? – spytał Kermit.

– Listu. Być może zostawił jakiś list.

– Że też sam na to nie wpadłem! – Kermit klepnął się w czoło.

– Tylko nie ruszaj, jak znajdziesz! – przestrzegła go Agata.

– No, to chyba jasne! – oburzył się Kermit. – Jego ruszałem, bo miałem nadzieję, że może da się go jeszcze uratować.

Jednak nie udało im się znaleźć żadnego listu. Widocznie Wiesław nie miał nic do powiedzenia tym, którzy go znajdują.

Policja przybyła zgodnie z zapowiedzią w ciągu dziesięciu minut. Młody policjant i nieco starsza od niego policjantka o mocno umalowanych oczach nie trzymali ich długo. Zebrali tylko podstawowe informacje o zdarzeniu i spisali ich dane.

– Najprawdopodobniej w najbliższych dniach będą państwo wezwani na komendę w celu złożenia dalszych wyjaśnień – poinformowali.

Agata i Kermit kiwnęli głowami na znak zgody.

– Nie wiecie państwo, kogo powinniśmy poinformować o zgonie pana Kochanowskiego? – spytali.

Tym razem w odpowiedzi bezradnie rozłożyli ramiona.

– Dobrze, możecie państwo iść – padły w końcu wyczekiwane słowa.

Gdy wyszli na dwór i poczuli na twarzach powiew świeżego powietrza, oboje aż się zatrzymali, by chwilę się nim ponapawać. Wdech – wydech; oddech – życie. Jak dobrze było żyć. Jak dobrze było mieć dla kogo żyć. Agata chwyciła Kermita za rękę i po chwili mocno się do niego przytuliła. On odpowiedział tym samym. Żadne słowa nie padły. Nie mogli znaleźć odpowiednich.

– Chodź, nie stójmy tak na środku – powiedział w końcu Kermit i delikatnie poprowadził ją do samochodu.

Wsiedli. Po odpaleniu silnika zegar na desce rozdzielczej

pokazał im, że powoli powinni kierować się w stronę domu Teresy i Jacka, jeśli nie chcą się spóźnić na obiad.

– Agata, jeśli nie chcesz, nie musimy tam dziś jechać.

– Nie, nie. Jedźmy.

– Dobra. – Kermit powoli ruszył. – Wstąpmy gdzieś tylko po jakieś wino. Głupio tak przyjechać z pustymi rękami.

– Kermit?

– Hmm?

– Ja myślę, że on się sam zabił. Że na wieść o śmierci Lidki po prostu uznał, że nie ma już po co żyć. Wiemy przecież, że miał na jej punkcie jakąś obsesję.

– Pewnie masz rację. Tylko zastanawiające jest to, że gdy wychodziliśmy od niego poprzednio, spytał, czy mógłby odkupić jej klaser. Pamiętasz? Pytał nas o to. Czyli robił jakieś plany na przyszłość.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. Wtedy wiadomość o Lidce była świeża. Jeszcze nie zdążył tego przemyśleć. Poza tym mógł być mądrzejszy, niż nam się wydaje, i odpowiedź na swoje pytanie o możliwość kupna klaseru wyczytać z naszych spojrzeń. Żadne z nas nie miało zamiaru przekazać jego wiadomości matce Lidki. Dla nas to był drobiazg, a dla niego może kwestia być albo nie być.

Stwierdzenie, że sens czyjegoś życia może sprowadzać się do takiego drobiazgu, było strasznie smutne. A jednak Agata nie potrafiła zapłakać nad Wiesławem. Nawet jego śmierć nie spowodowała, że zaczął w niej wzbudzać choćby odrobinę sympatii. Jego postać nadal ją mierziała. Z każdym metrem dalej

od jego mieszkania czuła, jakby ktoś zdejmował jej z ramion kolejne porcje ciężaru. Miała nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała tam wracać. Jeśli policja ją o to poprosi, to oczywiście zrobi to, ale oby nie było to konieczne.

– Pamiętaj, Agata, że nawet jeśli popełnił samobójstwo, to wcale nie wyklucza tego, że potrafił Lidkę. To by nawet miało sens. Może nie mógł żyć ze świadomością, że zabił jedyną osobę, którą kochał.

– Tak, tak – odparła Agata automatycznie. Wzrok miała utkwiony za oknem, a jej myśli błądziły zupełnie gdzie indziej.

Kermit oczywiście to zauważył, ale błędnie sądził, że Agata wciąż jest w szoku po tym, co właśnie widzieli. Bardzo się mylił. Może i jej twarz wyglądała nieco bezmyślnie, ale tak naprawdę umysł pracował bardzo intensywnie. I wcale nie myślała o ciąży. Teraz myślała o teorii, którą udało jej się wysnuć tuż przed telefonem Kermita. Sprawa była delikatna, więc mozolnie zbierała postronki wszystkich wątków i splatała je, sprawdzając, czy wszystko się zgadza, czy luki nie są zbyt wielkie, by zaryzykować sprawdzenie tej hipotezy. Nie chciała nikogo ranić bezpodstawnymi oskarżeniami. Ale co, jeśli się nie myliła?

– No, jesteście nareszcie! – Teresa powiedziała radośnie na ich widok, choć było zaledwie dziesięć po piątej.

– Tak, ciociu, coś nas chwilę zatrzymało – wyjaśnił enigmatycznie Kermit.

Wcześniej ustalili, że o ile nie zajdzie absolutna konieczność, nie będą nikogo informować o Wiesławie – ani o jego istnieniu, ani o jego śmierci. Te informacje nie były nikomu do niczego potrzebne, a kto wie, jak mogłyby wpłynąć na Zofię. Najpierw musi pogodzić się z faktem, że jej córka nie żyje. Dopiero potem będzie można zbombardować ją kolejnymi faktami związanymi z tą śmiercią.

– Wchodźcie, wchodźcie, bo zimno leci, a i obiad już gotowy na stole – popędziła ich Teresa.

Nieco speszeni spóźnieniem, choć przecież było niewielkie, zrobili, jak prosiła. Szybko zdjęli kurtki i buty. Agata odstawiła torebkę na komodę, gdzie stały torby pozostałych pań. Nie miała ochoty rozstawać się z testami, ale co miała zrobić? Przecież pod czujnym wzrokiem Teresy, czekającej, aż będą gotowi, nie będzie ich przekładać do kieszeni.

Gdy weszli do salonu, zobaczyli, że rzeczywiście wszystko było już gotowe. Ziemniaki w misce parowały, kotlety na półmisku

połyskiwały złotem, sałatka ze świeżych warzyw podlanych oliwą wyglądała bardzo apetycznie.

– Jesteście! – wykrzyknął Stanisław. Wstał i chwycił od razu za butelkę wina. – Czy ktoś z was się napije?

Agata już chciała odpowiedzieć, że ona chętnie, ale przypomniała sobie, że chęć chęcią, a możliwości możliwościami.

– Ja dziękuję – odparła, a Kermit popatrzył na nią dziwnie. Zwykle nie odmawiała wina, gdy nie prowadziła. – Nie mam dziś ochoty na wino – wyjaśniła, a oczy Kermita jeszcze bardziej się rozszerzyły. Agata lubiła wino i niemal nigdy nie zdarzało się, żeby nie miała na nie ochoty.

Na szczęście Stanisław nie miał zamiaru zgłębiać tego tematu.

– Rozumiem, nalegał nie będę – powiedział, podnosząc wolną dłoń w obronnym geście. – Piotruś?

– Ja w sumie prowadzę, ale to przecież za parę godzin, więc poproszę. Tylko nie za dużo! Pół kieliszka wystarczy.

– Już się robi!

Szkło wypełniło się winem o ciemnej, głębokiej barwie. Agata westchnęła w duchu.

Usiedli do stołu. Agata spojrzała na mamę Kermita. Maria była ubrana w elegancką bluzkę, która, choć w dobrym rozmiarze, zupełnie do niej nie pasowała. Pewnie pożyczona od Teresy. Była bardzo w jej stylu, a Maria wyglądała w niej, jakby włożyła przebranie. W pewnym momencie Agata podchwyciła wzrok mamy Kermita. Uśmiechnęła się do niej, a kobieta odpowiedziała uśmiechem. Agata miała jednak wrażenie, że coś

jest nie tak. Wyglądała na smutną, a jej oczy były podejrzenie czerwone. Może to skutek wczorajszej imprezy, a może czegoś więcej. Może nie tylko ona i Kermit spędzili intensywnie czas od ich ostatniego spotkania?

Teresa i Stanisław zaczęli rozmawiać o różnych sposobach przyrządzania panierki do kotletów.

– Co zrobiłaś, że jest taka krucha, Teresko? – spytał mężczyzna, nakładając sobie drugiego kotleta. – Nigdy nie jadłem tak kruchej panierki!

– Jeśli ci zdradzi, będzie musiała cię zabić – powiedział Jacula, uśmiechając się pod nosem.

– Oj, Jacula, ty to zawsze coś chlapniesz! – Teresa zgałiła męża i się roześmiała. – Stasiu, mój sekret to odrobina kaszy manny i pokruszone płatki kukurydziane. Tylko musisz je dobrze pokruszyć, a nie dawać pełne płatki, bo wtedy będą ci odpadać od kotletów.

– No proszę! Płatki kukurydziane i kasza manna! Nigdy bym na to nie wpadł! Zosiu, słyszałaś o czymś takim? – nieporadnie spróbował wciągnąć Zofię w rozmowę.

Agata była pewna, że Zofia w najlepszym razie bąknie coś na odczepnego, ale tym razem była w błędzie.

– Nie, Stasiu, nie słyszałam. Ja natomiast dodaję czasem odrobinę płatków owsianych. Wiem, że są zdrowe, ale z mlekiem zupełnie mi nie smakują, więc jem je w ten sposób.

Przy stole niemal słychać było szmer ekscytacji, jaka przeszła wszystkich zebranych. Zofia się odezwała! W dodatku pełnym zdaniem i na błały temat! Czy można żądać lepszego dowodu,

że powoli, bo powoli, ale jednak zaczyna wracać do jako takiej równowagi psychicznej? Agata z trudem powstrzymała chęć podejścia do niej i uściśnięcia jej.

Maria wstała od stołu.

– Ja was muszę na chwilkę przeprosić – powiedziała.

Gdy przechodziła obok Zofii, mocno ścisnęła jej ramię.

* * *

Maria z chęcią wyściskałaby Zofię, ale nie chciała jej spłoszyć, więc jedyne, na co sobie pozwoliła, to ściśnięcie jej ramienia. Tak bardzo się cieszyła, że przyjaciółka znów zaczynała być zdolna do normalnej rozmowy! Teraz trzeba to tylko podtrzymać. Maria jeszcze raz postanowiła, że koniecznie musi namówić Zofię na wyjazd w Bieszczady. Wygospodarują dla niej jeden pokój, przecież to żaden problem! Idzie wiosna, zaraz trzeba będzie rozpocząć prace w ogródku. Marii przyda się pomoc, a Zofia może na tym tylko skorzystać. Poczuje się ważna i potrzebna, poczuje, że ma na coś wpływ, choćby to były tylko kiełkujące marchewki. Co ją trzyma tu, w Warszawie? Przecież mieszkaniem mogą zaopiekować się Teresa i Jacek. Oboje są już na emeryturze, więc pojechanie tam raz w tygodniu, by podlać kwiatki i sprawdzić, czy wszystko w porządku, nie powinno być dla nich zbyt dużym kłopotem. Wprawdzie Maria nie ustaliła tego jeszcze ze Stanisławem, ale była przekonana, że mąż nie będzie miał nic przeciwko temu.

Maria skorzystała z toalety. Gdy wyszła, postanowiła zajrzeć jeszcze do telefonu. A nuż Grzegorz oddzwonił? Miała

świadomość tego, że szanse na to były minimalne, ale sprawdzić nie zaszkodzi.

Wygrzebała z torby telefon i włączyła wyświetlacz. Nic. Pusto. Żadnych nieodebranych połączeń. Zero SMS-ów.

Westchnęła. Bez sensu sprawdzała. Przecież od razu wiedziała, że Grzegorz się nie odezwie, a teraz zrobiło jej się smutno. Upewniwszy się, że bateria jest dobrze naładowana (rozsądek rozsądkiem, ale przecież nigdy nic nie wiadomo!) odłożyła telefon do torby.

Już miała odejść, gdy nagle coś zwróciło jej uwagę. Torba Agaty – zwykła, czarna listonoszka – nie była zapięta, a klapa odchyliła się do tyłu, odsłaniając zawartość.

Maria nie należała do osób, które mają w zwyczaju grzebać w cudzych rzeczach. Szanowała prywatność swoich synów, szanowała prywatność męża, szanowała prywatność każdej napotkanej osoby, ale... no właśnie... ale dla każdej zasady, jaką kierujemy się w życiu, istnieją okoliczności, w których ją złamiemy. A dla niegrzebania w cudzych rzeczach taką okolicznością są na przykład trzy białe prostokąci, wyglądające zupełnie jak testy ciążowe, wystające z torby dziewczyny twojego syna. Jak, zobaczywszy coś takiego, Maria mogłaby wrócić do stołu i udawać, że niczego nie widziała? Ile bezsennych nocy by ją czekało, pełnych rozmyślań: „To będzie ten wnuk czy go nie będzie?”, „Czemu jeszcze mi o tym nie powiedzieli?”, „Kiedy mi powiedzą?”. Szanse, że testy były negatywne, były małe. Nikt nie nosi ze sobą negatywnych testów, a już zwłaszcza w liczbie przekraczającej jeden. A

jednak czuła, że musi się upewnić. W końcu chodziło o jej wnuka. Krew z jej krwi.

Ostrożnie zerknęła przez ramię. Nikogo nie zobaczyła. Komoda była tak ustawiona, że z salonu zupełnie nie było jej widać. Wsłuchiwała się w toczącą się przy stole rozmowę. Staszek opowiadał o tym, jak zeszłej wiosny zakopali się samochodem w błocie i musieli dzwonić po sąsiada, żeby ich wyciągnął traktorem. Nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek zamierzał wstawać.

Teraz albo nigdy.

Czując się jak złodziejka, szybkim ruchem wyjęła testy. Na każdym z nich widniały wyraźnie dwie, niezaprzeczalne krechy. Nie była aż tak zacofana, by nie wiedzieć, co to oznacza – będzie babcią! Agata i Kermit będą mieli dziecko! Z trudem powstrzymała pisk radości. Miała ochotę podskakiwać i wszystkich wycalować. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak się czuła.

Odłożyła testy na miejsce, uważając, by leżały dokładnie tak, jak poprzednio.

Wzięła kilka głębokich wdechów, próbując się uspokoić i przestać tak głupio uśmiechać. Jeśli wróci teraz do stołu roześmiana od ucha do ucha, na pewno od razu zorientują się, że coś się stało, i zaczną ją wypytywać. Agata może się domyślić, o co chodzi, w końcu to mądra dziewczyna. A ona przecież absolutnie nie może się dowiedzieć, że Maria już wie! A Piotruś? Powiedziała mu już? To musi być świeża sprawa, bo przecież wczoraj jeszcze piła nalewkę, a dziś odmówiła wina.

Czyli testy musiała zrobić między wczorajszą wizytą a dzisiejszą. Boże, jak to się wszystko w tym życiu kręci, jak w kalejdoskopie!

No nic, pora wracać do stołu.

* * *

– O! To teraz ja skorzystam! – powiedziała Agata na widok Marii.

Czuła niemiłosierne parcie na pęcherz. To jeszcze chyba nie może być ciąża, za wcześnie na to. Chociaż, kto wie? Będzie musiała o tym poczytać. O tym i o wielu innych rzeczach. Jak na przykład te rampersy. Co to, na Boga, są rampersy?

Gdy mijiała Marię, kobieta uśmiechnęła się do niej, a w jej oczach Agata dostrzegła iskierki radości, których tam wcześniej nie było. Ciekawe, co je wywołało?

Agata wstała z toalety i gdy umyła ręce, postanowiła raz jeszcze zajrzeć do szafki ukrytej za lustrem. Jej zawartość była dokładnie taka, jak poprzednio. Wzięła do ręki fiolkę z lekiem, który oglądała ostatnim razem. Wszystko się zgadzało. Dobrze zapamiętała nazwę. Zawsze miała dobrą pamięć do trudnych słów. Nabuchodonor, kwas dezoksyrybonukleinowy, donepezil. Zapamiętywała to wszystko bez najmniejszego trudu. Tym razem miała jednak nadzieję, że coś przekreśliła. Płonną nadzieję, jak się okazało. Jak zwykle zapamiętała wszystko doskonale.

Pozostała więc jeszcze jedna rzecz do zrobienia.

Wyszła z łazienki, starając się zrobić to jak najciszej. Zgasiła

światło i przymknęła drzwi. Zależało jej, by pozostali byli przekonani, że wciąż jest w łazience, więc po chwili namysłu z powrotem włączyła światło i ostrożnie zamknęła drzwi. Bardzo chciała mieć przy sobie Kermita. Był tak blisko, słyszała jego śmiech dobiegający z salonu. Ale wiedziała, że nie może mu nic powiedzieć, póki nie będzie absolutnie pewna, a pewność może zyskać tylko w jeden sposób.

Pamiętała, że tuż przy drzwiach wejściowych były drugie drzwi. Jeśli z wnętrza domu Polków dało się jakoś wejść do garażu, to zejście musiało się kryć właśnie za nimi. Zdjęła buty i wzięła je do ręki. Na bosaka będzie zdecydowanie ciszej. Starając się być w jak największym cieniu, na palcach pomknęła w stronę rzeczonych drzwi. Uff... Nikt jej nie zauważył.

Przechodząc obok komody, kątem oka zobaczyła, że kłapa jej torebki jest otwarta i trzy testy są widoczne jak na dłoni. Pokręciła głową nad swoją bezmyślnością i zamknęła torebkę. By mieć obie ręce wolne, odłożyła buty tam, gdzie stały wszystkie inne. Nawet jak ktoś tu przyjdzie, mała szansa, by zwrócił na nie uwagę w tym bałaganie. Ostrożnie nacisnęła klamkę, modląc się w duchu, by zawiasy były dobrze naoliwione. Na szczęście Jacula okazał się dobrym gospodarzem. Drzwi otworzyły się bez żadnego dźwięku.

Mrużąc oczy, by dojrzeć cokolwiek w ciemności, Agata wypatrzyła prowadzące na dół schody. Ostrożnie postawiła stopę na pierwszym stopniu. Przez cienkie rajstopy wyczuła drobinki piasku i nierówną powierzchnię drewna. Dostawiła

drugą stopę i dopiero, gdy zamknęła za sobą drzwi, odważyła się zapalić światło. Zwisająca na kablu z sufitu, nieoprawiona żarówka zaświeciła jej prosto w oczy. U dołu schodów zobaczyła białe, zwykłe drzwi, zapewne z jakiejś płyty wiórowej. W kilku krokach pokonała schody i chwyciła plastikową klamkę. Tak niewiele brakuje... A jednak drzwi nie chciały się otworzyć. Szarpnęła raz i drugi i dopiero wtedy zauważyła niewielką dziurkę na klucz. Była tak nie na miejscu w drzwiach, które pewnie nawet ona zdołałaby rozwalić kilkoma kopniakami, że przegapienie jej naprawdę nie było trudne. Z trudem powstrzymała się, by rzeczywiście w nie nie kopnąć. Ale jeśli jej podejrzenia okażą się mylne, trudno będzie to wytłumaczyć...

Podparła się pod boki i przygryzła wargę. Patrząc na zamknięte na klucz drzwi, usłyszała w głowie głos wujka Antka, który zawsze powtarzał: „Tam, gdzie inni widzą problemy, ty dostrzegaj możliwości!”. Taaak. Możliwości było bez liku... Mogła rozpędzić się z góry schodów i staranować je własnym ciałem, mogła poszukać jakiejś zapalniczki i je spalić, mogła pójść na górę i poprosić o klucz, bo... najlepiej się czuje, przebywając pod ziemią? Z pewnością uda jej się znaleźć jakieś lepsze wytłumaczenie. Rozmyślając, rozglądała się wokół, aż w końcu postanowiła, że sprawdzi w najbardziej oczywistym miejscu, czyli na górnej framudze. Była cienka, ale mały klucz by się zmieścił.

Aż trudno było jej uwierzyć we własne szczęście i głupotę Polków, gdy jej palce natrafiły na klucz. Mały, metalowy przedmiot. To nie mogło być nic innego! Już sam fakt, że klucz

był schowany, był swego rodzaju dowodem winy. Bo kto chowa klucz do własnego garażu we własnym domu? Przecież tu wstęp mieli tylko domownicy, a gdyby ktoś chciał kraść samochód, to raczej włamywałby się do garażu od zewnątrz, a nie stąd.

Dłonie tak drżały jej z podniecenia, że ledwo udało jej się trafić w dziurkę. Przekręciła i... *voilà!* Drzwi stanęły otworem.

Wemknęła się do środka i dopiero, gdy zamknęła za sobą drzwi, wymacała na ścianie włącznik światła. Gdy wnętrze garażu się rozjaśniło, wiedziała już, że się nie myliła. Niemal całe pomieszczenie wypełniał duży samochód okryty jakąś ciemnozieloną płachtą. Kto okrywa samochód stojący w garażu?

Agata wąskim przejściem między samochodem a ścianą przeszła na przód garażu. Schyliła się, chwyciła materiał i powoli uniosła. Na widok wgniecionej blachy i znajomych numerów rejestracyjnych, z bliska w oczywisty sposób fałszywych, poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. A więc miała rację. To Teresa Polko zamordowała Lidię. Musi jak najszybciej powiedzieć o tym Kermitowi. Powie, że źle się czuje i poprosi, by odwiózł ją do domu. Gdy tylko wyjdą, wszystko mu wyjaśni i wezwą policję. To będzie cios dla wszystkich, ale trudno – prawda musi wyjść na jaw, morderca musi zostać ukarany. Nie ma innej możliwości.

Opuściła materiał i wyprostowała się. Szybkim krokiem ruszyła w kierunku drzwi... które gwałtownie się otworzyły.

– Co tu robisz? – spytała Teresa. Jej oczy bystro wpatrywały

się w Agatę. Usta zacisnęła w wąską kreskę i na jej twarzy nie było już ani śladu dawnej uprzejmości. Teraz były z niej podejrzliwość i skupienie. – Długo nie wracałaś z łazienki, więc poszłam sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujesz, a tam cisza. Często zdarza ci się myszkować po cudzych domach?

– Ja... – Agata gorączkowo próbowała wymyślić jakieś racjonalne wyjaśnienie swojej obecności w garażu, jednak bez skutku. Zresztą, nie było potrzebne.

– Cóż, a więc znasz już prawdę – stwierdziła Teresa. I nagle jakby całe powietrze z niej zeszło: zgarbiła ramiona, ukryła twarz w dłoniach i opadła na ścianę za plecami. To dodało Agacie odwagi.

– Tak, wiem już, że to pani zamordowała Lidkę – powiedziała.

– Nic nie rozumiesz, Agatko – odparła Teresa zduszonym głosem.

– Czego nie rozumiem?

– Nie wiesz nic o tym, co tak naprawdę się wydarzyło.

– Kiedy? Dwa dni temu? Owszem, wiem. Zabiła pani Lidkę.

– Nie o tym mówię. Nie wiesz, co wydarzyło się dwadzieścia cztery lata temu!

Agata w pierwszym odruchu chciała od razu wezwać policję, ale zgrabiona, zrezygnowana Teresa nie stanowiła żadnego zagrożenia. A Agata była naprawdę ciekawa, co pchnęło tę kobietę do zabicia Lidki.

– No to może mi pani opowie? – rzuciła. Starła się, by zabrzmiało to sucho, ale z trudem skrywane zaciekawienie i tak biło z jej słów. Teresa nie dała się dwa razy prosić.

18 lipca 1992 roku, godzina 22:47

Lidka siedziała na zwałonym pniu i pocierała dłońmi ramiona. Mama miała rację, gdy kazała jej wziąć jeszcze jedną bluzkę. Chociaż przy ognisku było ciepło, to po plecach wiał chłodny wiatr. Żałowała, że nie wzięła nic cieplejszego.

Ognisko okazało się niewypałem. Ludzie z klasy Anki i Grześka spotkali się całą grupą po raz pierwszy od zakończenia roku szkolnego i wcale nie byli zainteresowani poznawaniem nowych osób. Skupili się w kilkusobowych grupkach i rozmawiali na tematy, do których Lidka niewiele mogła dorzucić: obgadywali nauczycieli albo plotkowali o tych, którzy nie dotarli na ognisko lub nie byli zaproszeni.

Lidka spojrzała na zegarek. Buuu... jeszcze nie ma jedenastej. Mieli wracać przed pierwszą, więc jeszcze góra dwie godziny musi tu wytrzymać.

Spojrzała na Grześka. Nachylał się do jakiejś obciętej na chłopaka, czarnowłosej dziewczyny i coś jej szeptał. Trzymał w ręku butelkę wódki, którą nie wiadomo skąd wytrzasnął. Pewnie któryś kolega mu dał. Na tym ognisku wódka lała się strumieniami. Koledzy Grześka i Anki mogliby podsycać ogień

samymi oddechami. Lidka wypita jedno piwo i poczuła, że chyba ma dość. Nie była dziś w nastroju do picia. Jeszcze raz zerknęła na Grześka. Nie wyglądało na to, by się ucieszył, gdyby teraz do nich podeszła i próbowała zagadać. Uśmiechnęła się pod nosem, patrząc, jak Grzesiek próbuje bajerować dziewczynę.

A Anka? Rozejrzała się i dostrzegła przyjaciółkę siedzącą samotnie na jakimś kocu, trochę dalej od ogniska niż inni. Narzuciła na plecy jeansową kurtkę i obejmowała rękami kolana. Chyba też marzła. Czemu nie podejdzie bliżej do ogniska? A może zdążyła się już ze wszystkimi pokłócić? Z jej dzisiejszym nastrojem to nie byłoby trudne... W każdym razie wyglądało na to, że podobnie jak Lidka, najchętniej już by się zwinęła do domu. Ale cóż, umowa to umowa. Skoro postanowili z Grześkiem, że zbierają się przed pierwszą, to teraz muszą się tego trzymać. Grzesiek nie byłby zbyt chętny do wcześniejszego powrotu. Zostawić go też nie mogły. On pewnie nie miałby im tego za złe, ale ciocia Marysia by się wściekła. Ech, no trudno – dwie godziny to nie wieczność. Szybko zleci. A tymczasem pójdzie pogadać z Anką. Może teraz uda jej się dowiedzieć, co ją ugryzło.

Wstała i po drodze podeszła do ich torby z zakupami. Były w niej jeszcze dwie butelki wina. Grzesiek swojego nie otworzył. Dobrze, bo gdyby po tej ilości wódki, jaką w siebie wlał, doprawił się jeszcze winem, to mogłoby go nieźle wykręcić. Ale Lidka w sumie by się napiła. Otworzyła butelkę i ruszyła w kierunku Anki.

– No hej – powiedziała, siadając obok niej na kocu. – Co tak siedzisz sama?

Anka, nie odrywając oczu od ogniska, wzruszyła ramionami.

– Ania, co się dzieje? Od rana jesteś jakaś dziwna...

– Nie jestem dziwna, tylko jestem w ciąży – powiedziała Anka tak cicho, że Lidka ledwie mogła ją usłyszeć. W pierwszej chwili pomyślała, że się przestyszała.

– Co?!

– W ciąży jestem! – warknęła Anka i spojrzała jej prosto w oczy ze złością, jakby Lidka zrobiła jej jakąś krzywdę.

– Ale... – Lidkę zamurowało. – Ale jak to? Z kim?

– Z Grześkiem.

– Z Grześkiem?! – Lidka była jeszcze bardziej zszokowana niż przed chwilą. Rozejrzała się w poszukiwaniu kolegi, ale nigdzie go nie widziała. Pewnie poszedł sikać do lasu.

– Tak, z Grześkiem – potwierdziła Anka, spuszczać wzrok.

Lidka chwilę w osłupieniu wpatrywała się w przyjaciółkę. Po wyrazie twarzy Anki od razu poznała, że to nie jest żaden głupi żart. Przyjaciółka była blada, zgarbiona, a do oczu napływała jej fala łez.

– Ale jak to się stało? Kiedy?

– Sześć tygodni temu. Pamiętasz, jak pojechałaś z rodzicami na weekend na wieś do dziadków?

– Pamiętam – potwierdziła Lidka. Jej babcia miała wtedy urodziny i do Krapkowic zjechała się prawie cała rodzina.

– No właśnie. Ja i Grzesiek zostaliśmy wtedy w Warszawie. Moi rodzice poszli do jego rodziców, a my siedzieliśmy u mnie.

Kupiliśmy sobie kilka browarów i wypożyczyliśmy jakieś filmy na video. No i nie wiem w sumie, jak to się stało. Trochę za dużo wypiliśmy i tak jakoś wyszło...

– „Tak jakoś wyszło”? – z ironią powtórzyła Lidka, która w końcu ochłonęła na tyle, by móc jakoś zareagować. – Anka, kurde, o czym ty mówisz? Jak mogło „tak jakoś wyjść”?! Dziewczyno, o czym ty myślałaś?! I to z Grześkiem?

Przyjaźnili się we trójkę od tak długiego czasu, że Lidka w ogóle nie postrzegала Grześka w kategoriach potencjalnego partnera. Był dla niej kimś bardziej w rodzaju brata. I do tej pory myślała, że dla Anki też. Nigdy o tym nie rozmawiały, ale to było coś tak naturalnego, że, jak jej się wydawało, niewymagającego komentarza. I teraz poczuła się zdradzona. Jasne, że nie chciałyby być z Grześkiem. Nigdy w życiu! Nawet jej to przez myśl nie przemknęło! Ale fakt, że dwoje jej najbliższych przyjaciół zrobiło coś takiego za jej plecami i przez sześć tygodni (SZEŚĆ TYGODNI!) trzymali to w tajemnicy, sprawił, że poczuła się odsunięta na boczny tor.

– No tak, z Grześkiem – przyznała Anka. – Zauważyłam, że okres mi się spóźnia, więc dziś rano zrobiłam test.

Lidka pociągnęła długi łyk z trzymanej w ręce butelki wina. Tani trunek palił w gardło i smakował obrzydliwie. To ją jeszcze bardziej rozzłościło.

– Nie wiem, gdzie ty miałaś głowę! I co zamierzasz teraz zrobić?

Anka wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Chyba urodzę to dziecko, no bo co?

– A Grzesiek? Mówiłaś mu już?

Lidka jeszcze raz spróbowała go gdzieś dojrzeć, ale nigdzie go nie było. Ile można sikać?

– Nie. Dzisiaj mu powiem.

– Na imprezie? Zwariowałaś?

Anka spojrzała na nią ze złością.

– Kurde, a nie przyszło ci do głowy, że może w tej sytuacji potrzebowałabym jakiegoś wsparcia czy coś? Jedyne, co potrafisz, to jechać po mnie teraz, tak? Nie musisz mi mówić, że mam przesrane, bo uwierz mi, wiem o tym. Gdybym mogła cofnąć czas, nigdy bym się z nim nie przespała, ale jakoś, kurwa, nie mam takich zdolności. A ty co? Siedzisz tu sobie, panna mądralińska, i nagle wszystko wiesz lepiej. Za taką pomoc to ja dziękuję!

Anka wstała i ruszyła w stronę lasu. Po drodze potknęła się o ich torbę z zakupami. Po chwili wahania sięgnęła do środka i wyciągnęła z niej butelkę wina. Chwilę wpatrywała się w etykietę, po czym wyciągnęła z torby korkociąg i kilkoma sprawnymi ruchami otworzyła wino. Przytknęła szyjkę do ust i odchyliła się do tyłu. Lidka patrzyła, jak wlewa w siebie kolejne hausty wina.

– Anka, ty nie możesz pić! – krzyknęła.

Anka odessała się od butelki, otarła usta wierzchem dłoni i patrząc na nią spode łba, odkrzyknęła:

– Spierdalaj!

Lidka nie mogła uwierzyć własnym uszom. Anka nigdy się tak nie odzywała. Ani do niej, ani do nikogo innego. Teraz, z butelką

wina w ręce, ruszyła znów w kierunku lasu. Lidka postanowiła iść za nią. Powinna jej pilnować. Mimo wszystko, Anka nadal była jej przyjaciółką. Zaraz na pewno ochłonie i zacznie żałować, że wypita alkohol. Przecież była rozsądna. Teraz musi myśleć o dziecku. Lidka zaraz jej powie, żeby wsadziła palce w gardło i zwymiotowała. Przecież alkohol tak szybko nie przenika do krwi, prawda? Na pewno da się to jeszcze jakoś naprawić.

Wstała i wciąż ściskając w ręku swoją butelkę wina, ruszyła śladem Anki. Nie chciała jej wołać, żeby jej nie spłoszyć. Pewnie siedzi teraz pod jakimś drzewem i płacze. Zaraz Lidka ją znajdzie i przeprosi. Może rzeczywiście zareagowała nie tak, jak powinna, nie okazała jej wystarczającego wsparcia. Zamiast na przyjaciółce, skupiła się na sobie. Źle poprowadziła tę rozmowę, oj, źle.

W oddali dostrzegła czerwone spodnie Anki i przyspieszyła. Niewielkie krzaczki ocierały się jej o nogi. Światło ogniska tu nie docierało, a ona nie miała żadnej latarki. Bała się, że zaraz się o coś potknie i przewróci. Na Boga, czy ta Anka nie mogłaby iść po ścieżce? Nagle czerwone spodnie się zatrzymały, a Lidka usłyszała, że Anka coś mówi. Zaczęła biec.

Gdy była w odległości kilku metrów od Anki, zobaczyła, że jej przyjaciółka stoi nad leżącym na kocu Grześkiem, do którego przyklejona była jego krótkowłosa przyjaciółka.

– Co ty robisz?! – krzyczała Anka.

Grzesiek, bardzo już pijany, uniósł głowę i przetarł oczy

dłonią.

– Anka? Ale o co ci chodzi?

– O co mi chodzi?! Kurwa, Grzesiek, ty jesteś niepojęty!

– Jezu, Anka, daj spokój. Chyba nie jesteś zazdrosna? To wtedy, to było tylko tak, no wiesz, nie na serio, prawda? Nie na serio to było. Przecież nie wracaliśmy do tego i w ogóle...

– No to teraz będziemy musieli wrócić, bo jestem w ciąży!

Lidka wstrzymała oddech. Czy ta Anka upadła na głowę, żeby mówić mu to teraz i w ten sposób? Podeszła do przyjaciółki i stanęła tuż za nią.

Grzesiek przez chwilę nic nie mówił, aż w końcu bąknął:

– Co? Coś ci się może pomyliło?

– Ty mi się, kurwa, pomyliłeś! – Anka zamachnęła się butelką i rzuciła nią. Szkło roztrzaskało się na pobliskim drzewie, a resztki wina i drobinki szkła opadły na leżącą dziewczynę i Grześka. Tego wina nie było zbyt wiele. W drodze tutaj Anka musiała szybko opróżnić większość zawartości butelki.

– Jezu, laska, opanuj się! – jęknęła ledwo przytomna dziewczyna, która chyba była tak pijana, że nie była w stanie wstać.

– Ania – powiedziała Lidka, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Ania, daj spokój. Chodź, pogadamy. Będzie dobrze.

Anka odwróciła się w jej stronę i Lidka ujrzała jej czerwoną, poznaczoną czarnymi strugami twarz. Z jej oczu biła rozpacz. Rozpacz i szaleństwo.

– Gównu, a nie dobrze! Ty będziesz miała dobrze, a ja zobacz!

– Machnęła ręką w stronę wciąż leżącego na kocu Grześka,

który usiłował wstać. – Z jakim imbecylem wpadłam! Dla mnie to już koniec! – Wyrwała z ręki Lidki butelkę wina i biegiem ruszyła w stronę ogniska.

– Lidka, to prawda? – wybełkotał Grzesiek, któremu w końcu udało się usiąść.

– Chyba prawda – odparła Lidka, mierząc niechętnym wzrokiem leżącą obok niego dziewczynę. – Ogarnij się i idź do niej. Musicie pogadać. Kurde, Grzesiek, musisz ją przeprosić.

Chłopak ukrył twarz w dłoniach. Nie wyglądało na to, by był w stanie teraz cokolwiek zrobić.

Lidka prychnęła z niechęcią i ruszyła za Anką.

Nie widziała jej wśród osób siedzących przy ognisku.

– Widziałaś Ankę? – spytała jedną z dziewczyn, która wyglądała na w miarę trzeźwą.

– Ankę?

– Tak, Ankę. Czerwone spodnie...

– A, tak! Pobiegła przed chwilą na parking.

– Na parking?!

Lidka najszybciej jak mogła pobiegła w stronę samochodów.

– Anka! Anka!!! – krzyczała, ile sił w płucach, ale nic to nie dało.

Jedyne, co zobaczyła, to tył odjeżdżającego z piskiem opon samochodu Anki.

– A skąd pani o tym wszystkim wie? – spytała Agata. – Ania mówiła, że jest w ciąży?

– Nie. Oczywiście, że nie. Przecież gdybym o tym wiedziała, nie puściłabym jej na imprezę. Gdy po jej śmierci sprzątałam pokój, znalazłam pamiętnik. Leżał ukryty pod materacem. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Zastanawiałam się chwilę, czy w ogóle mam prawo go otwierać. Jednak w końcu uznałam, że skoro Ania nie żyje, to nie ma w tym nic złego. W najśmielszych oczekiwaniach nie przypuszczałam, że znajdę coś takiego! Możesz sobie wyobrazić, jak z każdym czytany zdaniem rosło we mnie zdumienie, które stopniowo przeradzało się we wściekłość.

– Wściekłość? Ale dlaczego wściekłość?

– Ania w jednym z ostatnich zdań napisała, że na tym ognisku zamierza powiedzieć o ciąży Lidce i Grześkowi. Grzegorz był świadom, że wraz z moją córką w tamtym wypadku zginęło też jego dziecko. – Ręka Agaty mimowolnie powędrowała na podbrzusze. – A Lidka...

– Co Lidka?

– Kilka dni po tym, jak znalazłam pamiętnik, Lidka przyszła i wszystko mi opowiedziała. Tłumaczyła, że nie mogłaby żyć,

tając przede mną te informacje. Nie wiem, czego ta głupia suka oczekiwała, przychodząc do mnie z tym wyznaniem. Rozgrzeszenia, że nie udało jej się powstrzymać Ani przed jazdą po alkoholu? Wybaczenia, że nie okazała mojej córce wsparcia, jakiego ona wtedy potrzebowała? Niedoczekanie! To ja kazałam jej wtedy wyjechać. Wyjechać i nigdy nie wracać. Nie mogłabym znieść jej widoku. Nie mogłabym patrzeć, jak morderczyni mojego dziecka żyje i w dodatku beczelnie cieszy się życiem, które wcale jej się nie należy. Ale to niewiele pomogło. Spędziłam wiele bezsennych nocy, myśląc o tym, że Lidka gdzieś tam, daleko, żyje i ma się dobrze, podczas gdy kości mojej Ani coraz bardziej kruszeją, głęboko pod ziemią.

– A Grzegorz? Jemu też kazała pani wyjechać?

– Nie. Ale gdy zniknął, ucieszyłam się. Wszystkie nasze dzieci zniknęły.

Agata poczuła ukłucie niepokoju.

– Oprócz Piotra.

Teresa machnęła ręką.

– On się nie liczy. Nie został nikt z TAMTYCH dzieci, to się liczyło.

– Ale jak to możliwe, że w trakcie śledztwa nie wyszło na jaw, że Ania była pod wpływem alkoholu i że była w ciąży?

Teresa roześmiała się, a w jej śmiechu nie było ani krztyny wesołości.

– Mój kuzyn pracował w policji. W tamtych czasach nie było trudno załatwić, by pewne informacje nie znalazły się w papierach. Informacje o alkoholu w jej krwi i dziecku w jej łonie

nigdy nie pojawiły się w aktach sprawy.

– Ale po latach Lidia zdecydowała się wrócić do kraju...

– Wtedy, dwadzieścia cztery lata temu, postawiłam sprawę jasno. Miała zniknąć. Zniknąć i nigdy więcej nie wracać. Więc gdy tylko Zosia powiedziała, że Lidka wraca, wiedziałam, co muszę zrobić.

– Tym bardziej, że nie zostało pani zbyt wiele czasu – dodała Agata.

Teresa gwałtownie uniosła głowę, a w jej oczach błysnęło zaskoczenie.

– Skąd wiesz? – spytała ostro.

– Cóż, skończyłam psychologię. Umiem rozpoznać wczesne objawy choroby Alzheimera: umykające słowa, stos krzyżówek przy fotelu w salonie, to były pierwsze tropy. Pewność zyskałam, gdy znalazłam donepezil. To lek stosowany w początkowym stadium choroby Alzheimera.

– Grzebałaś mi po szafkach?

– Szukałam kremu – bąknęła Agata, wiedząc, że to marne usprawiedliwienie.

Spojrzenie Teresy się wyostrzyło, a jej dłoń zaczęła wędrować w stronę leżącego nieopodal młotka.

„Do cholery, trzeba uciekać” – pomyślała Agata i rzuciła spojrzenie w kierunku drzwi. Zdaży. Zdaży na pewno. Napięła ciało. Było gotowe do biegu. Lecz w tym momencie w oczach Teresy znów pojawiła się rezygnacja.

– Ech – westchnęła, cofając dłoń. – Przecież to wszystko i tak nie ma już znaczenia. Pomściłam śmierć mojej córki i mojego

wnuka. Ty nie jesteś mi nic winna.

– Pójdzie pani do więzienia – wyrwało się Agacie, która natychmiast zapragnęła ugryźć się w język. Uczciwość potrafi być bardzo zgubna.

Teresa wybuchnęła pustym śmiechem, przypominającym śmiech Jokera.

– Kochana, za kilka lat i tak nie będę wiedziała, co się dookoła mnie dzieje. Widziałam u mojej matki, jak to wygląda. Teraz zapominam niektórych słów, niedługo zgubię się we własnym domu, a potem nie poznam męża i będę robić pod siebie. Wierz mi, więzienie mi nie straszne.

Po tych słowach do Agaty dotarł cały tragizm Teresy. Poczwała, jak ogarnia ją smutek.

– Mogła pani spędzić jeszcze wiele lat na wolności.

Kącik ust Teresy uniósł się ironicznie.

– Wybrałam inaczej.

– A pani mąż? Jacek o niczym nie wiedział?

Teresa prychnęła.

– Skąd! I tak nigdy nie schodził do garażu. Może nie zauważyłaś, ale to ja noszę spodnie w tej rodzinie i to ja zawsze zajmowałam się autem. Przed tym... zdarzeniem wprawiłam zamek do drzwi do garażu, żeby przypadkiem tu nie wszedł, ale nawet tego nie zauważył. Powiedziałam mu, że samochód się popsuł i że jak sytuacja nieco się uspokoi, odstawię go do mechanika. Uwierzył mi we wszystko jak dziecko. Jak zwykle zresztą...

Agata była zniesmaczona. Jak może wyrażać się tak o

własnym mężu? Skoro tak nim gardziła, powinna dawno temu go zostawić. Biedny Jacula... ciekawe, jak on to zniesie. Trzy rodziny poranione jednym głupim zachowaniem nastolatki sprzed niemal ćwierć wieku!

Mając świadomość tego, że to prawdopodobnie ostatnie chwile Teresy spędzone w domu, Agata nie pośpieszała jej, choć przebywanie w jej towarzystwie napawało ją wstrętem. Da jej jeszcze chwilę.

– O jedno chciałam cię prosić – powiedziała w końcu Teresa.

– Tak?

– Wiem, że nie zaufasz mi na tyle, by pozwolić mi samej zgłosić się na policję. Wierz mi, zrobiłabym to, ale nie zamierzam cię przekonywać. Chciałabym tylko, byś pozwoliła mi zostać tu w piwnicy do czasu ich przyjazdu. Proszę, dzwoń.

– Teresa wyjęła telefon z kieszeni i wyciągnęła w stronę Agaty, której aparat został w torbie, na górze. – Nie spojrzę w twarz Zofii. Nie chciałam jej skrzywdzić. To był po prostu skutek uboczny tego, co musiałam zrobić.

Agata aż prychnęła z niedowierzaniem. Co za hipokryzja! Skutek uboczny! Też mi coś! Miała ochotę chwycić Teresę za fraki i zawlec na górę, powiedzieć wszystkim, co ta kobieta zrobiła, zmusić ją, by patrzyła, jak wiele cierpienia wyrządziła. Jednak zaraz naszła ją myśl, że co dobrego miałyoby to przynieść? Zofia, jeśli będzie chciała, odwiedzi Teresę w więzieniu i wykrzyczy jej prosto w twarz, jak wstrętnym i spaczonym jest człowiekiem. Poza tym nie chciała siłować się z nią na wąskich, stromych schodach do garażu. Gdy zawoła,

nikt jej nie usłyszy. Samej Teresy nie zostawi, bo wtedy zapewne po prostu ucieknie. Mogłaby z podawanego jej telefonu zadzwonić do Kermita i poprosić, by przyszedł, ale znów pojawia się pytanie: po co miałyby to robić? Co dobrego by to dało?

Nie starała się nawet ukrywać wstrętu, gdy brała telefon z ręki Teresy. Zadzwoniła na policję. Potem pozostało im już tylko czekanie.

Moment zabrania Teresy pamiętała potem jak niemy film oglądany w zwolnionym tempie. Dezorientacja na twarzy Jaculi, który przyprowadził policjantów do piwnicy. Teresa głaszcząca Jaculę po porośniętym rudą brodą policzku. Błysk kajdanek. Łzy w jego oczach, gdy zaczął rozumieć, co się stało. Szok na twarzach pozostałych osób. I w końcu wściekłość Zofii, która chwyciła stojącą na stole butelkę nalewki i cisnęła nią prosto w telewizor, wydając z siebie przy tym ryk jak umierające zwierzę. Bierność Jaculi. Nawet nie drgnęła mu brew, gdy na to patrzył. Maria obejmująca Zofię, Stanisław nieśmiało kładący dłoń na ramieniu Jaculi powtarzającego: „Ale jak to możliwe? I ja nic nie wiedziałem! Ja się do samochodów nie mieszałem... Ja nic nie wiedziałem”. Kermit, który, gdy tylko zorientował się, co zaszło, podbiegł do Agaty i mocno ścisnął ją za rękę. Ścisnął i nie puszczał aż do momentu, gdy prowadzona przez policjantów Teresa zniknęła za drzwiami.

– Nie zostanę w tym domu ani chwili dłużej! – wrzasnęła Zofia. Strąciła ręką kilka najbliższych stojących naczyń, które z brzękiem spadły na dywan, po czym ruszyła w stronę przedpokoju. Gdy

mijała Jacka, przystanąła na chwilę i wymierzyła mu siarczyste policzek.

Jego jedyną reakcją było odwrócenie głowy.

– Ale Zosiu, przecież Jacek nic nie zrobił, nic nie wiedział... – próbowała tonować ją Maria.

– Nie szkodzi, Marysiu – powiedział Jacula, nie podnosząc wzroku.

– W dupie to mam! – jednocześnie wrzasnęła ubrana już Zofia.

– Zosia, poczekaj! – Maria złapała ją w otwartych już drzwiach. – Poczekaj tu na nas. Staszek, chodź tu, poczekasz z Zosią.

– Idę – powiedział Stanisław i po raz ostatni klepnąwszy w ramię Jacka, zaczął się ubierać.

Dopiero gdy był gotowy i mógł zostać z Zofią, Maria wróciła do środka.

Najpierw podeszła do Jacka. Położyła mu dłonie na ramionach i spojrzała prosto w oczy.

– Jacuś, tak mi przykro – powiedziała.

Jacek tylko spuścił wzrok. Wyglądał, jakby miał się za chwilę przewrócić.

Kermit podszedł do niego, chwycił za ramię i poprowadził w kierunku fotela.

– Usiądź, wujku.

– Ja muszę iść – rzekła Maria. – Piotruś, będziemy dziś nocować u Zofii. Przywieziesz nasze rzeczy?

– Jasne, mamó.

– Chyba rozumiesz...

– Rozumiem.

– Agatko... – Maria podeszła do niej i mocno ją przytuliła. Agata czuła, jak wiele emocji Maria wkłada w ten gest. Zaskoczyło ją to. Wprawdzie ich stosunki, mimo dramatycznej otoczki, jak dotąd układały się jak najbardziej poprawnie, a jednak nie miała wrażenia, że zasłużyła sobie na taką poufałość. Przez głowę przemknęła jej myśl, że może Maria jakimś sposobem wyczuła, że Agata nosi w brzuchu jej wnuka, zaraz jednak odegnała ją jako wyjątkowo absurdalną. Nie wierzyła w przeczucia. Nie analizując dłużej zachowania przyszłej teściowej, również ją przytuliła. – Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy przed naszym wyjazdem – powiedziała Maria, odsuwając się.

– Ja też.

Maria cmoknęła syna w policzek i rzucając ostatnie, przepełnione smutkiem spojrzenie na siedzącego bez ruchu w fotelu Jacka, wyszła.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, Agata podchwyciła wzrok Kermita, po czym uniosła ramiona w geście „No i co teraz?”.

Kermit podszedł do Jaculi. Przykucnął przy jego fotelu i spytał:

– Wujku, czy możemy coś dla ciebie zrobić?

Jacek uniósł głowę i spojrzał na niego nieprzytomnie.

– Nie... Nie, Piotruś. Jedźcie. Bez sensu, żebyście tu siedzieli. A ja... ja zaraz muszę Teresce spakować rzeczy. – Zaczynał odzyskiwać wigor. – Przecież ona niczego tam nie ma. Nawet szczoteczki do zębów. Nawet pasty. Tak, tak, mam sporo rzeczy

do zrobienia.

Wstał z fotela.

– Wujku, gdybyś czegoś potrzebował... – rzekł Kermit, podnosząc się.

– Tak, tak... Jakby co, będę dzwonił. Dziękuję ci, Piotruś. Porządny człowiek z ciebie. A teraz muszę was przeprosić. – Zaczął ich kierować w stronę drzwi wyjściowych. – Jak już mówiłem, mam sporo rzeczy do zrobienia. Muszę tam zadzwonić. Muszę znaleźć jakiegoś prawnika. Trzeba to wszystko jakoś wyjaśnić. Przecież mogła się pani pomylić, prawda? – zwrócił się do Agaty. – Mogła się pani pomylić.

– Wujku, ale ciocia się przyznała... – wtrącił Kermit.

– Ach, tak, tak, oczywiście. Tak, ale muszę ją spakować. Pasta, szczoteczka, takie rzeczy. Krem! Będzie potrzebowała kremu. Piżama! Piżama też jej się przyda. Widzicie sami, tyle rzeczy muszę zrobić. Więc dziękuję wam, dziękuję, ale muszę brać się za to wszystko, żeby zdążyć. Także do widzenia, do zobaczenia. Jesteśmy w kontakcie!

W czasie tego słowotoku Agata i Kermit zdążyli się ubrać. Nim się obejrzel, byli już za drzwiami.

– Biedny... – powiedział Kermit, gdy stali już na ulicy.

– Jest w szoku.

Kermit spojrzał na nią. Jego usta lekko się ścisnęły, a brwi zmarszczyły.

– A ty czemu nic nie powiedziałaś o swoich podejrzeniach, co?

– Spojrzał na nią surowo.

– A co ci miałam mówić? – Agata zwinęła dłonie w pięści i

podparła się pod boki. – Przecież to twoja ciocia! Co byś sobie pomyślał, gdybym wyskoczyła z czymś takim, nie mając w ręku żadnych dowodów, he?

– Uwierzyłbym ci!

– Czyżby? – Agata pytająco uniosła brew. – Nie byłabym tego taka pewna. Zresztą nic mi się nie stało!

Kermit westchnął.

– Dobra, nie kłóćmy się. Wskakuj do samochodu.

Agata kiwnęła głową. Też nie była w nastroju do kłótni. Wystarczy wrażeń na jeden dzień.

– Jak doszłaś do tego, że to ciocia Teresa potrąciła Lidkę? – spytał, gdy już siedzieli w środku.

– Pewność zyskałam dopiero wtedy, gdy zobaczyłam samochód, ale już wcześniej przypuszczałam, że to może być ona. Nie dawała mi spokoju ta historia ze śmiercią ich córki. Coś mi mówiło, że wtedy, dwadzieścia cztery lata temu, ta historia wcale się nie skończyła. I że wypadek Ani Polko jest w jakiś sposób związany ze śmiercią Lidki. Oczywiście podejrzewałam też Wiesława. Nawet, gdy odkryliśmy jego śmierć, nadal nie skreśliłam go z mojej listy podejrzanych. Myślałam też o Grześku...

Spojrzała na Kermita, próbując wybadać jego reakcję. Jego twarz nawet nie drgnęła.

– Tak, ja też się nad tym zastanawiałem – odparł, nie odrywając wzroku od drogi.

– Tak podejrzewałam. Ale nie miałam jak tego sprawdzić. Natomiast Teresa była w zasięgu ręki i co i rusz natrafiałam na

różne błahostki, które powoli zaczęły składać się w coraz silniejsze podejrzenie, że to ona za tym stała. Zwróciłam uwagę na to, że w piątek do Zofii przyjechali taksówką. A w domu mają garaż. Gdy masz własny samochód, nie wzywasz taksówki, chyba że popiłeś, a oni wyglądali na zupełnie trzeźwych. Tym bardziej, że wtedy im się spieszyło. Mogli też oczywiście nie mieć samochodu, ale cóż, zawsze są jakieś niewiadome. Druga rzecz, to jej choroba. Alzheimer jest przerażający. Wyobrażam sobie, że gdybym ja się dowiedziała, że na niego choruję, to chciałabym jak najszybciej załatwić wszystko, co mam na tym świecie do załatwienia. Żeby zdążyć, póki mój umysł działa jako tako. Jeśli Lidia w jakiś sposób przyczyniła się do śmierci jej córki, to była ostatnia chwila na dokonanie zemsty. Nie wiedziałam wtedy, czy tak było, ale roboczo założyłam, że tak, że Lidia w jakiś sposób zawiniła. To, że zdecydowała się przyjechać do Polski, było dla Teresy jak dar niebios.

– Trudno mi uwierzyć, że Teresa choruje na Alzheimera – powiedział Kermit. – Zawsze była taka zorganizowana. W zasadzie dalej taka jest.

– Myślę, że coraz więcej rzeczy załatwia za nią mąż. Że to on musiał nauczyć się o wszystkim pamiętać. Choć to dopiero początkowe stadium choroby, więc Teresa pewnie radzi sobie całkiem dobrze.

– Przynajmniej na tyle dobrze, by zaplanować morderstwo i go dokonać.

– Tak, ale z czasem będzie coraz bardziej zdana na innych.

– Żał mi wujka Jacka. Pomyśl sobie, jak musiał się poczuć, gdy dowiedział się, że jego żona jest morderczynią. Mieszkał z nią pod jednym dachem i o niczym nie wiedział.

– To na pewno był dla niego cios. Sam widziałeś, w jakim był szoku. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby sam zszedł do garażu i odkrył ten samochód.

– Nie wiem, ale on rzeczywiście nigdy nie prowadził samochodu. Nie znał się na tym. Odkąd pamiętam, to zawsze wszyscy z tego żartowali, ale on nic sobie z tego nie robił i śmiał się razem z nimi. Powtarzał, że tak jest wygodniej, bo zawsze ma pod ręką kierowcę. To był już tak utarty schemat w ich małżeństwie, że nie sądzę, by coś się w tym względzie zmieniło.

Zatrzymał samochód pod blokiem Agaty. Nachylił się i ją przytulił.

– Zobaczymy się w tygodniu, dobrze? Najdalej w środę.

– Dobrze.

Spuściła wzrok. Było jej przykro, że nie mogą zostać razem. Tak bardzo go potrzebowała. Rozumiała, że ma inne zobowiązania, że musi zająć się rodzicami, ciocią, ale i tak było jej przykro. Marzyła o tym, by weszli teraz razem na górę. Chciałaby położyć się na łóżku, przytulić do niego i obejrzeć jakiś film. Jakikolwiek. Byle tylko oderwać myśli od wszystkiego, co wydarzyło się w ten weekend. Chciałaby zakopać się pod kołdrą, spleść stopy z jego stopami i zasnąć. Ale te marzenia nie miały szansy na realizację. Nie dzisiaj.

– Gdyby dzwoniли z policji, żebyś się stawiła, koniecznie daj znać. Pojadę z tobą.

– OK.

– Agata, mówię poważnie. – Ujął jej podbródek w dwa palce i uniósł twarz tak, by mógł spojrzeć jej w oczy. – W takiej sytuacji masz do mnie zadzwonić.

– Och, Kermit! – Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno się przytuliła. Poczowała, jak do oczu napływają jej łzy. Boże, czy ona będzie tak teraz płakać non stop przez dziewięć miesięcy? Ile można? Odwodni się od tego!

– No już. – Pogładził ją po włosach. – To był ciężki weekend.

„A ty i tak nie wiesz wszystkiego” – odparła w myślach i rozplakała się jeszcze bardziej.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptał jej do ucha. – Jeśli chcesz, to gdy zawiozę rodzicom rzeczy, mogę do ciebie wpaść i u ciebie przenocować.

– Nie, daj spokój – powiedziała, ocierając oczy. – Jestem już duża, poradzę sobie. Poza tym pewnie wejdę do mieszkania i zaraz zasnę. Jestem zupełnie nieprzytomna.

– OK, jak chcesz. – Pogładził ją po policzku. – Ale jakby co, dzwoń. Przyjadę, jak będziesz chciała.

Wtuliła twarz w dłoń, którą trzymał na jej policzku.

– Kocham cię, Kermit.

– Ja ciebie też, Agata. Nawet nie wiesz jak bardzo.

Nie chciała wychodzić. W głębi duszy miała ochotę ścisnąć usta w gniewny dziubek, spleść ramiona na piersi, tupnąć nogą i krzyknąć „Nigdzie nie idę!”. Ale miała przecież trzydzieści lat i powinna zachowywać się jak dorosła. Wzięła więc do ręki torebkę, odpięła pas i wysiadła z samochodu.

Widząc odjeżdżającego Kermita, wcale nie czuła się szczęśliwa.

Gdy wchodziła do mieszkania, pomyślała, że jest jedna osoba, do której powinna zadzwonić.

* * *

Katarzyna odłożyła telefon na plik kartek na biurku i zamknęła oczy. Właśnie skończyła rozmawiać z Agatą, która wyjaśniła jej, kto i dlaczego potrafił Lidkę. Poczuła, że twarz zaczyna ją piec, a po jej policzkach płyną łzy. Nie hamowała się. Pozwoliła się ponieść oczyszczającemu szlochowi.

Nie potrafiła sobie darować, że wtedy, ponad dwadzieścia lat temu, nie nalegała bardziej, by Lidka wyjawiała jej powód wyjazdu. Może by jej się udało skłonić przyjaciółkę do zwierzeń, a może nie, ale przynajmniej miałyby pewność, że zrobiła, co mogła. Nie jest powiedziane, że to by cokolwiek zmieniło – pewnie nie. Nie mogła wiedzieć o postępującej chorobie Teresy Polko i o chęci zemsty, która wciąż w niej narastała, ale może Lidce byłoby łatwiej, gdyby mogła się wygadać.

Dziwnie czuła się z tym, że jej przecucie odnośnie dziecka nie było do końca błędne. Wprawdzie Lidka nie była w ciąży, ale Anka – owszem. Pomyślała, że Lidka, choć nie wprost, to starała się jej jakoś w swoich listach przekazać prawdę o tym, co się stało. Bo jak inaczej tłumaczyć to, że przyszedł jej do głowy taki właśnie pomysł?

Wstała od biurka. Nie skończyła jeszcze pracy, ale trudno, noc i tak na pewno zarwie. Zaczęła przetrząsać szuflady w

poszukiwaniu listów od Lidki. Zamierzała przeczytać je uważnie, kartka po kartce, słowo po słowie – poświęcić im tyle uwagi, ile im poskapała lata temu. Jedyne ten sposób pożegnania przyjaciółki wydał jej się odpowiedni. Późno, bo późno, ale odrobi swoją lekcję. Stanie się przyjaciółką, jaką nie zdążyła być wcześniej.

* * *

Maria siedziała w kuchni Zofii i z niedowierzaniem wpatrywała się w ekran telefonu komórkowego, po raz tysięczny czytając tego samego SMS-a, jakby z pomiędzy tych trzech krótki słów, które znała już na pamięć, mogła wyłonić się jakaś nowa treść.

Gdy Piotr przywiózł ich rzeczy, poprosił, by usiedli w kuchni. Ona, Stanisław i Zosia. Zrobił im herbatę. Mocną i słodką. A potem opowiedział wszystko, czego dowiedział się od Agaty. Wyjaśnił, dlaczego Teresa obwiniała Lidkę o śmierć córki. Powiedział też, że Ania była w ciąży i że ojcem dziecka był Grzegorz.

– Czemu w takim razie nie chciała zabić Grzeška? – spytał Stanisław.

– Nie wiem, tato. Pewnie uważała, że to na przyjaciółce Ani spoczywał obowiązek czuwania nad nią.

– Niektóre kobiety mają łatwość obwiniania innych kobiet. Dla mężczyzn łatwiej im znaleźć usprawiedliwienie – rzekła w zamyśleniu Maria.

– Nie wiemy dokładnie, co Lidka jej wtedy powiedziała. Może

tam kryje się wyjaśnienie – podsunął Kermit.

– Już ja ją o to zapytam – gniewnie syknęła Zofia. – Jak Boga kocham, jutro rano pójde do niej i jak będzie trzeba, z gardła jej to wszystko wyszarpię! Zabiję ją! Po prostu zabiję tę kurwę!!!

To było cztery godziny temu. Teraz Zofia, która nałykała się persenu, spała w swojej sypialni, głośno chrapiąc. Stanisław leżał na rozłożonej kanapie w salonie i też pewnie już spał. A ona siedziała w kuchni i wpatrywała się w telefon. Gdy tylko miała możliwość, zadzwoniła do Grześka. Raz, drugi, trzeci. Nie odebrał.

Pół godziny później spróbowała ponownie. Znów nic.

Napisała więc SMS-a: „Grzesiu. To Teresa Polko zabiła Lidkę. Wiem, że Ania była w ciąży. Zadzwoń. Mama”.

Po dwudziestu minutach kolejny SMS: „Grzesiu, ZADZWOŃ”.

I dopiero teraz przyszła odpowiedź: „Zostaw to, mamó”.

Trzy krótkie słowa. Gdyby napisał coś więcej, mogłaby wejść z nim w dyskusję. Gdyby się obwiniął, mogłaby go pocieszać. Przecież minęło tyle lat! Przecież był wtedy dzieckiem! Mogła sypać usprawiedliwieniami jak z rękawa. Mogłaby go pocieszać. Ale jak miała zareagować na coś takiego? Czowała, że teraz Grzegorz znów skryje się w swojej skorupie. Znów zniknie na całe lata. A już miała nadzieję, że w końcu uda jej się go wyrwać z tej przeklętej jaskini, w której siedział. Może niepotrzebnie pisała tego SMS-a. Może trzeba było poczekać i powiedzieć mu to prosto w twarz, gdyby zdecydował się przyjechać na pogrzeb. Może, może, gdyby... Przeklęta niepewność!

Odłożyła telefon. Miała już dość problemów na dzisiaj. Ale w tym wszystkim, w tym nawale okropieństw, które się ostatnio wydarzyły, była jedna iskierka nadziei, że nadejdą dobre czasy. Agata Brok była w ciąży. Maria nie znajdowała innego, racjonalnego wytłumaczenia obecności trzech pozytywnych testów ciążowych w jej torebce. Jej syn będzie miał dziecko, a ona będzie babcią. Gdzieś z tyłu jej głowy wciąż tliła się myśl, że mogłaby mieć już dorosłego, dwudziestoletniego wnuka, ale starała się o tym nie myśleć. Teraz liczyło się to, co będzie. Liczyła się przyszłość.

I choć wiedziała, że okoliczności temu nie sprzyjają i że nie może nikomu o tym powiedzieć, dopóki nie zostanie jej to oficjalnie zakomunikowane, nie potrafiła się nie cieszyć. Gdy pomyślała o maleńkim ciałku, ciałku jej wnuka albo wnuczki, które już za niecały rok będzie tulić w ramionach, na jej ustach pojawił się uśmiech. Pojawiał się powoli, milimetr po milimetrze, jakby jej twarz przez te kilka dni zdążyła zapomnieć, jak należy się uśmiechać. Ale był.

W poniedziałek rano Agata zjawiła się w biurze jako jedna z pierwszych, tuż przed dziewiątą. Siedziała już przy biurku z filiżanką gorącej kawy i czekała, aż uruchomi się komputer. Jej myśli powoli zaczynały się kierować ku służbowym sprawom. Co miała dziś do zrobienia? Szczerze mówiąc, zupełnie nie pamiętała. Weekend był tak przepełniony emocjami, że zupełnie zapomniała o pracy. Będzie musiała przejrzeć maile, zanim ustali jakiś plan działania na dzisiaj. Jedno wiedziała na pewno – nie ma w nim rozmowy o jej ciąży. Jasne, że prędzej czy później będzie musiała o tym powiedzieć. Ma jakieś dwa miesiące, zanim sprawa zacznie stawać się aż nazbyt oczywista. Ale nie chciała robić tego dzisiaj. Najpierw wizyta u lekarza. O! Od tego może zacząć! Póki nie ma nikogo z siedzących obok niej, zadzwoni i spokojnie umówi się na wizytę. Sięgnęła po telefon i w tym momencie usłyszała za sobą: – Cześć!

Odwróciła się. To Michał, jej szef. No nic, z telefonem trzeba będzie chwilę poczekać.

– Jak tam weekend? – spytał wesoło, podchodząc do swojego biurka. Kurtkę zawiesił na oparciu krzesła, plecak rzucił obok i usiadł. Po chwili Agata usłyszała szum uruchamianego komputera.

– Ach, trochę się działo – odparła, ale wydawał się nieszczególnie zainteresowany jej poczynaniami w czasie wolnym, bo od razu przeszedł do spraw służbowych: – Słuchaj, dzwoniłem do ciebie w piątek kilka razy – rzekł, włączając komputer. – Nie słyszałaś?

Agata zmarszczyła brwi i sięgnęła do torebki po telefon służbowy. Po chwili go wygrzebała i zerknęła na wyświetlacz.

– Cholera, rozładował się. Przepraszam, zupełnie nie zauważyłam. – Od razu sięgnęła do leżącej pod biurkiem ładowarki i go podłączyła. – A co? Coś ważnego się działo?

– No nie, nic na ostrzu noża, ale z tymi fakturami to jakaś dziwna sprawa. Jesteś pewna, że nic ci się nie pomyliło? Na pewno tak im zależało, żeby je dostać w piątek rano?

– Taaak... – Odparła ostrożnie Agata, szybko wracając myślami do rozmowy z klientem od faktur. – Tak, jestem pewna. Przecież dzwonił do mnie.

Sięgnęła po ładującą się komórkę. Wpisała PIN i wyszukała ostatnie połączenia.

– O! Proszę! Dzwonił do mnie w czwartek o siedemnastej pięćdziesiąt cztery.

Wprawdzie miała tylko numer, nieopisany nazwiskiem, ale była pewna, że to był on. Z nikim innym tego dnia nie rozmawiała przez ten telefon, tylko z Lidką, do której zadzwoniła zaraz po tej rozmowie. Połączenie z numerem Lidki wykonała trzy minuty po tym telefonie od klienta – może jej pamięć ostatnio trochę szwankowała, ale telefon podawał jej to wszystko jak na tacy.

– No to dziwne, bo tak jak prosiłaś, wysłałem mu to zaraz po twoim telefonie, swoją drogą niezły pierdolnik masz w tych szufladach... – Spojrzał znacząco na jej szafkę, ale Agata nie miała ochoty na przekomarzania.

– Wysłałeś i co?

– No i on potem oddzwonił, podziękował, ale był zdziwiony, że mu je wysłałiśmy, bo nie były mu do niczego potrzebne.

– Co?! – Agata nic z tego nie rozumiała.

Nagle coś przyszło jej do głowy. Poczuła, jakby puzzle w jej głowie powoli zaczynały wsuwać się na swoje miejsca. Jeszcze nie była pewna rozwiązania, ale miała silne przeczucie, że jest bardzo blisko.

– A pokaż mi ten numer, z którego do ciebie dzwonił.

Michał podał jej swoją komórkę. Porównała oba numery. Były różne.

Szybko otworzyła skrzynkę e-mailową i wyszukała mail od tego klienta. Zjechała do stopki. Obok nazwy stanowiska i adresu firmy był tam też numer jego służbowej komórki. Ten sam, co w telefonie Michała.

– Oż kurwa mać – przeklęła.

– Co się stało? – Michał aż wstał.

– Nic. To znaczy coś. Potem wyjaśnię. Michał, muszę teraz wyjść.

Rozłożył ramiona w geście „Cóż ja mogę?”. Widząc jej wzburzenie, nawet nie próbował jej zatrzymać.

– Musisz, to musisz. – Popatrzyła na niego z wdzięcznością. Między innymi dlatego lubiła tu pracować. – Wrócisz dziś?

– Tak – odparła, nie chcąc przeciągać struny.

Wyłączając komputer, zadzwoniła do Kermita.

– Kermit? Podjedź po mnie do pracy.

– Teraz? – Jego głos zdradzał lekką dezorientację.

– Natychmiast!

Nie próbował dyskutować.

– Dobra. Będę za trzy minuty.

Wrzuciła telefon do torebki i włożyła płaszcz, szalik i czapkę.

– Weź służbowy – przypomniał Michał.

– Okej.

Odpięła aparat od ładowarki i dorzuciła do torby.

Była już kompletnie ubrana, gotowa by biec. Ale Kermit będzie dopiero za dwie minuty. Postanowiła wykorzystać ten czas, by przeprosić szefa za swoje zachowanie ostatnimi czasy.

– Michał, przepraszam, że taka ostatnio jestem... no, że na pracownika roku raczej nie zasługuję. Taki okres mam, kilka spraw na głowie. Ale poprawię się.

– Spoko, Agata. Przecież wiem, że choć czasem znikasz, to można na tobie polegać, a to przecież jest najważniejsze.

Uśmiechnęła się do niego i ruszyła ku drzwiom.

– A! I jeszcze jedno! – krzyknął za nią.

– Co?

– Pozdrów Kermita!

– Dzięki, przekażę.

Czasem zapominała, że niemal wszyscy go tu znają. Każde przypomnienie o tym upewniało ją, że dobrze zrobiła, nalegając, by zmienił pracę. Lubiła mieć rozgraniczone różne sfery życia.

Zjechała na dół i podeszła do zatoczki, w której Kermit mógł się zatrzymać, by ją zabrać. Serce nie przestawało jej walić. A co, jeśli się myli? Może wyciąga zbyt daleko idące wnioski? A jednak coś jej mówiło, że i tym razem ma rację. Zaraz opowie o swoich podejrzeniach Kermitowi. Och, jak bardzo by jej ulżyło, gdyby powiedział coś w stylu „Chyba zwariowałaś!” czy „Nie ma opcji, żebym w to uwierzył”. Po prostu kamień spadłby jej z serca.

O! Już jest! Podjechał! Agata otworzyła drzwi i wsiadła do środka.

– Podjedź tu, na bok. Zatrzymajmy się na chwilę – poprosiła, wskazując wolne miejsce parkingowe pięć metrów dalej.

– Dobra, ale wytłumacz mi, o co chodzi?

Gdy samochód stanął na wskazanym miejscu, Agata zaczęła mówić. Kermit słuchał w milczeniu, ani razu jej nie przerywając. Gdy Agata skończyła, Kermit ukrył twarz w dłoniach i przez chwilę siedział w bezruchu.

– No i co robimy? – spytała Agata.

– Jedziemy – odpowiedział Kermit i odpalił silnik.

* * *

Gdy Kermit naciskał dzwonek do furtki, drugą ręką mocno ścisnął dłoń Agaty. Bardzo mocno, niemal boleśnie. Agata wiedziała jednak, że on tego potrzebuje, i nie protestowała. Odpowiadała niemal równie mocnym uściskiem.

Po chwili drzwi wejściowe się uchyliły i ukazała się głowa Jaculi.

– Piotruś? Pani Agata? – spytał zdezorientowany, przeciągając ręką po rudych, nieco zbyt długich włosach. Nacisnął guzik, a furтка otworzyła się. – To wy nie w pracy?

– Nie, wujku. Chcemy z tobą porozmawiać. Masz chwilę?

– Jasne, wchodźcie! – zaprosił ich do środka. Z bliska widać było ogromne, szare cienie pod jego oczami. Garbił się jeszcze bardziej niż zwykle. Wyglądał, jakby w ciągu tej jednej nocy przybyło mu z dziesięć lat. – Chodźcie, siadajcie. Nie zdejmujcie butów. Teraz... teraz to wszystko jedno.

Jednak żadne z nich się nie ruszyło. Kermit zamknął drzwi wejściowe, żeby do środka nie leciało zimno, ale wchodzenie dalej, siadanie przy jego stole, wydawało się tak bardzo nie na miejscu w obliczu tego, co mieli mu do powiedzenia.

– Wujku, my wiemy – powiedział Kermit.

Po twarzy Jaculi przemknął strach.

– Wiecie? Co wiecie? Co jeszcze wiecie, Piotrusiu?

Kermit spuścił wzrok. Agata poczuła, że to ona musi przejąć inicjatywę.

– Wiemy, że brał pan w tym udział. To pan do mnie dzwonił w czwartek i udawał mojego klienta. To pan prosił o te faktury.

W oczach Jaculi pojawiły się łzy. Spuścił głowę jak karczone dziecko i głośno wypuścił powietrze z płuc. Nie wyglądał, jakby miał zamiar zaprzeczać. Raczej sprawiał wrażenie, jakby mu ulżyło. Agata kontynuowała:

– To pana głos słyszałam wtedy przez telefon. Najpierw tego nie skojarzyłam, ale teraz jestem pewna. To był pan.

Jacula nadal nie odpowiadał. Cisza, jaka zawisła w powietrzu,

niemal raniła uszy.

– Wujku? – ponaglił go Kermit. – Wujku, powiesz coś?

Jacula rozłożył ręce.

– A co ja mam powiedzieć, Piotrusiu? Co ja mogę powiedzieć? Nie zamierzam głupio się tłumaczyć. Zresztą od początku wiedziałem, że nie ujdzie nam to na sucho. Takie rzeczy nigdy nie uchodzą na sucho. I dobrze. Za grzechy trzeba płacić, zawsze byłem tego zdania.

– Ale... nie rozumiem. To dlaczego wczoraj się nie przyznałeś, kiedy zabierano ciocię? Czemu wtedy nic nie powiedziałeś?

– Bo mi zakazała. Tak się umówiliśmy, że jeśli ktoś ujawni, że to my za tym staliśmy, jedno będzie kryć drugie. Nie będzie żadnego pożytku z tego, że oboje będziemy siedzieć w więzieniu. Straciliśmy córkę, ale mieliśmy jeszcze siebie. Na siebie zawsze mogliśmy liczyć. A teraz, czy my się w ogóle będziemy mogli spotykać? Bo dla mnie tylko to się liczy. Nie wolność, nie dom, tylko to, żebym mógł ją odwiedzać. Bez tego nic nie ma sensu, Piotrusiu. – Jacek spojrzał na Kermita błagalnie. Na jego rzęsach wisiały łzy. – Piotrusiu, naprawdę mi to zabierzesz? Ja... ja umrę bez tego. Umrę.

Agata poczuła, jak dłoń Kermita zaciska się na jej ręce jeszcze silniej i zaczyna drżeć.

– Wujku, zabiliście Lidkę! Czy ty tego nie rozumiesz? Zabiliście ją. Sam powiedziałeś, że za błędy trzeba płacić. Nie mogę, po prostu nie mogę tego przemilczeć.

– My nie możemy – dodała Agata, by czuł, że stoi za nim murem. – Musi pan nas zrozumieć. – Wolną dłonią sięgnęła do

torebki i wyciągnęła telefon. – Dzwonię na policję.

Jacula osunął się na podłogę. Skulony przy ścianie wyjął z kieszeni na piersi zdjęcie, na którym był on, Teresa i Ania. Siedzieli na kocu i się śmiali – tyle tylko Agata była w stanie dostrzec.

Nie czekając dłużej, wystukała numer i poinformowała dyspozytora, w jakiej sprawie dzwoni.

– Policja będzie za kilka minut – powiedziała po skończonej rozmowie.

Kermit bezradnie patrzył na skulonego na podłodze Jacka.

– Wujku, słyszałeś? – powiedział w końcu. – Zaraz po ciebie przyjadą. Nie chcesz się jakoś spakować, zabrać czegoś?

– Mnie nic więcej nie potrzeba – odparł mężczyzna, tuląc do twarzy zdjęcie. – Ja nic już nie mam.

Przez czas, jaki upłynął do przyjazdu policji, nikt się nie odezwał. To było najdłuższe kilka minut w życiu Agaty.

Jacek Polko nie powiedział już ani słowa, nawet na nich nie spojrział. Gdy funkcjonariusze policji wyprowadzali go z domu, nie stawiał żadnego oporu. To Kermit zadbał o to, by starannie zamknąć drzwi, a klucze oddać Jackowi. Kto wie, co dalej stanie się z domem.

– Dobrze zrobiłeś – powiedziała Agata, gdy radiowóz zniknął za zakrętem.

– Wiem, przecież wiem. Teraz będę to musiał jakoś wytłumaczyć rodzicom.

– Zrozumieją.

– To też wiem, ale nie będzie to dla nich łatwe.

Stali przez chwilę w milczeniu. Żadne z nich nie było gotowe, by teraz wracać do pracy.

– Kawa? – zaproponował Kermit.

– Kawa – zgodziła się Agata i powoli ruszyli w kierunku pobliskiej kawiarni. Była na tyle blisko, że nie było sensu jechać samochodem. Spacer dobrze im robi. W powietrzu coraz bardziej było czuć nadchodzącą wiosnę. Dzień był naprawdę piękny.

Agacie jeszcze jedna rzecz nie dawała spokoju. Nie była pewna, czy to dobry moment, aby tę kwestię poruszać, ale w sumie jak nie teraz, to kiedy?

– Tak się jeszcze zastanawiam... – zaczęła delikatnie.

– Co? – ośmielił ją Kermit.

– Czemu Jacula zadzwonił akurat do mnie?

– Myślę, że to akurat był przypadek. Nie doszukiwałbym się tutaj żadnego związku ze mną, z tym, że znałem Lidkę. Podejrzewam, że gdy ciocia Zosia powiedziała im, że Lidka dostała pracę w Test4U, zaczęli zastanawiać się, jak by to wykorzystać w swoim planie zemsty. Wujek musiał włamać się na waszą firmową pocztę.

– Potrafiłby to zrobić?

– Wierz mi, to nie takie trudne. Jako były informatyk w tej firmie mogę cię o tym zapewnić.

Agata widziała, że Kermit z każdym słowem się uspokaja. Rozmawianie na ten temat zdecydowanie dobrze na niego wpływało, postanowiła więc pociągnąć temat i sprawdzić, czy jej domysły na temat przebiegu wydarzeń pokrywają się z tym, co

on sądzi.

– Pewnie zaraz po tym, gdy usłyszeli, że Lidka wraca do kraju, postanowili zemścić się za śmierć Anki. Jedyna broń, jaką dysponowali, to samochód.

– Dokładnie – podchwycił Kermit. – Nie mieli wystarczających kontaktów, by kupić broń, nie mieli sposobności, by ją otruć, postanowili więc ją po prostu przejechać. Żeby to zrobić skutecznie, musieli mieć wybrane miejsce. Nie jeździliby przecież za nią po całej Warszawie. Jedyne miejsce, w którym pojawiała się o określonej godzinie, to okolice pracy. Nie mogli tego zrobić wtedy, gdy do pracy idą tłumy, czyli dziewiątej, lub wtedy gdy wszyscy wychodzą, czyli o siedemnastej. W tych godzinach na przejściu dla pieszych zawsze jest co najmniej kilka osób. Łatwiej było przesunąć godzinę na wcześniejszą, wymyślając jakieś zadanie. Włamali się więc na pocztę i czytając maile, zorientowali się, jak działa firma i w szczególności jakie obowiązki ma Lidka. Ktoś pewnie do niej napisał, że potrzebuje pomocy przy wysyłce faktur i już mieli sposób na ściągnięcie jej do pracy. Na ciebie padło pewnie przypadkiem. Wyczytali w mailach, że akurat ty będziesz miała jakieś faktury do wysłania w najbliższym czasie. Wujek wziął sobie z twojej stopki twój numer i w czwartek, upewniwszy się, że Lidka wyszła już z pracy, zadzwonił do ciebie w tej sprawie. I tym sposobem sprawili, że Lidka o wcześniejszej niż zwykle godzinie szła do firmy. Wujek pewnie czekał przy przystanku i gdy zobaczył Lidkę, zadzwonił do czekającej w uliczce cioci.

– Jesteś absolutnie pewien, że to Teresa prowadziła?

– Całkowicie. Wujek po wypadku Anki nie wsiadł już za kierownicę. Nie sędzę, by zrobił wyjątek akurat teraz, gdy potrzebna była precyzja.

Weszli do kawiarenki. Było w niej całkowicie pusto. Jediną osobą w środku była stojąca za ladą ekspedientka ubrana w biały fartuszek. Zajęli najbardziej ukryty przed jej wzrokiem stolik, w samym rogu, za ażurowym parawanem.

– Dla ciebie też kawa? – spytał Kermit, gdy odwiesił na wieszak ich kurtki. Agata poczuła, że na myśl o kawie robi jej się niedobrze.

– Może mięta...

– Mięta? – zdziwił się Kermit. – Nigdy nie pijesz mięty!

– Bo teraz... – zaczęła Agata. Czy to naprawdę dobry moment, by o tym mówić? Nie potrzebowała wiele czasu by stwierdzić, że ani moment nie jest dobry, ani miejsce nie jest odpowiednie. A jednak czuła, że dłużej nie będzie w stanie tego ukrywać. Nie potrafiła mieć przed nim tajemnic i wcale nie chciała się tego uczyć.

– Co teraz? – Kermit momentalnie wyczytał z jej spojrzenia, że dzieje się coś ważnego. Usiadł obok i nie zważając na niecierpliwie zerkającą na nich ekspedientkę, usiadł i wziął Agatę za rękę. – Co teraz, kochanie? – powtórzył.

– Bo... – Zamknęła oczy. Tak będzie jej łatwiej to wykrztusić. – Ja jestem w ciąży. Będziemy mieli dziecko, Kermit.

Cisza. Serce na moment jej zamarło. A jeśli nie będzie zadowolony? Przecież może nie być. Ale trudno, stało się. Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

Siedział z kamienną twarzą, bez ruchu, nawet nie mrugnął. I nagle, powoli, jego twarz zaczęła ożywać: spojrzenie złagodniało, usta zaczęły układać się w pełen niedowierzania uśmiech. Nachylił się w jej stronę.

– Jesteś pewna?

– Tak pewna jak tego, że cię Kocham.

I w tym momencie chwycił ją w ramiona i mocno ścisnął. Wtulił twarz w jej włosy, a ona po chwili poczuła na policzku jego łzy.

– Cieszysz się? – spytała.

– Agatka, cieszę się bardzo.

Agata też poczuła pod powiekami napływające do oczu łzy. Łzy szczęścia. A jednak nie tylko złe rzeczy zdarzają się na tym świecie.

– Yhmm. – Usłyszeli chrząknięcie i oderwali się od siebie. Obok stolika stała ekspedientka z dwoma talerzami z napoleonkami.

– Na koszt firmy – powiedziała, uśmiechając się. Musiała usłyszeć, co właśnie się wydarzyło.

– Dziękujemy – powiedział Kermit.

– Na zdrowie. Zwłaszcza dla pani. – Puściła do niej oko.

Ten drobny gest sprawił, że w Agacie puściły wszystkie tamy i popłakała się jak bóbr. To był długi, oczyszczający płacz, przerywany atakami śmiechu. Czuła się głupio, śmiejąc się i płacząc jednocześnie, ale cóż, w końcu jest w ciąży i ma prawo zachowywać się jak wariatka. Buzujące hormony to wystarczająco dobre usprawiedliwienie. A skoro tak to się

zaczyna, strach pomyśleć, co będzie dalej!

* * *